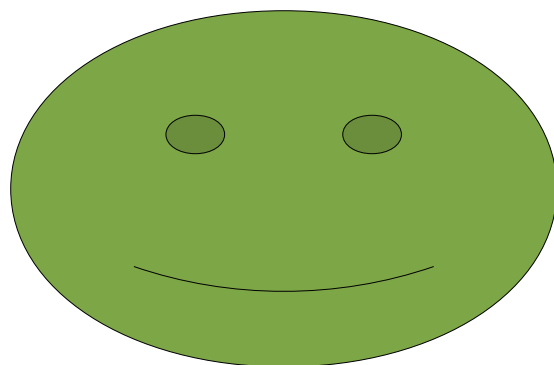


Janusz Meissner

KAPITAN SIEDMIU MÓRZ



Janusz Meissner



S/t Samson wychodzi w morze

1

Dominik Pieluch, szturman trawlera² rybackiego Samson, stał swoją ostatnią wachtę³ w sterówce i patrzył w stronę Gdyni, którą było już widać coraz wyraźniej pod lekkim nawisem dymu i pyłu rozciągającego się wielką ławicą w chłodnym, nieruchomym powietrzu. Mrużył oczy od słońca i raz po raz poprawiał czapkę, drapiąc się pod siwą jak popiół czupryną. Był tęgi, lecz nie tłusty: krzepki, jak niski rozrośnięty pniak. Twarz miał poważną, może nawet pochmurną, okoloną rzadko golonym zarostem i wielkie, zwisające brwi nad jasnoniebieskimi, wyblakłymi oczyma o zaczerwienionych od wiatru spojówkach. Miał lat sześćdziesiąt pięć, ale był jeszcze w pełni sił i zdrowia. Od pół wieku pracował na morzu, a od pięćdziesiątego roku życia zastępował kolejno kilku szyprów⁴, przeważnie Holendrów, jako Szturman na różnych trawlerach.

Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że sam mógłby otrzymać dowództwo: nie był ani Holendrem, ani nawet Niemcem czy Duńczykiem, a tylko tacy szyprowie dowodzili przed wojną trawlerami w Gdańsku, w Pucku, a później także w Gdyni. Nawet stary Martens, choć uważał się za Polaka, pochodził przecież ze Szlezwiaku.

Pieluch poznał Martensa chyba przed dwudziestu pięciu laty. Wtedy gdy został bosmanem i ożenił się. I właśnie Martensowi zawdzięczał także awans na szturmana. Potem zostali się na dobrych kilka lat, potem była wojna i okupacja, aż wreszcie znów zeszli się na Samsonie.

A teraz Martens już nie żył. Dominik pochował go daleko, na północ od łowiska Tail End, na kamienistym dnie Morza Północnego.

Zdarzyło się to w drodze powrotnej z połowu śledzi na wodach Fladen Groundu, podczas niewielkiego sztormu. Martens na wszelki wypadek kazał wbić dodatkowe kliny przy pokrywach luków⁵ i właśnie podczas tej roboty, w chwili gdy gwałtowny szkwał uderzył z boku na statek, zerwał się źle umocowany bom. Dominik spostrzegł w porę, że ciężkie, okute żelazem ramię dźwigu zatacza poziomo łuk nad pokładem, krzyknął, aby ostrzec szypra,

¹ S/t (ang. steamtrawler) - skrót używany w żegludze na oznaczenie trawlera parowego.

² Trawler (ang.) - pełnomorski statek rybacki łowiący za pomocą włoka. Włok - rodzaj sieci w kształcie worka (matni), z dwoma skrzydłami sieciowymi; do skrzydeł umocowane są liny, którymi ciągnie się włok; służy do połowu ryb dennych na głębokości do czterystu metrów.

³ W a c h t a (niem.) - czas służby marynarza trwający zazwyczaj cztery. godziny; część załogi statku pełniąca w danym czasie służbę. Zwykle załogi dzielą się na trzy wachty.

⁴ Szyper (niem.) - dowódca mniejszego statku: holownika, kutra rybackiego, portowego statku pomocniczego itp. Szturman (niem.) - pierwszy zastępca szypra. Bosman (niem.) - drugi zastępca szypra; przełożony załogi statku odpowiedzialny za utrzymanie czystości i porządku. Tail End, Botney Gut, Cleaver Bank, Dogger Bank, Easternmost, Faxø Bay, Fladen Ground, Great Fisher, Path of Dogger, Rote Kiff Bank, Silver Pit, Snaefields Yok Grounds, West Shoal, Western Deep itd. - nazwy wyżyn, dolin i równin dna morskiego, oznaczone tylko na specjalnych mapach rybackich.

⁵ Luk - otwór zejściowy lub ładunkowy prowadzący w głąb statku. Szkwał (szwedz.) - porywisty wiatr, często z deszczem; jego silne i krótkie poddmuchy mogą być groźne dla mniejszych statków żaglowych. Bom - poziome, jednym końcem oparte o maszt drzewce, do którego przymocowuje się dolny skraj żagla; tu: bom ładunkowy - belka z blokami i linami, oparta jednym końcem o maszt, drugi koniec może być poruszany we wszystkich kierunkach; służy do przeładunku (podnoszenia, przenoszenia i opuszczania) ciężkich ładunków statku.

i sam uskoczył w bok. Ale Martens stał do niego tyłem i nie widział, co się dzieje. Bom wyrznął go w głowę i zmiądzzył czaszkę. Zanim podbiegli, już było po nim.

Sztorm trwał krótko: minął przed wieczorem. Pieluch, który przez cały czas nie schodził z pokładu, mimo iż kolejną wachtę pełnił bosman Gac, zawołał starszego rybaka Bednarka i jemu kazał zastąpić bosmana. Potem wyznaczył nowy kurs między Great Fisher Bank a Tail End i poszedł pożegnać się ze swoim szyprem na zawsze.

Zwłoki Martensa leżały na koi w kabinie pod sterówką i mogłoby się zdawać, że Martens śpi, gdyby nie bladeść jego twarzy i gdyby nie wąska strużka krwi krzepnąca na podłożonym pod głowę olejarzu.

W kacie wystraszony i nieszczęśliwy siedział kilkunastoletni chłopak, Wacek Mucha, świeżo zaokrętowany praktykant rybacki. Szturman kazał mu iść do maszyny po inżyniera Gawędę i po chwili wahania dodał:

- Kto tam z załogi chce, może też tu przyjść. Tylko nie wszyscy naraz. A bosman niech przygotuje worek, żeby zaszyć ciało. I parę ogniw łańcucha na obciążenie.

Wacek spieszenie, z widoczną ulgą poszedł spełnić te polecenia, a Dominik zapalił przyniesioną z własnej kabiny świecę i umocował ją na krawędzi koi⁶. Potem zabrał się do przeglądania papierów i notatek zmarłego.

Szło mu to z niejakim trudem, choć Martens był systematyczny i zostawił wszystko we wzorowym porządku.

Gawęda zastał go przy tym zajęciu. Wszedł pochylając się w progu, rozstawił swoje niepomiernie długie nogi między biurkiem a wieszakiem na płaszcze i powoli zdjął czapkę. Patrzył przez chwilę w spokojną, piękną twarz szypra, na której błąkały się cienie od migoczącej świecy, westchnął, potrząsnął głową i wreszcie zwrócił się w stronę Dominika.

- Szkoda go - powiedział cicho. - Dobry był chłop.

- Szkoda - mruknął Pieluch. - Nadałem wiadomość do dyrekcji. Martensowa pewnie już wie...

Gawęda westchnął znowu.

- Zostały we dwie z córką - powiedział na pół do siebie. - Ona, la jej córka...

- Anna - wtrącił Pieluch.

- Anna. W sieciach, zdaje się, pracuje?

- W sieciach. Razem z moją Zuzią. No, biedy tam u nich nie ma i nie będzie. Teraz jeszcze udział dostaną, i to spory.

- Paweł ma się z nią żenić, Czernik Paweł. Ten, co tu był bosmanem przed Gacem, w zeszłym roku.

- Wiem - mruknął Dominik. - Porządny człowiek.

Wszedł kucharz Kocorz i jeszcze dwaj rybacy. Gawęda odsunął się pod ścianę, tamci poszeptali między sobą, postali, Kocorz przeżegnał się i wyszli, ustępując miejsca następnym.

Dominik grzebał w notatkach szypra, wyciągnął z szuflady gruby czarny zeszyt, przerzucił kilka stron zapisanych ołówkiem i obejrzał się na mechanika.

- Widzicie?

- Cóż to jest? - spytał Gawęda.

⁶ Koja - tapczan, łóżko na statku.

- Cała jego mądrość - odrzekł Pieluch podając mu zeszyt. Gawęda nałożył okulary i zaczął czytać.

Pozycja 64°39'N - 23°45'W. Trzymać się bliżej lądu. Olafsvik stale w pelengu⁷ SWS, ale w odległości tylko 6 mil. Ciągnąć ENE 3 mile wzdłuż granicy głębi i z powrotem na WSW. Użyć boi, bo miejsce połowu jest blisko wód terytorialnych (3 mile).

- Hm - mruknął.

Odwrócił stronę i czytał dalej:

Grunty Faxe Bay. Łowić w drugiej połowie maja i czerwca oraz w drugiej połowie sierpnia i września. Łowiska wąskie; można wziąć pilota w Kaflaviku albo Reykjaviku. Jeżeli elsandals pływają tuż pod powierzchnią, połów słaby; jeżeli opadają - dobry. Krańce gruntu i reszta zatoki zdradliwe, dużo skał, zaburzenia magnetyczne, kamienie wyciągane na pokład działają na kompas; zaraz wyrzucać za burtę. Można łowić bez bobin.

Pozycja 64°37'N - 23°32'W Snaefields Yok Grounds w pelengu na cypel Hellnanes NE, w odległości 8- 14 mil. Na głębokości 70-80 sążni miejscami muł. Ciągnąć włok na NW tak długo, aż Hellnanes pokryje się z Gulter, i na SE, aż znów będzie otwarcie. Albo ciągnąć na PJE, póki nie będzie otwarcia między Hellnanes a Gulter, i na SW, aż H. i G. pokryją się na jednej linii. 8-10 mil od lądu dno zanieczyszczone, dalej czystsze. Łowić w początkach maja, jeżeli woda ma kolor czarniawy, mulisty.

- To bardzo cenne wiadomości - mruknął Gawęda. Przerzucał kartki spoglądając na Dominika sponad szkieł.

- Będzie tego kilkaset, może nawet ponad tysiąc łowisk. No, przyda się wam teraz ten zeszyt.

- Mnie? - spytał Dominik uderzony tą myślą.

Gawęda się uśmiechnął.

- Ja myślę, że wy teraz zostaniecie szyprem na Samsonie.

- E, kto wie - odrzekł szturman opanowując wzruszenie. - Są i inni...

- Są - zgodził się mechanik. - Ale wy chyba jesteście najstarsi?

Dominik spochmurniał. Tętna w skroniach zwalniały.

Trzeba było pójść na kurs szyprów - pomyślał. - Beż kursu...

Gawęda znowu spojrzął na kartki zeszytu. Zastanawiał go równy, wyrobiony charakter pisma. Stary Martens, o ile pamiętał, gryzmolił dość niewprawnie. Poszukał wzrokiem in-

⁷ Peleng (namiar) - kąt między kierunkiem na obiekt namierzany (statek lub samolot) a kierunkiem odniesienia, mierzony w celu ustalenia położenia (pozycji) statku lub samolotu. Boja (pława) - pływający znak nawigacyjny; zakotwiczony na torze wodnym lub w miejscach niebezpiecznych dla żeglugi pływak metalowy o różnych kształtach, często jaskrawo pomalowany i zaopatrzony w urządzenia świetlne lub dźwiękowe. Wody terytorialne (morze przybrzeżne) - część morza o szerokości od trzech do dwunastu mil morskich, przylegająca bezpośrednio do brzegu, podlegająca władzy państwa, do którego należy brzeg. Mila morska (Mm) - miara długości na szlakach morskich; odpowiada długości jednej minuty południka ziemskiego; we Francji, w NRD i RFN, w Szwecji i ZSRR 1852 m, w Anglii, Japonii i USA 1853 m. Elsandals (ang.) - rodzaj planktonu. Bobiny - szklane lub metalowe kule chroniące linę i brzeg sieci wleczonej po dnie morza.

nych notatek na biurku. Tak, to nie było pismo szypra. Tam oto, w arkuszu połowów dziennych, wykrzywiały się litery i cyfry stawiane jego ręką.

Zadał sobie pytanie, kogo Martens dopuścił do swoich zawodowych tajemnic. Przerzucił zeszyt do końca. Ostatnie notatki dotyczyły Rotę Kliff Bank u zachodnich wybrzeży Danii. Pamiętał, że byli tam w ubiegłym sezonie białej ryby, tuż przed odejściem Pawła Czernika. Żaden inny trawler nie łowił wówczas w tamtych okolicach, a Martens przywiózł z tych łowisk ponad sto dwadzieścia ton dorsza i tuńczyka do Hull. Potem Czernik, jego bosman, zgłosił się na kurs szyprów.

A więc to Paweł! Był przecież narzeczonym Anny Martensówny. To było jego pismo.

Zawahał się: powiedzieć o tym Dominikowi?

Tymczasem do kabiny wszedł bosman Gac i, jak wszyscy, zbliżywszy się do nieboszczyka zdjął czapkę. Zaraz zresztą nałożył ją z powrotem i zwracając się do Pielucha powiedział:

- Chyba wezmę nowego płótna żaglowego na ten worek, bo stare podarte: same szmaty.

- Weźcie - zgodził się szturman. - Pochowamy go jutro.

Gac pokiwał głową, spojrzął na pierwszego mechanika i sięgnął po fajkę.

- Kto by się spodziewał - wyrzekł wolno. - Człowiek nie wie ani dnia, ani godziny...

Starannie ubijał tytoń, postępując cicho. W jego rudym jak miedziana szczotka zarosście od blasku lampy zapalały się złote ogniki. Szeroko rozstawione jasnobrązowe oczy nabiegały krwią. Mięsista, czerwona twarz z przyplaszczonym nosem, zwykle pogodna, miała teraz jakiś płaczący wyraz. Zapewne i on żałował szypra, a w każdym razie ta nagła śmierć podziałała na niego przygnębiająco.

Skończywszy nabijać fajkę, rzucił niepewne spojrzenie w kierunku koi, jakby nie był pewien, czy wypada zapalić wobec powagi tego miejsca. Rozmyślił się i schował zapalki.

- Trzeba będzie spisać jego rzeczy - powiedział Dominik do Gawędy. - Pomożecie mi?

Mechanik kiwnął głową.

- Pomogę. Zaraz to chcecie zrobić?

- Jest nas trzech - odrzekł szturman wstając. - To byłoby najlepiej zaraz, komisyjnie. Inżynier by zrobił spis.

Gac prychnął niechętnie:

- Cóż to - nie uwierzą wam?

- Uwierzą, ale tak już lepiej. Przyjdzie nowy szyper - żeby mu czego nie brakowało.

- Nowy szyper - powtórzył bosman. - Przecie chyba nie kto inny, tylko wy sami!

- Tak myślicie?

- No, jakże inaczej? Wszyscy tak myślą. Nie trza wam o tym gadać, sami wiecie. Nie, panie Gawęda?

- Zapewne - odrzekł Gawęda z roztargnieniem. - Zapewne.

Położył zeszyt na biurku i zajmwszy miejsce opróżnione przez Dominika przygotował arkusz papieru i ołówek. Tamci dwaj wyjmowali rzeczy Martensa i układali je w kufierku, wymieniając głośno poszczególne przedmioty. Nie było tego wiele. Po chwili Dominik wziął jeszcze z biurka odłożony tam „zegarek, pieniądze i dokumenty osobiste zmarłego, aby je zło-

żyć w oddzielnej paczce owiniętej papierem.

- No i jeszcze te notatki - powiedział z wahaniem, spoglądając na Gawędę. - Sam nie wiem, czy to prywatne, czy też... Jak pan myśli?

Gawęda także się wahał. Pomyślał o Pawle. Jeżeli ten zeszyt wraz z innymi rzeczami po nieboszczyku oddadzą wdowie, Paweł odzyska swoje „dziedzictwo”, którym zapewne chciał go obdarzyć Martens. Lecz z drugiej strony - czy doświadczenie Martensa nie należało do Polmoru? Czy nie powinno stanowić dobra ogólnego? Czy Paweł (a Gawęda dobrze znał Pawła) nie spisywał tych danych po to, żeby je następnie rozpowszechnić?

- Wiecie co - powiedział głośno. - Mnie się zdaje, że to nie Martens pisał, tylko Czernik. Naturalnie Martens go uczył i dawał mu wskazówki. Ja myślę, że Czernik zrobił sobie kopię całego tego przewodnika rybackiego, a ten zeszyt... Ja bym go zostawił tutaj: to własność statku; może nawet Polmoru? Jak już obejmiecie dowództwo na dobre, sami zdecydujecie.

Dominik wysłuchał tego wyводу z twarzą pochmurną, jak zawsze, ale z widoczną ulgą. Od początku przypuszczał, że zapiski sporządził Paweł Czernik, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, aby ten Czernik zamierzał z kimkolwiek dzielić się takimi wiadomościami. Gdyby je teraz otrzymał za pośrednictwem Anny, nikt by ich więcej nie zobaczył, to pewnie! A tak, kto wie? Może istotnie sam jeszcze będzie z nich korzystał.

Gac, nie rozumiejąc o co właściwie chodzi, spoglądał wyczekująco to na niego, to na Gawędę, gotów przychylić się do zdania szturmana, którego bez żadnych wątpliwości uważał za przyszłego szypa na Samsonie. Dominik pomyślał, że nie trzeba wtajemniczać go w szczegóły: im mniej ludzi wie o takiej sprawie, tym lepiej, choćby nie było w tym wszystkim nic nieuczciwego.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Tylko żeby już nie było żadnych „ale”, trzeba to dopisać do inwentarza.

Nazajutrz rano odbył się marynarski pogrzeb Martensa. Szturman wyszukał w swojej książce do nabożeństwa odpowiedni rozdział i głośno czytał modlitwę. Gdy dobiegł do połowy, przypomniał sobie, że Martens był protestantem. Zaciął się na chwilę, a Gac i Bednarek - przypuszczając, że to już koniec - podnieśli deskę opartą na falsburcie⁸ i zaszyte w płótno zwłoki szypa zsunęły się gładko do morza.

Dominik, zaskoczony i zmieszany, milczał chwilę, Bednarek powiedział: „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie”, i na tym się skończyło.

Teraz za s/t Samson zbliżał się do macierzystego portu, a Dominik Pieluch oddawał się rozsadzającej pierś nadziei, że najdalej za czterdzieści osiem godzin zostanie szyprem tego statku. Zastanawiał się, kogo przydzieli mu na szturmana. Może Gacą? A może byłoby lepiej Pawła Czernika?

Gac był sumienny, doskonały do ciężkiej roboty, ale w nawigacji orientował się słabo i nie znał żadnego z obcych języków, tak przydatnych na Morzu Północnym: ani niemieckiego, ani angielskiego, ani holenderskiego. Czernik natomiast ukończył już zapewne ów kurs szyperski. Nakładli mu tam do głowy wszelkiej teoretycznej mądrości, która - Dominik musiał to przyznać - jest często równie potrzebna jak doświadczenie praktyczne. Znajomość lo-

⁸ Falsburta (właśc. falszburta - niem.) - nadburcie; część burty wystająca ponad pokład.

cji⁹, posługiwanie się mapami, umiejętność wyznaczania własnej pozycji oraz właściwego kursu, wszystko to przemawiało za Pawłem Czernikiem. Poza tym Czernik przez kilka sezonów pływał z Martensem, nie tylko jako jego bosman, ale także jako bliski przyjaciel rodziny, jako przyszyły zięć. Martens z pewnością nie powierzyłby nikomu tych swoich tajemnic rybackich, które powierzał Czernikowi. Wreszcie Czernik władał biegle angielskim i niemieckim; potrafił też porozumieć się po holendersku.

Tylko czy zechce? Miewał swoje fanaberie, Dominik nieraz o tym słyszał. Był ambitny i uparty, potrafił postawić się, i to nie byle komu, choć był jeszcze taki młody,

« 14 » właściwie stnyk. Może próbowałby rządzić się na tym statku?

Myślał jeszcze o tym, gdy na maszt wspięła się flaga sygnałowa żądająca pilota. Samson szedł wprost na basen jachtowy, aby wyminąć wyraźnie oznaczone wraki na północ i północny wschód od wejścia do portu.

- Ten kurs aż do boi GD - powiedział szturman wypatrując szalupy z biało-czerwoną flagą.

Przestawił rękojeść telegrafu maszynowego na „Małą naprzód” i huknął na któregoś z młodszych rybaków na oku, żeby się nie gapił byle gdzie, tylko na farwater¹⁰.

Motorówka pilota ukazała się już na redzie i prując przed sobą łagodną falę szła pełną prędkością na spotkanie trawlera. Gac, świeżo ogolony i umyty, wyszedł na pokład, rozejrzał się dokoła i podszedłszy do windy trałowej zadarł głowę, aby się upewnić; że to Pieluch jest na pomoście.

- A co? - spytał szturman wychylając się z góry.

- Chyba powinniśmy opuścić banderę do połowy masztu - powiedział Gac. - Żałoba...

Dominik zawstydział się: byłby o tym zapomniał; Nie dał tego po sobie poznać.

- Będzie czas, jak pilot wejdzie na pokład. A luki można już odbijać, tylko pokryw nie zdejmować - dodał.

Kazał jeszcze zwolnić i wreszcie, gdy motorówka pilota minęła ich i zaczęła zakręcać, aby zatoczyć łuk i zrównać się z nimi, zatrzymał maszynę.

Łódź dobiła do burty przy opuszczonym sztormtrapie.

Pilot Wańczura uśmiechał się i witał ich przyjaźnie, unosząc dłoń do daszka czapki poczerniającej od smarów i sadzy.

- Ile wieziecie? - spytał.

Gac odkrzyknął, że ponad sto ton nie licząc dorsza i makreli.

- No to macie drugie albo trzecie miejsce.

Bosman podał mu rękę i wciągnął go na pokład.

- A kto pierwsze?

- Olst, jak zwykle - odrzekł pilot. - Ale ma niewiele więcej od was. Jego Salamandra jutro wychodzi w morze. Czekają tylko na nowego szturmana.

- Któż tam idzie na szturmana? - zapytał Dominik witając się z Wańczurą na pomo-

⁹ L o c j a (hol.) - pomocnicze wydawnictwo nawigacyjne zawierające szczegółowy opis danego obszaru wodnego, wybrzeża i portów z punktu widzenia potrzeb i warunków żeglugi.

¹⁰ Farwater (hol.) - szlak żeglowny wyznaczony bojami. Reda (przedmorze) - obszar wodny przed portem osłonięty od fali, o dnie dogodnym do kotwiczenia, na którym statki zatrzymują się na chwilowy postój wolny od opłat portowych. Winda trałowa - do wyciągania z morza włoka ze złowionymi rybami. Trap - przenośne schody lub drabinki na statku.

ście.

- Miał iść Czernik, ale dadzą kogoś innego. Terschla, tego Holendra z Ławicy, zdaje się.

- A Czernik - co?

- Nie wiem, bo Olst nawet nie mówił. On tego Czernika nie chciał. Nie lubi go, a poza tym... przecież wiecie: Holendrzy boją się naszych; żeby który nie wybadał ich „czarów”, żeby się za wiele nie nauczył. Jeszcze taki Czernik! I tak umie więcej niż inni.

Wyjął kapciuch z tytoniem i poczęstował najpierw Pielucha, potem Gacą.

- Wy ich przecież znacie, tych holenderskich skiperów - dodał zapaliwszy papierosa, którego zwinął w palcach jednej ręki z niezwykłą wprawą. - Pół rumba¹¹ w prawo - powiedział do sternika, przestawiając rękojeść telegrafu na „Małą naprzód”.

Dominik chciał się dowiedzieć, co mówią o jego kandydaturze na szypra, ale nie wypadało tak wprost pytać. Zresztą pilot chyba nie wiedział nic pewnego: dykcja trzyma takie sprawy w tajemnicy aż do ostatniej chwili. Wańczura ciągnął dalej:

- Was znali od dzieciucha i co? Po ilu latach zostaliście bosmanem? U Martensa, zdaje się?

- U Martensa - potwierdził Dominik. - Szturmanem też u Martensa.

- No więc. A ilu jest takich, co jak wy bosmaniło u Holendrów? Może jeszcze dwóch, trzech. Oni wolą swoich. Olst teraz i bosmana holenderskiego dostał.

Wolno zbliżali się ku falochronowi. Szturman kazał podciągnąć banderę do połowy masztu. Wańczura wypytywał o szczegóły wypadku z Martensem, potrząsał głową: „No, takie nieszczęście...” Potem dał sygnał syreną.

- Małą w tył - powiedział. - I ster w lewo.

Gawęda w maszynie usłyszał dzwonek, spojrzął na emaliowaną tarczę, której mosiężna wskazówka skoczyła na podziałkę z napisem „Mała w tył”, oddzwonił na pomost, zamknął zawór, przerzucił kulisę na wsteczny bieg i znów puścił parę. Tłoki stanęły tuż za górnym martwym punktem, by po dwóch sekundach ruszyć znowu, korbowody zaczęły przyklekać i wstawać wolno, potem coraz spieszniej, aż ustaliły rytm.

Statek wykręcał tyłem. „Stop! Naprzód!” zadźwięczała tarcza. Oddzwonił, zastopował, ruszył. Dobrze utrzymane mechanizmy pracowały sprawnie jak zegarek. Z góry po stopniach zbiegał Urban.

- Wchodzimy do basenu, panie inżynierze.

- Wiem - odrzekł Gawęda. - Dużo ludzi przyszło?

- Sporo. Martensową widziałem i Pieluchowa tam jest z córką, i Bednarkowa. Z dykcji też są, a WOP i celnicy już czekają. Nawet inspektor Życki się pofatygował.

Telegraf maszynowy zadzwonił znowu - raz, drugi, trzeci. Statek zwalniał, wykręcał, cofał się, dryfował¹². Z rufy i z dzioba rzucono cumy i wreszcie burta oparła się miękko na odbijaczach spuszczonej z pokładu od strony nabrzeża. Zawarczała winda trałowa, której Dominik użył, aby podciągnąć się w przód, i s/t Samson po dwudziestu trzech dniach pracy spoczął na swoim zwykłym miejscu, poniżej hali rybnej Polmoru.

¹¹ Rumb – 1/32 część horyzontu (obwodu koła); kąt równy 11 1/4 stopnia.

¹² Dryfować - zbaczać z kursu pod wpływem wiatru lub prądu. Cuma - lina do uwiązywania statku u nabrzeża; cumować (się) - uwiązywać statek przy nabrzeżu.

2.

Anna stała obok matki, nieco z tyłu, za grupą kobiet i dzieci. Nie przywdziała żałoby, jak matka, i powstrzymała łzy. Miała na sobie zwykłą, trochę tylko lepszą granatową suknię i brązowy płaszcz z czarną opaską na ramieniu. Jej spokojna twarz o łagodnym owalu i delikatnej cerze była skupiona i poważna. Nieco dumne, dość duże usta o świeżych, lekko podbarwionych wargach, białe, równe zęby i bardzo ciemne oczy o głębokim chabrowym tonie - oczy ojca, z długimi rzęsami - tworzyły jeśli nie doskonale piękny, to przecież bardzo harmonijny obraz.

Wicedyrektor Sobczyk podszedł do obu kobiet, żeby się z nimi przywitać, wyraził swoje współczucie, zamienił parę słów z Anną, prosił, żeby się zgłosiła wprost do niego po bieżące należności pieniężne i odprawę, obiecał dalszą pomoc i oddalił się.

Martensowa zaczęła cicho popłakiwać.

- Spokojnie, mamó, spokojnie - powtarzała Anna łagodnie. - Już niech mama przestanie.

Znajomi pozdrawiali je z daleka, ten i ów przystawał, zagadywał, wzdychał, pocieszał:

- No tak, moja pani... taki już los. Nie sama pani przecież zostaje na tym bożym świecie.

S/t Samson wszedł do basenu, manewrował, aż stanął na cumach. Celnicy, żołnierze WOP, za nimi Sobczyk, inspektor Życki i dwaj inni z dyrekcji weszli na pokład.

Zdejmowano tam już pokrywy z luków, a przed hale rybną zajeżdżały samochody ciężarowe pełne skrzynek na śledzie. Robotnicy przytoczyli i ustawili windę elektryczną, z hali wyjechał pierwszy trzykołowy wózek ze stertą wiklinowych koszów, zaryczał motorkiem, zaturkotał, wykręcił i stanął przy windzie. Dziewczyny w gumowych butach, fartuchach i rękawicach wyglądały przez otwarte wrota, czekając na pierwszą partię do segregacji. Z brzegu na statek i ze statku na brzeg niósł się gwar powitań, okrzyków, najpilniejszych rozmów po trzytygodniowej nieobecności mężów, ojców i braci.

Puste kosze leciały już nad burtą jeden za drugim i chwytane-nad krawędzią luku spadały w głąb. Po chwili zaburczała winda, stalówka¹³ zaczęła nawijać się na walec, a pierwszy kosz pełen ryb zlepionych, zmieszanych z lodowym szutrem podjechał w górę i pchnięty rękami daj-mana zatoczył luk nad burtą. Kierowca wózka chwycił za łańcuch, postawił kosz na platformie, odczepił haki, odrzucił je wraz z łańcuchem na pokład, a z luku prawie natychmiast wychynał kosz następny i znów z rozmachem śmignął na brzeg.

Srebrzyste śledzie połyskiwały w słońcu, lód z wolna topniał i dokoła wózka powstawała coraz większa kałuża wody, zbiegająca wąskimi strumyczkami z nabrzeża. Chmara mew z krzykiem krążyła coraz niżej, niemal między głowami ludzi. Od czasu do czasu udawało się którejś z nich porwać śledzia, który ześliznął się z pełnego kosza.

W półtorej minuty wózek był pełny.

„Gotowe, odjazd! Następny!”

Ledwie zatoczył, stanął, już lecą puste kosze, już pełne kołyszą się na rozhuśtanej stalówce: jeden, drugi, trzeci, dziesiąty...

¹³ Stalówka - lina spleciona z drutów stalowych. D a j m a n - robotnik portowy lub stoczniowy; marynarz pokładowy zaangażowany do pracy np. w czasie postoju statku w porcie.

„Gotowe, odjazd!”

Następny wózek już czeka, podczas gdy pełny wjeżdża do hali rybnej i zatrzymuje się przed rzędem długich stołów segregacyjnych. Silne ręce chwytają pełne kosze, ktoś inny wrzuca puste i: „Gotów, odjazd!” Wózek ryczy motorkiem, lawiruje, żeby nie zderzyć się z tymi, które wjeżdżają, pędzi na nabrzeże, a tymczasem śledzie sypią się na stoły srebrną lawiną.

Wprawne dłonie w gumowych rękawiczkach oddzielają kawałki lodu, patroszą, ktoś podstawia płaskie drewniane skrzynki, napelnia je oczyszczoną rybą, potrząsa, układa, podaje na wagę, a stamtąd na samochód. Coraz niżej siadają resory i wreszcie: „Gotowe, odjazd!”

Wzrok Anny z roztargnieniem błędził po tym rojowisku ludzi zajętych spiesznią pracą, rozmawiających, zatroskanych i roześmianych, pogodnych, niecierpliwych, gniewnych, krzyżujących, wychylonych z brzegu ku statkowi i rozpartych na pokładzie u burty, biegnących dokądś, wyczekujących na coś lub na kogoś.

- Dobry wieczór, Anno.

Obejrzała się i poróżowiła od uśmiechu: to był Paweł.

- Trochę się spóźniłem - powiedział. - Musiałem odebrać świadectwo z kursu. Dawno tu jesteście?

- Prawie od godziny. Tam przesłuchują szturmana i załogę.

Paweł przywitał się z Martensową i spojrzał ku trawlerowi, jakby kogoś szukał na pokładzie.

- Masz to świadectwo? - spytała Anna trochę nieśmiało, zniżając głos.

Mrugnął wesoło, sięgnął do kieszeni.

- Z pierwszą lokatą.

Ucieszyła się. Była z niego dumna. Przeczytawszy zaświadczenie o ukończeniu kursu szyprów z wynikiem celującym, spoglądała na niego raz po raz z boku. Wydawał jej się teraz jeszcze bardziej męski, jakby poważniejszy i godniejszy. Był duży, silny, barczysty. Miał jasne włosy i szare oczy, mocno zarysowaną szczękę i myślące czoło z pionową zmarszczką między brwiami.

- Jutro wychodzicie w morze? - spytała.

Odwrócił wzrok, jakby zmieszany.

- Pojutrze - odrzekł. - Może nawet dopiero we wtorek.

- O! - ucieszyła się. - A Olst mówił, że jutro.

Paweł przestąpił z nogi na nogę, odetchnął głęboko.

- Przenieśli mnie z Salamandry na Samsona - powiedział stłumionym głosem.

Anna spojrzała na matkę, potem na niego.

- Niezadowolony jesteś z tego?

- Nie, skąd! Tylko... Powiem ci później.

Nie wiedziała, co o tym sądzić, ale nie pytała już więcej: mieli przed sobą dwa dni na rozmowę. Była rada, że Paweł nie popłynie z Olstem. Wiedziała, że Olst nie jest mu przychylny.

Tymczasem na statku skończyła się odprawa celna i załoga schodziła wreszcie na ląd. Szturman Pieluch z roztargnieniem słuchał potoku wymowy swojej żony, rozglądając się za

kimś niecierpliwie. Ich córką, Zuzia, pretensjonalnie zaondulowana, ładna zresztą dziewczyna o mlecznoróżowej cerze, niechętnie wzięła kuferek Martensa, który jej podał ojciec, i szła obok niego zawstydzona, że musi dźwigać ten ciężar przy wszystkich chłopcach, którzy spoglądają na nią z uśmiechem.

Pieluch przyjrzał jej się krytycznie, zmarszczył się na widok jej cienkiej nylonowej bluzki, mruknął coś pod nosem i odwrócił się ku żonie, która pociągnęła go za rękaw, aby mu wskazać werkmistrza Romana Kowalskiego.

- Sam dyrektor Sobczyk się z nim naradza - powiedziała poufnie. - Zobaczysz, on kiedyś też będzie dyrektorem.

- Może być - zgodził się Dominik.

Wiedział, że Eugenia upatrzyła sobie Kowalskiego na zięcia, ale mierziły go jej zabiegi i intrygi przedsiębrane dla osiągnięcia tego celu. Nie brał w nich udziału: był na to zbyt dumny, choć nie miał nic przeciw werkmistrzowi.

- Teraz, jak zostaniesz szyprem - ciągnęła dalej, prostując się na samą myśl o tym - Zuzia mogłaby już przestać pracować.

Dominik aż przystanął.

- A to dlaczego?

- Cśś - syknęła wskazując wzrokiem córkę.

- Obie macie w głowach poprzewracane - warknął. - Jeszcze co? Może...

Urwał nagle, ujrzawszy Martensową, Annę i Pawła.

- No, chodźcie - mruknął.

Wysunął się naprzód i szedł z pochyloną głową, jakby zamierzał roztrącić tych troje. Zatrzymał się przed nimi, podniósł wzrok na drobną postać Martensowej i zdejmując czapkę wymamrotał parę zdań, które układał był sobie od dawna, a które teraz w żaden sposób nie chciały się trzymać właściwego porządku. Wybrnął z tego wreszcie, przechodząc do spraw materialnych, odebrał od Zuzi kuferek z rzeczami Martensa i wręczył go Annie.

Pieluchowa podeszła bliżej, żeby się także przywitać i dać upust swojej wymowie, o ileż płynniejszej niż wymowa jej męża. Paweł i Anna wypytywali tymczasem Dominika o szczegóły wypadku.

O tym mógł im powiedzieć, czemu nie? Po pierwsze to były fakty, które widział na własne oczy, które można było opisać w prostych, codziennych słowach, nie uciekając się do trudnych wyrażen z dziedziny uczuć. Po wtóre Paweł był marynarzem, Anna zaś dzielną dziewczyną: nie obawiał się, że ich czymkolwiek urazi; sami chyba wiedzieli, że był przywiązany do swego szypra, któremu wiele zawdzięczał; że go żałował jak całą załogę.

Teraz, kiedy z nimi rozmawiał, wróciła mu swoboda wysławiania się. Mógłby nawet wypowiedzieć to wszystko, co miał przygotowane dla wdowy.

Obejrzał się na żonę i córkę. Zuzia znów do kogoś szczerzyła zęby!

Co za licho w tej dziewczynie - pomyślał marszcząc brwi.

Ale tym razem chodziło o Romana Kowalskiego, który zbliżał się ku nim ze swoimi robotnikami. Dominik musiał przyznać w duchu, że ten Kowalski, gdyby chciał, istotnie mógłby zawrócić w głowie niejednej. A przy tym był pewien siebie, lecz nie zarozumiały i nie próżny, zdolny, pomysłowy, bystry i umiał pracować za trzech, a bawić się za czterech. Jakże miały nie lubić go dziewczyny? Zarabiał dobrze, a jego pomysły i drobne wynalazki zy-

skiwały mu coraz większe uznanie dyrekcji, jakkolwiek inspektor Życki od dawna był mu niechętny.

Dominik nie wiedział, czy Roman istotnie interesuje się jego córką. Nie miał czasu na takie sprawy.

A Zuzanna? Czy ona była tyle warta, co Roman? No, szyperska córka - pomyślał. - Też nie pierwsza lepsza! Kowalski zobaczył ich i zawołał, żeby na niego zaczekali.

- Najpierw winda kotwiczna - zwrócił się do swoich brygadzystów. Zdjąć boczne pokrywy, rozkręcić, wybić czopy. Tam pierwszy mechanik został w maszynie, to wara pokaże, jak będzie trzeba. Gawęda się nazywa. A zresztą ja zaraz przyjdę. Tylko Staszek niech tymczasem kable podłączy do spawania zastrzałów u kozła sieciowego. I raz-dwa, bo jeszcze dziś wszystko trzeba przygotować.

Klepnął po plecach najmłodszego, Staszka, odwrócił się na pięcie i wielkimi krokami zdążył ku oczekującym go kobietom, za którymi stali Paweł i Dominik. Uśmiechnął się do Zuzi, przelotnie uściśnął ramię Anny, pochylił głowę przed Pieluchową podając jej rękę i czule objął drobną Martensową. (Od dzieciństwa przywykł odnosić się do „niej jak do własnej matki, która odumarła go wcześniej.) Potem zamienił jeszcze uścisk dłoni z Dominikiem i spoglądając spod oka na Pawła powiedział:

- No to Samson ma już nowego szypra. Najlepszego chyba po wuju Ludwiku.

Eugenia rozpląnęła się w uśmiechu i wszystkie spojrzenia skierowały się na Dominika, który wyprostował się dumnie, polectany tym komplementem.” Tylko Paweł przestępował z nogi na nogę, zmieszany i nachmurzony.

- Samson idzie w dobre ręce, mamó - ciągnął dalej Roman, wyraźnie ubawiony jego ponurą miną. - Myślę, że to chyba i dla was przyjemniej? Paweł wam teraz przecież bliższy niż ktokolwiek.

- Paweł? - Anna nie mogła powstrzymać tego okrzyku, który dopiero uświadomił wszystkim, że mylili się w swoich przewidywaniach. - Paweł... Pawle - powiedziała ujmując go pod ramię i zaglądając mu w oczy.

Nie mogła wyrzec nic więcej, tak była wzruszona, on zaś nie wiedział, jak się ma zachować i zły był na Romana,

że właśnie teraz wyjechał z tą nowiną. Uśmiechnął się do Anny i przytrzymał jej rękę, jakby szukając u niej oparcia w tej niepewności.

Martensowa, sama bardzo przejęta, wybawiła go z zakłopotania.

- No, przecież - zaczęła, przerywając co chwila i potrząsając jego ręką. - Nie wiedziałam, nic nie wiedziałam. Z całego serca Pawłowi życzę... I żeby się wiodło jak najlepiej... we wszystkim. Bardzo, naprawdę bardzo się cieszę...

- Dziękuję - odrzekł Paweł. - To dla mnie też była niespodzianka. Dopiero przed godziną powiedzieli mi w dyrekcji, no i nie wiedziałem, jak pani... jak mama - spojrzał na Dominika, który stał błydy, porażony tą wiadomością - jak cała załoga... Bo przecież to będzie moje pierwsze dowództwo i tylko na to liczę, że szturman Pieluch i bosman Gac, i Gawęda... że mi pomożecie?

Dominik otwierał i zamykał usta, nie mogąc złapać tchu, jak ryba wyjęta z wody. Obejrzał się na żonę. „Ty niedołęgo!” mówiło jej zimne, pogardliwe spojrzenie.

Kowalski starał się teraz ratować sytuację:

- Pomogą ci na pewno. Przecie swoi ludzie, rybacy. No nie, panie Pieluch?

- Ano - odrzekł Dominik niezbyt pewnie - cóż... Winszuję, winszuję.

- Nie każdy tak młodo zostaje szyprem - wtrąciła Eugenia z jadowitym uśmiechem. - Trzeba rzeczywiście mieć szczęście. Powinszować. Pannie Annie także. No i pani - skłoniła głowę przed Martensowa.

- To i ja panu życzę powodzenia - odezwała się Zuzia.

Matka pociągnęła ją energicznie ku sobie.

- Czas do domu.

Sztywno, z godnością kiwnęła głową, wyprostowała swą chudą, wysoką postać i ujawszy pod ramię Dominika szybko ruszyła naprzód, ciągnąc go za sobą.

Roman, Paweł i Anna patrzyli za nimi w milczeniu. Pieluchowa puściła ramię męża i zaczęła szybko mówić, gestykułując gwałtownie. Dominik szedł przygarbiony, wzruszając co chwila ramionami i opędzając się od jej słów jak od uprzykrzonych komarów.

Ksiądz Rudowski spiesznie kończył nabożeństwo. Trochę się to wszystko zanadto przeciągnęło: poniosło go przy kazaniu, które zmienił w ostatniej chwili, aby nawiązać do śmierci Ludwika Martensa i dalszych losów jego duszy, która, odcierpiawszy pokutę czyścicową, być może dopuszczona zostanie do nieba. Tak mniemał, natchniony spowiedzią Dominika Pielucha, spowiedzią niespodziewaną, której musiał osobiście wysłuchać z uwagi na prośbę żony szturmana.

Niecierpliwiło go to, ponieważ zaraz po mszy miał posiedzenie Komitetu Katolickiego, a następnie śniadanie, na które zaprosił go inżynier Życki. To śniadanie było najważniejsze: pomijając już wykwintne dania i dobre wina, jakimi inspektor techniczny Dalmoru podejmował swych gości, w przyjęciu miało wziąć udział kilka osób z owego Komitetu i pewna osobistość z kurii biskupiej.

Tymczasem ta Pieluchowa... Nie mógł jej odmówić: była prezeską sodalicji i podporą jego działalności wśród kobiet; wodziła rej między starszymi dewotkami, których zresztą nie cierpiał, sprawowała nadzór nad dziewczętami ze Stowarzyszenia Serca Jezusowego, przemawiała na zebraniach, agitowała, kierowała opinią...

Nie wątpił, że to ona skłoniła męża do odbycia spowiedzi, gdy jej wyjawiał swoje wątpliwości w sprawie ostatniej posługi, jaką był oddał Martensowi. Martens bowiem był ewangelikiem czy też kalwinem i szturman nie wiedział, czy wypadało odmówić katolicką modlitwę podczas jego marynarskiego pogrzebu. W dodatku odmówił ją tylko do połowy...

Pieluchowa uznała to za ciężki grzech i wietrzyła już swąd piekielnej siarki, w której Dominik będzie się smażył do końca świata. Wymogła więc na nim, że zaraz nazajutrz, w niedzielę przed mszą oczyści sumienie i na wszelki wypadek przyjmie komunię. Dla wzmożenia skuteczności tych zabiegów przykazała mu, żeby spowiedź odbył u samego proboszcza Rudowskiego, którego bardzo poważała.

Dominik dla świętego spokoju poddał się i uczynił, co mu kazano. Doznał zresztą istotnie pewnej ulgi, gdy ksiądz Rudowski napomniawszy go poważnie i zadawszy pokutę, udzielił mu wreszcie rozgrzeszenia.

Nie rozumiał wprawdzie, co Panu Bogu przyjdzie z tego, że on, szturman Pieluch, przez tydzień nie będzie palił ani fajki, ani papierosów i dlaczego takie umartwienie ma po-

móc duszy Ludwika Martensa, ale przyjął z pokorą ten wyrok.

Ksiądz Rudowski podczas kazania rozwdził się szeroko nad niezbadanymi drogami najwyższej łaski, która obiera sobie za narzędzia prostych ludzi, aby ratować zbłąkane dusze przed mękami piekła. Kazanie było wskutek tego dość zawile i długie, a msza - i tak już spóźniona przez tę spowiedź - przeciągnęła się nadmiernie.

Spóźnię się - myślał proboszcz, błogosławiąc spieszenie i żegnając krzyżem swych parafian. - Wszystko przez tę głupią babę...

Był na czczo, a myśl o śniadaniu u inspektora podniecała apetyt. Ale nie miał już czasu choćby na skromną przekąskę.

Licho nadało to posiedzenie - pomyślał.

Przyklęknął przed ołtarzem i szybko poszedł do zakrystii, aby zdjąć szaty liturgiczne. Po drodze spojrzął na zegarek: „Dwadzieścia minut! A beze mnie przecież nie zaczną...”

Dominik też był głodny i znosił to znacznie gorzej niż ksiądz Rudowski: burczało mu w brzuchu jak w rurze wodociągowej, irytował go tłok przy wyjściu z kościoła i surowa twarz żony oczekującej go wraz z Zuzią między ławkami. Tkwiły tam obie, tworząc zator, przez który nie mógł się przecisnąć: Gienia - godna, brzydka, triumfująca, i Zuzia - niewiniątka ze skromnie spuszczonej oczyma.

Dotarł do nich wreszcie i szli już razem, pod rękę, wzorowe stadło, wśród spojrzeń i szeptów wywołanych kazaniem, które zwróciło na nich powszechną uwagę.

Dominik pomyślał, że Eugenii o to właśnie chodziło: zawsze starała się być ośrodkiem zainteresowania; wyżywała się w ten sposób. Wzruszył ramionami: dziwaczne upodobania.

Minęli otwarte na oścież wrota kościelne. Zrazu oślepiło ich słońce i dopiero po chwili można było rozejrzeć się wśród znajomych. Świeże poranne powietrze po dusznej atmosferze kościoła, przesyconej kadzidłem i ludzkim potem, smakowało jak źródłana woda. Ale Dominik pożałował w tej chwili czegoś znacznie konkretniejszego: kufel piwa i kawał kiełbasy, oto, co by mu najbardziej odpowiadało.

Dojrzał w tłumie przed kościołem Olsta i paru innych szyprów, którzy go otaczali, czekając aż Holender zaprosi ich na pożegnalny poczęstunek. Nie kwapił się ku nim, bo na niczyje poczęstunki nie zwykł był liczyć, ale Olst dostrzegł go także i zawołał, żeby szedł z nimi, więc bez pośpiechu, z godnością przyjął to zaproszenie.

- Idę coś zjeść - mruknął do żony. - Wstąp tam po mnie do gospody.

Paweł szedł w stronę portu rozmyślając o sprawach swego statku i dowództwa, które otrzymał tak niespodzianie. Zastanawiał się nad odpowiedzialnością, jaka na niego spadła, nie dlatego, że sobie nie ufał, tylko dlatego, żeby zebrać wszystkie siły, umocnić się i przygotować na wszelkie możliwe trudności w tej walce, jaka teraz go czekała. Zdawał sobie sprawę, że większość załogi pokładowej z Pieluchem i Gacem będzie mu z początku niechętna i że zdobycie zaufania tej większości nie przyjdzie mu łatwo, ale że musi dokonać tego zaraz na początku wyprawy, jeżeli ma ową walkę wygrać. Znał wprawdzie załogę Samsona, bo odbył z nią połowy białej ryby¹⁴ i śledzi aż pod Islandią i na Morzu Barentsa, ale o ileż lepiej znali ją szturman Pieluch i bosman Gac!

Z rybaków znał dobrze Feliksa Bednarką i wiedział, że może na niego liczyć, podob-

¹⁴ Biała ryba – dorsz, makrela, tuńczyk, płastuga (w odróżnieniu od śledzia).

nie jak jeszcze na dwu lub trzech starszych, a z młodszych - na Kotowskiego. Pierwszy mechanik Gawęda był mu z pewnością przychylny. Mógł też polegać na Urbanie. O pozostałych wiedział, że mają dobrą opinię. Tu, na łądzie, też miał przyjaciół: wicedyrektor Sobczyk, Roman Kowalski, no i Anna. Myślał o niej zawsze ze wzruszeniem. Ufała mu, wierzyła w jego takt i talent szyperski. Wyszedłszy z domu wstąpił do Martensów i dowiedział się, że Anna poszła na Samsona.

- Myślała, że tam Pawła zastanie - powiedziała Martensowa.

Uśmiechnął się: chciała zobaczyć, co już zdążyli zrobić; ten statek obchodził ją teraz równie blisko jak jego samego.

Sięgnął po papierosy i przekonał się, że nie ma ani jednego. Kioski były zamknięte, więc wstąpił do gospody na rogu i podszedł wprost do bufetu, nie zwracając uwagi na ludzi siedzących przy stolikach. Ale gdy zapaliwszy papierosa czekał na wydanie reszty, usłyszał swoje nazwisko, wypowiedziane niskim, nieco ochrypłym głosem, który znał dobrze. Spojrzał w szybę bufetu i zobaczył odbicie tęgiej postaci Olsta, który wtrącając holenderskie przekleństwa wykladał coś otaczającej go starszyźnie rybackiej. Byli tam dwaj inni szyprowie, szturman Pieluch i bosman Gac oraz paru starszych rybaków z Salamandry. Olst fundował piwo i - jak można było wnosić z zaczerwienionych twarzy - okazał się tym razem niezwykle hojny.

- On jest młody fryc, ten Szernik - mówił podnosząc w górę palec i potrząsając nim przed nosem Dominika. - On szuka nowe metody, hot-verdamme! Nowe metody, Himmel! On miszli, że jest bardziej mądry od starego Olsta.

- Już on was Wykieruje - prorokował któryś z rybaków, zwracając się do Gacą, który zdawał się zasypiać nad swoim kuflem i nagle, obudzony tą uwagą, spojrział spode łba dokoła.

- Taki smyk? - zaperzył się. - My go jeszcze nauczymy.

- Sam powiedział do Pielucha, że sobie nie da bez was rady - wtrącił szturman Teschel. - Prawdę mówię, Pieluch, czy nie?

Dominik spojrział na niego z góry i mruknął coś, czego Paweł nie dosłyszał. Tymczasem Olst dolewał oliwy do ognia: taki statek powierzać młokosowi, słyszane rzeczy? Nic on nie złowi, chyba łby od dorszów, które angielscy rybacy wyrzucają za burtę. Naturalnie, jeżeli w ogóle potrafi znaleźć angielskie statki. No - zaśmiał się głośno - jak już będzie bardzo źle z Samsonem, on, Olst, weźmie go na hol i podciągnie pod rufy¹⁵ Anglików, żeby mógł wyłowić trochę tych rybich łbów wyrzucanych do morza.

Szturman i rybacy z Salamandry gruchnęli na to śmiechem, a ich szyper, zadowolony z dowcipu, odwrócił się w stronę bufetu, aby zawołać o nową kolejkę piwa, i nagle zobaczył Pawła, który mierzył go chłodnym spojrzeniem.

Było to dla Olsta tak nieoczekiwane, że aż się cofnął, omal nie przewracając krzesła. Pozostali podnieśli głowy i wszystkie spojrzenia skierowały się na Pawła, jakby w oczekiwaniu na jakiś jego gwałtowny wybuch.

Ale Paweł był chłodny i opanowany.

- Panie Olst - powiedział spokojnie. - Zobaczymy się znów za trzy tygodnie w Gdyni. Nie tu, w gospodzie przy piwie, tylko w dyrekcji przy tabeli rozrachunkowej. Tam pogadamy.

Odwrócił się wśród zupełnej ciszy i wyszedł.

¹⁵ Rufa (niem.) - tylna część kadłuba statku.

- Hot-ver-dam-me... - zaklął z wolna Holender, szukając słów, którymi należało zatrząść piorunujące wrażenie, jakie sprawiło rzucone przez Pawła wyzwanie. - Hot-ver-damme, ten szlowiek...

Wtem przerwał mu głośny stuk i brzęk szkła. To bosman Gac wyrzucił potężną pięścią w stół, aż podskoczyły opróżnione kufle.

- Racja! - ryknął na całe gardło. - A wy uważajcie, żeby Samson nie musiał holować waszej łajby!

- Pijani jesteście, Gac - powiedział ktoś z Salamandry. - Wszystko wam się we łbie pokręciło.

3.

Gdy s/t Samson znalazł się na pełnym morzu poza cyplem Helu i położył się na nowy kurs zdążając w kierunku Cieśniny Sundzkiej, szyperska wachta dobiegła końca. Dominik posępny i milczący przyszedł do sterówki, aby zmienić Pawła na pomoście. Nie patrzył na niego, lecz podczas gdy nowy szyper wydawał pierwsze zarządzenia dotyczące żeglugi, stał przed nim, zwrócony nieco bokiem i pogrążony w niemej kontemplacji końców swych gumowych butów.

Nie odezwał się też ani słowem, gdy Paweł skończył. Mogło się zdawać, że polecenia szypra w ogóle nie dotarły do jego świadomości. Bosman Gac, który majstrował coś przy stole nawigacyjnym, zebrawszy swoje narzędzia stał w przejściu i milczał także, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

- Zrozumieliście mnie, szturmanie? - spytał Paweł, zniecierpliwiony tą kamienną niemotą Pielucha.

Ten jakby się ocknął. Podniósł głowę, spojrział na Pawła ciężkim, ołowianym wzrokiem i wzruszając ramionami odrzekł:

- Cóż bym nie miał zrozumieć. Nie pierwszy raz jestem na morzu.

Paweł nie zareagował na tę cierpką odpowiedź. Nie chciał wszczynać sprzeczki ze szturmanem zaraz po wyjściu z portu.

- No więc - mruknął tylko i ruszył ku trapowi, żeby zejść na pokład.

Ale zanim minął kilka szczebli, Dominik ożywił się.

- Czy zrozumiałem, uważacie - powiedział do Gacą dość głośno, żeby Paweł mógł słyszeć. - Od pięćdziesięciu lat tłukę się po morzu, a byłem już chyba bosmanem, jak on jeszcze do szkoły nie chodził... I pyta się mnie, uważacie, czy zrozumiałem!

Gac chciał coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili Paweł zawrócił, więc tylko trącił łokciem Pielucha, żeby go ostrzec. Obaj wyzywająco patrzyli na szypra, zaskoczeni nagłością jego powrotu, mimowiednie stając mocniej na nogach, jakby gotując się do odparcia jego ataku.

Zawiedli się: Paweł był spokojny i opanowany; wcale nie zamierzał wszczynać awantury.

- Bosmanie - zwrócił się do Gacą – posegregujecie zaraz sieci w magazynie. Te, które wzięliśmy na miejsce starych, i trzeba je porządnie poukładać.

Gac podrapał się w brodę i spojrzawszy zezem na Dominika odrzekł krótko, że dawno już to zrobił. Pieluch skrzywił się drwiąco. Paweł zauważył, że porozumiewawczo trącają się

łokciami.

- Chcecie sprawdzić? - spytał bosman,

Szczęki Pawła zwarły się mocniej.

- Tak - odrzekł. - Chcę sprawdzić. Z wami razem.

Ruszył w stronę trapu, odwrócił się, obiema dłońmi ujął poręczę i spojrzał na bosmana wyczekująco.

Pod wpływem tego spojrzenia Gac przestał się wahać: szyper jest szyperem i może kontrolować każdą robotę na statku - takie jego prawo... Ale był rozdrażniony i gotów do kłótni o byle co. Ten Czernik nie będzie go uczył, jak się przechowuje sieci!

Poszedł za nim na bak¹⁶, mrużąc pod nosem. Zeszli na dół, pod pokład, ocierając się ramionami o grodzie w ciasnej schodni. Paweł otworzył zasuwane drzwi, przestąpił próg. Bosman stał za nim, wetknąwszy tylko głowę do magazynu.

- Tu są te dwa nowe włoki - pokazał palcem. - A tu zapasowe matnie.

Stosy sieci porządnie poskładanych piętrzyły się w oddzielnych przegrodach. Na półkach zabezpieczonych listwami leżały bobiny, pływaki, pierścienie, bójki i sztangi. Zapasowe liny konopne, zbuchtowano równo, starannie, jak na wystawę. Igły, szpule, kłębki sznurka - wszystko we wzorowym ładzie, jakiego Paweł nie spodziewał się zastać. Wnętrze było suche, czyste, dobrze wietrzone, jak wówczas, gdy sam był tu bosmanem u Martensa, jak chyba na żadnym innym trawlerze.

Ucieszył się: to przecież było ważniejsze niż dąsy szturmana i bosmana. Niech się dąsają nadał, byle zawsze tak pracowali, dbali o statek i o sprzęt.

Z rozjaśnioną twarzą zwrócił się do Gacą. Pochwalił ten wzorowy porządek i oświadczył, że nie ma nawet najmniejszych zarzutów.

Bosman, milczał, ale widać było, że mu to pochlebia.

No - pomyślał już bez złośliwości - na tym to on się rozumie.

Wszedł za Pawłem z powrotem na pokład i zapytał, czy szyper ma dla niego jeszcze jakieś polecenia.

- Nie - odrzekł Paweł. - Na razie to już wszystko. Dziękuję, bosmanie.

Rozstali się na głównym pokładzie, myśląc o sobie przychylniej niż dotąd. Gac poszedł na rufę, Paweł do swojej kabiny poniżej sterówki, żeby się tam urządzić.

Właściwie chciał po prostu przez chwilę zostać sam. Aby uporządkować myśli, aby oswoić się ze swoją nową rolą szypra. Aby objąć w posiadanie także i tę szyperskąabinę, jak objął już cały statek wydając rozkazy z pomostu.

Rozpakował swoje rzeczy, rozłożył je na półkach i rozwiesił w szafie, postawił dużą fotografię Anny na prostym dębowym biurku, wyjął kilka teczek z papierami i dokumentami, a potem sięgnął do górnej szuflady biurka, w której Martens zwykle przechowywał swoje notatki. Czarny zeszyt z uwagami o łowiskach dorsza i śledzia, który prowadził jako bosman Martensa, leżał tam na zwykłym miejscu.

A więc Dominik nie przywłaszczył go sobie. Mógł być to zrobić, nikt by o tym nie wiedział. Ale Dominik był na to za uczciwy. Nawet taka rzecz go nie skusiła.

¹⁶ Bak (hol.) - tu: przednia (dziobowa) część pokładu statku, najczęściej podwyższona. Sztanga - chorągiewka na tyczce z pływakiem służąca do oznaczania miejsca połowu (zamiast boi). Buchtować - zwijać liny w spirale.

Przejrzał inwentarz. Wszystko zgadzało się dokładnie, Szturman był człowiekiem sumiennym i systematycznym.

Podobnie jak Martens - pomyślał.

Martens, Martens, Martens... Co chwila natykał się na ślady jego obecności. Wydawało mu się, że jego dawny szyper wejdzie tu lada chwila, że stoi za nim, że na niego patrzy.

Tu będę spał - pomyślał znowu, spoglądając na swoją koję. - Tu, gdzie on sypiał.

Nie było to uczucie szczególnie przykre: lubili się ze starym, ufali sobie, szanowali się nawzajem. Ale Paweł postanowił, że pozbędzie się tych natrętnych wspomnień. Chciał sam dowodzić Samsonem; bez wpływu Martensa. Chciał sam być kapitanem tego statku, mieszkańcem tej kabiny, nie dzieląc dowództwa nawet z cieniem dawnego szypra. Zamierzał wiele spraw zmienić, jakkolwiek nie lekcewał i nie odrzucał doświadczeń, rad i ostrzeżeń, jakich mu niegdyś Martens udzielał. Miał swój własny pogląd na te sprawy i nie myślał niewolniczo naśladować niczyich wzorów, nawet jego.

Przestawił to i owo, zawiesił nową zasłonę nad koją, rozłożył książki, które zabrał z domu. Spojrzał dokoła. Tak, było tu już teraz trochę inaczej: poczuł się bardziej u siebie.

Przed kolacją poszedł do kuchni, skosztował zupy, zajrzał do wszystkich garnków, do spiżarni i lodowni.

Kocorz był zaskoczony tą inspekcją i wtrącaniem się szypra do spraw kuchennych, ale starał się tego nie okazywać.!: _

Nowa miotła - powiedział sobie. - Jak się trochę zedrże, będzie po staremu.

Pomyślał, że zapewne Czernik lubi dobrze zjeść i postanowił poznać jego upodobania: zapytał, co ma dla niego przyrządzić.

- To samo, co dla wszystkich - odrzekł Paweł. - Nie będę jadał oddzielnie. Chcę, żeby wszyscy na tym statku jadali smacznie i zdrowo.

„Szefer” podrapał się za uchem.

- Chyba nikt z załogi na mnie nie narzekał?

- Mam nadzieję, że nie będzie narzekał - powiedział Paweł z naciskiem. - Samson ma pierwszorzędną załogę, więc i kucharz musi tu być pierwszorzędny. Tak czy nie?

- No, chyba tak. Co racja, to racja - zgodził się Kocorz. - Ja się przecie staram.

Po kolacji szyper zjawił się w maszynie i w kotłowni, porozmawiał z Gawędą i z Urbanem, zagadnął tego i owego z palaczy i trymerów¹⁷.

Gorąco tu było jak w łaźni, choć nie bardziej niż na innych trawlerach.

- Moglibyście skombinować lepszą wentylację - powiedział do Urbana. - Co to dla was? Drobiazg. A ludzie się duszą.

Gawęda już o tym myślał.

- To nie jest takie proste - odpowiedział za Urbana. - Trzeba by jakiś motorek elektryczny...

- A transmisję od pompy? - przerwał Urban. - O tu nabić kółko, choćby takie od bloku, tam na górze drugie na osi, puścić tę oś przez grodz do kotłowni...

Gawęda się roześmiał.

- Tam dać trzecie, i to ze skośnym trybem, który poruszałyby inny skośny tryb na osi

¹⁷ Trymer (ang.) - węglarz, pomocnik palacza dowożący węgiel do kotłowni; także - specjalista od rozmieszczania ładunku masowego w ładowniach statku.

pionowej, a przekładnia zębata poruszałaby wiatraczek wentylatora, tak? Diabelnie proste urządzenie: cała fabryka!

- Rzeczywiście - przyznał Urban. - Ale skąd inżynier weźmie motorek?

- Nie taka znów sztuka zrobić. Para elektromagnesów...

Urbanowi błysnęły oczy.

- Mam! Bosmanowi zepsuła się ręczna wiertarka elektryczna.

- No to co? - spytał Paweł.

- A, już mnie ze trzy razy nagabywał, żeby mu ją naprawić, ale w końcu, jak zachodziłiśmy do Kopenhagi, szyper mu kupił nową. Zaraz ja tę zepsutą znajdę i będziemy mieli motorek.

- Jak wam ją bosman da - dorzucił sceptycznie Gawęda.

- Już ja go wykołuję - uśmiechnął się Urban. - Weźmie się ją do naprawy, a potem... No, polem to już jej nie będzie.

Paweł też się uśmiechnął. Nie miał zamiaru wtrącać się do tej niezupełnie czystej sprawy. Pomyślał, że lepiej mieć dobry wywietrznik niż zepsutą wiertarkę, zwłaszcza gdy jest już druga, nowa.

Wrócił na pokład, wszedł na pomost, gdzie zastał Dominika i Gacą. Bosman obejmował swoją wachtę. Dominik spojrzał na szypra spode łba jak na intruza. „Po coś tu przyszedł? - mówiło jego spojrzenie. - Pilnujesz? Nie ufasz nam, starym marynarzom...” Wyminął Pawła w milczeniu i oddalił się. Gac też milczał, unikając spotkania z jego wzrokiem, więc i Paweł nie wszczynał rozmowy. Spojrzał na barograf, rzucił okiem na mapę z wykreślonym przez siebie kursem i rozejrzał się po czystym niebie.

- Pogoda jak w lecie - przemówił marynarz u steru.

- Tak - odrzekł Paweł. - Byle się utrzymała na Morzu Północnym.

- Może się utrzyma - powiedział tamten.

- Ale! - bąknął Gac. - W listopadzie?

- Ja też na to nie liczę - zgodził się Paweł.

Sprawdził jeszcze kurs na kompasie i zabierał się do odejścia.

- Obudźcie mnie przed północą, bosmanie - powiedział macając stopą szczebel trapu.

- Tak jest - mruknął Gac. - Obudzę.

Paweł wolno szedł wzdłuż pokładu. Było zimno, północno-wschodni rzeźwy powiew odgarniał dym z komina i niósł go nad morzem nisko, skośnie od lewej burty. Czarne, połykliwe fale dopędzały statek, unosiły go miarowo na długich, wygiętych barach i opuszczały w bruzdy. Ostry sierp księżyca nabierał blasku. Cicho pośpiewywały wanty¹⁸ i sztagi u masztów.

Postanowił jeszcze zajrzeć do jadalni i do pomieszczeń załogi rybackiej. Zastał obie wolne wachty prawie w komplecie zgromadzone dokoła stołu. Kilku grało w karty, Kotowski czytał, reszta przyglądała się grze lub rozmawiała o zdarzeniach na lądzie i o zwykłych swoich sprawach.

Zrobili mu miejsce na ławce:

- Prosimy siadać.

¹⁸ Wanta (niem.) - lina stalowa usztywniająca maszt w kierunku burty statku. S z t a g (niem.) - lina stalowa usztywniająca maszt w kierunku dziobu.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział widząc, że przerwali grę.

Leter, czterdziestoletni dorodny mężczyzna, który wrócił ze Stanów Zjednoczonych, opowiadał o połowach na Atlantyku.

- Tam taki mają system jak Niemcy. Na trawlerze flagowym, jest taki jeden mądrała, co się na tym zna, gdzie będzie ryba. On wskazuje łowiska, a reszta - za nim. To czasem, jak się inne flotylle dowiedzą, nie ma gdzie rzucić włoka, tak ciasno. Bo każda firma tam ma po kilkanaście statków. Ale rybacy mają gorzej niż u nas.

- Jak to gorzej? - spytał ktoś z boku. - Gorzej płacą?

- Płacą nawet lepiej, tylko za ten zarobek trudno żyć: drożyzna.

- Anglicy też mają swój system - powiedział młodszy rybak Zapał. - Tam znów każdy łowi na swoją rękę, ale musi być standard: jak śledź ma mniejszy wymiar niż według przepisu, idzie z powrotem za burtę. Nie na ilość tam łowią, tylko na jakość.

- Przyjdzie taki czas - wtrącił Paweł - że u nas będzie się łowić i na ilość, i na jakość. My spróbujemy tak właśnie łowić już teraz - dodał i nagle umilkł, jakby pożałował, że wypowiedział te słowa.

Nikt zresztą na to nie zwrócił uwagi. Kotowski zamknął książkę i spojrzał dokoła.

- No pewnie - przyświadczył. ~- Tak samo ze wszystkim było: najpierw na przykład u nas materiały na ubrania jakie robiło się? Nieszczęśliwe, ale jak najwięcej. A teraz już oni tam na jakość robią. Tak i z rybą.

Paweł spojrzał na niego przychylnie. Lubił Kotowskiego. Pamiętał go jeszcze jako młodego praktykanta na Sam-sonie. Śmieli się z jego wileńskiego akcentu. Był zręczny i umiał pracować. Prędko został młodszym rybakiem, co mu się słusznie należało.

Będzie z niego pociecha - pomyślał.

Wyjął paczkę papierosów, poczęstował wszystkich kolejno. Zamyślił się o tych śledziach, podczas gdy oni dalej rozmawiali między sobą.

Martens utrzymywał, że największe, najlepiej Wyrośnięte ryby wcześniej od innych opuszczają kolejne żerowiska. Płyną szybciej, pierwsze zajmują nowe tereny i zebrawszy obfite zasoby planktonu wnoszą się dalej, zanim nadciągnie reszta. Jeśli trafi się na taką ławicę, jeżeli Szyper potrafi utrzymać się przy niej, połów bywa bardzo dobry, a ryzyko sownicie się opłaca. Paweł sam miał sposobność przekonać się o tym, gdy przypadkiem, po prostu wskutek omyłki w zliczeniu pozycji, zapędzili się za daleko na południe, tam gdzie jeszcze o tej porze nikt nie spodziewał się obecności śledzi. Rzucili włok zawróciwszy na północ, ot tak, aby tylko podjąć beznadziejną próbę, i po upływie godziny mieli w matni prawie pięć ton tłustego śledzia o niebywałych rozmiarach. Udało się to zresztą tylko za pierwszym razem: następny zaciąg był daremny; ławica zmieniła kierunek i znikła, więc wrócili na zwykłe łowiska. Ale ten wypadek nie dał już spokoju Pawłowi. Jego dokładny opis z wszelkimi szczegółami i uwzględnieniem wszystkich okoliczności mogących mieć wpływ na pojawienie się śledzi w owym miejscu uzupełniły dalsze obserwacje, przypuszczenia i wnioski. Nie mógł ich dotychczas sprawdzić, bo nawet Martens nie dał się na to namówić. Teraz...

Ilość i jakość - powtórzył w myśli.

Skończył papierosa i wstał, życząc ludziom dobrej nocy. Potem zszedł jeszcze do kubryku¹⁹, gdzie było ciasno i ciemno, jak na wszystkich starych trawlerach budowanych w An-

¹⁹ Kubryk (hol.) - pomieszczenie mieszkalne dla załogi statku.

głii i w Szkocji przed trzydziestu laty.

Jego wzrok po chwili przystosował się do ciemności i błądząc po piętrowych kojach spotkał tam parę szeroko otwartych oczu.

- Mucha? - spytał zbliżywszy się do sterty łańców, spomiędzy których bieląła twarz chłopca.

- Ja, panie szyper.

- W ubraniu śpisz? Teraz? Jak jeszcze nie ma nic do roboty?

- A tak już... Zimno tu, więc się nie rozebrałem.

- Cóż to, nie masz koca?

Chłopak był zmieszany i zawstydzony.

- Taki koc... Same dziury. Lepszego nie mam.

Paweł zmarszczył brwi.

- Chodź ze mną - powiedział.

Wacek Mucha wygrzebał się z barłogu i posłusznie ruszył za szyprem, który szedł przodem, nie oglądając się.

- Zaczekaj tu - rozkazał otwierając drzwi swojej kajuty.

Po chwili wyszedł stamtąd z ciepłym wełnianym kocem w ręce.

- Masz - powiedział rzucając go chłopcu. - I żebyś mi nie sypiał w ubraniu, rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekł Mucha, zaskoczony tym, co go tak nieoczekiwanie spotkało,

- No, zmiataj już. Czego stoisz?

- Bo... bo dziękuję, panie szyper - wyjąkał.

4.

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom bosmana, pogoda trwała. S/t Samson przebył Sund, Kattegat i Skagerrak, przeciął Great Fisher Bank z północnego wschodu na południowy zachód i znalazł się na wodach Dogger Bank, nieco dalej ku południowi niż większość trawlerów poławiających śledzie o tej porze roku.

Siedź jest rybą wędrowną. Na Morzu Północnym pojawia się w czerwcu daleko na północy, powyżej Wysp Szetlandzkich, często nawet jeszcze dalej, na wysokości Islandii. Stamtąd w ciągu lata jego ławice posuwają się na południe różnymi drogami o krętych, kapryśnych szlakach dotychczas nie zbadanych, częściowo tylko znanych wytrawnym rybakom.

Ławica nigdy nie płynie przez dłuższy czas prosto: zbacza, zawraca, zwalnia, żeruje w ulubionych miejscach, wykręca na zachód, na wschód. W lipcu i sierpniu wielkie przestrzenie Fladen Groundu, łowisk rozciągających się na południowy wschód od grupy wysp Orkney, pomiędzy północną Szkocją a Norwegią, stają się głównym miejscem spotkania trawlerów brytyjskich, szwedzkich, norweskich, niemieckich, holenderskich, duńskich, belgijskich i polskich. Ale nie dość jest przypląć na Fladen Ground, aby napęłnić ładownie śledziem. Wody obfitujące w tę rybę obejmują około trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Dno morza wznosi się, opada, tworzy wyrwy i doły, usiane jest kamieniami, wrakami, zarośnięte na płycznach całymi lasami długich, splątanych wodorostów. Są tam miejsca znane ze znakomitych połowów, ale tylko w pewnych warunkach, zależnie od pory dnia, od pogody,

od temperatury, od pojawienia się planktonu, od przyływów i odpływów, od zmiennych, trudnych do zauważenia prądów. Trzeba umieć odróżnić kolor wody, zagęszczenie planktonu, jego odmiany i zachowanie się, trzeba pamiętać o dziesiątkach okoliczności, o kierunku i sile wiatru, o głębokości, o charakterze dna, trzeba znać zwyczaje, szlaki, wymagania ryb, trzeba mieć intuicję i szczęście, aby połów się udał. Posługiwanie się radiem, echosondą²⁰ i logiem, regulowanie napięcia lin, czasu trałowania, obciążenia włoka, takie czy inne manewry statkiem - to cała sztuka szyperska, którą można osiągnąć nawet dość prędko, ale której można też nie zdobyć nigdy, jeśli nie ma się szczególnego daru obserwacji, pamięci i owego wyczucia: kiedy, w którą stronę, jak.

Dlatego nie każdy doświadczony rybak zostaje szyprem. Szyprowi potrzebne są talenty i szczęście. Połów ryb jest bowiem nie tylko pracą; jest właśnie także sztuką, a poniekąd i grą.

W październiku ławice śledzi zaczynają przenosić się coraz dalej ku wybrzeżom Danii, Norwegii i Szkocji. Płyną na południe, wschód i zachód, przedostają się do Skagerraku, odwiedzają zatokę Forth i zbliżają się do północno-wschodnich wybrzeży Anglii. W listopadzie można je spotkać na łowiskach Great Fisher Bank i niżej, na wysokości Newcastle i Esbjerg, później na Dogger Bank, wreszcie w początkach grudnia w kanale La Manche, skąd zapewne uchodzą na Atlantyk.

I znów czas tej wędrówki, jej etapy, wcześniejsze lub późniejsze pojawianie się ławic na poszczególnych łowiskach, przepływ największych mas przez zwężającą się gardziel morza między Holandią, Belgią i Francją a Anglią zależą od wielu nie zbadanych jeszcze czynników: pogody, burz, temperatury i innych okoliczności, znanych chyba tylko śledziom.

Dominik i Gac, a wraz z nimi cała załoga pokładowa już od wieczora oczekiwała, że szypier każe zakotwiczyć na noc w jakimś dogodnym miejscu. Ale Samson miał kolejno kilkunastosiężniowe płycizny o piaszczystym dnie, - potem minął Easternmost, Patch of Dogger i wreszcie West Shoal, a Paweł nie wydał żadnego rozkazu ani w sprawie przygotowań do postoju, ani do rozpoczęcia połowu o świcie.

Bosman, zdając mu wachtę, napomknął coś o tym, że należałoby już wyciągnąć włók na pokład, ale Paweł potrząsnął tylko głową.

- Jeszcze nie. Jak przyjdzie czas, to wam powiem.

Gac wzruszył ramionami i poszedł spać. I on, i Dominik byli pewni, że gdy się obudzą, Samson będzie stał na kotwicy. Czernik chciał im pokazać, że on tu dowodzi. Tracił daremnie czas, zamiast wykorzystać wieczór na sprawienie sieci. Lada chwila rzuci kotwicę i sam się prześpi do rana. A łowić zacznie chyba o dziesiątej!

Ale o czwartej nad ranem, gdy Dominik wstał, żeby objąć służbę, Samson szedł pełną parą na południowy zachód. To wyprowadziło szturmana z równowagi.

- Dokąd my idziemy? - spytał wszedłszy do sterówki. - Po śledzie, czy do równika?

- Po śledzie - odrzekł Paweł, patrząc mu prosto w oczy.

Dominik wzruszył ramionami. Twarz nabiegła mu krwią. Błysnął złym spojrzeniem spod krzaczastych brwi, zsunął czapkę na tył głowy.

- Kpiny czy co? Śledzie dawno zostały za nami. Tu ryby nie ma. Nikt tu nie łowi.

- My też tu nie będziemy łowić.

²⁰ Echosonda - przyrząd do wykrywania ciał stałych w cieczy lub gazie, działający na zasadzie odbicia fal dźwiękowych od granicy dwóch ośrodków i pomiarze czasu, jaki zużywa dźwięk na przejście od sondy do granicy i - z powrotem. Log - przyrząd do mierzenia prędkości statku.

- Tylko gdzie?

- Dalej. Na wysokości Scarborough.

Szturman aż się cofnął. Milczał chwilę, dysząc ciężko.

- Słuchajcie, Czernik - powiedział wreszcie hamując się, żeby nie wybuchnąć. - Tu przecie chodzi nie tylko o mnie, ale o całą załogę. Wy tam macie swoje fantazje, ale ludzie pracują, żeby zarobić. Żeby żyć. I to wasza odpowiedzialność. Za nas, za nich, za to, żeby nie wracać z pustymi ładowniami.

- Wiem - odrzekł Paweł. - Myślę, że nawet o coś więcej tu idzie niż o same zarobki. I wiem, że nikt inny, tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność. Dlatego też będziemy łowili tam, gdzie ja zadecyduję. Na razie ten kurs trzymać - dorzucił, nie wiadomo: do szturmana, czy do stepującego Zapała.

Wkrótce potem na pokładzie ukazał się także bosman Gac. Dominik zawołał go do sterówki, żeby podzielić z nim swoje oburzenie i najgorsze przewidywania co do losów wyprawy pod kierownictwem Pawła.

- I co będzie? - spytał w końcu.

Ale Gac nie umiał na to odpowiedzieć. Wzruszył tylko ramionami. Szyper ma prawo kierować połowem według swego uznania. Tym gorzej zresztą dla niego, że chce być mądrzejszy od wszystkich, nawet od Holendrów. Olst na pewno łowi na Dogger Bank. A Czernik sam się wykończy: odbiorą mu dowództwo.

- Hm - mruknął Dominik. - Ale nasz zarobek diabli wezmą...

To było oczywiste. Mogli się tu spodziewać w najlepszym razie paruset kilogramów gładzicy²¹, makreli lub innej łatwo psującej się białej ryby, którą należałoby odstawić do angielskich portów, jeśli mieli coś za nią dostać, ale nie śledzia!

Tymczasem Paweł siedział przy odbiorniku radiowym i słuchał, co mówią między sobą szyprowie niemieccy, przyglądał się mapie, „macał” dno echosondą, rozglądał się po morzu i milczał.

Wreszcie koło szóstej kazał przygotować włók. Gac zabrał się do tego bez przekonania, mrużąc pod nosem i klnąc. Klarowali sieć i liny, przygotowali winę, szubienice, bloki, umocowali drzwi u skrzydeł włoka. Nikt jakoś nie żartował, nie było słyhać śmiechów. Pracowali w milczeniu, jakby niechętnie. Mimo to uporali się prędko z robotą i znów czekali, zupełnie zrezygnowani.

Szyper zmienił kurs na wschodni. Sonda odpowiadała: jedenaście sążni, czternaście, szesnaście, trzynaście, siedemnaście... Było zimno, dał wiatr północny, słońce świeciło blado zza cienkiej koronki obłoków. Morze było puste: ani! jednego dymu na horyzoncie, ani jednego trawlera czy kutra.

Paweł zasygnalizował do maszyny: „Zmniejszyć prędkość!”

Czekał, aż statek zwolni.

„Sieć za burtę!”

Bosman mruczał zaklęcia wiążąc węzeł matni, spluwał w morze, to znów na sieć, ale w końcu machnął ręką: i tak nic z tego nie będzie; nie pomogą „czary”, kiedy nie ma ryby... Zebrał matnię, zamachnął się, rzucił. Inni wyrzucali kolejne sektory za nim. Winda zaczęła

²¹ Gładzica - odmiana. flądry. Drzwi - drewniane rozpory u skrzydeł sieci rozszerzające wlot włoka podczas trawowania; szerokość wlotu jest regulowana napięciem lin holowniczych, co z kolei zależy od prędkości statku i ciężaru ryb zagarniętych, w matnię.

terkotać, liny holownicze szybko zsuwały się z pokładu, Kotowski głośno wykrzykiwał marki²², żeby szyper wiedział, ile ich wyszło. Samson kołysał się, fale uderzały o burzę, chlustały w twarze, czasem nawet sięgały pokładu, rozlewając się szeroko. Ludzie otrząsali się, zaciera- li zgrabiące dłonie. Wacek Mucha dygotał z chłodu, który biegł mu dreszczem po krzyżu. Do- minik go poganiał.

- Ruszaj się, zaraz ci się cieplej zrobi. Przyglądać się tu przyszedłeś?

- Stop winda - powiedział Paweł.

Zapisały hamulce taśmowe, syknęła para. Gac spiął liny klamrą. Statek wykręcał wolno, póki nie podeszły wzdłuż burty.

„Ster prosto! Całą naprzód” padły komendy.

Wibracja wzrosła, liny napięły się, zaczęły lekko drżeć, siepiąc wodę. Paweł patrzył, jak idą: Czy włók rozwarł się prawidłowo, czy nie zaczepia o dno, czy matnia się nie skręca.

- Co leży na kompasie? - zapytał.

Zapał podał mu kurs, a on spojrzął na kierunek fali i po chwili powiedział:

- Dwa rumby w lewo.

- Dwa rumby w lewo - powtórzył sternik.

- Ten kurs trzymać - rzekł Paweł i znów badał wzrokiem napięcie lin.

Wolne wachty zeszyły pod pokład, Kocorz wołał, żeby sobie wzięli gorącą kawę.

Lodowaty wiatr wzmagał się, gwizdał w wantach i syczał w antenie. Niebo zasnuwało się coraz grubszą przesłoną szarego nalotu, który skupiał się w gęstniejące ławice i gasił słoń- ce. W powietrzu unosiły się drobne pyłki śniegu.

Mucha przyniósł szyprowi kubek kawy. Paweł podziękował i dał mu papierosa. Stali obok siebie, obaj wpatrzeni w liny holownicze.

- Oj, chciałbym, żeby się udało - westchnął chłopak. Paweł klepnął go po ramieniu.

- Nie bój się, prędzej czy później musi się udać.

Wierzył w to. Musiało tak być.

Spostrzegł, że Mucha drży z zimna. To jeszcze dzieciuch - pomyślał. - Zmiataj zaraz pod pokład - powiedział.

- A pan?

Pawła to zniecierpliwiło.

- Już ty się o mnie nie martw - odrzekł szorstko i wrócił do swoich obserwacji.

Szli teraz przez Silver Pit wprost na Cleaver Bank. Głębokość rosła. Dno na trzydzie- stu pięciu sążniach muliste, z wolna wznosiło się wyżej, potem był drobny piasek, potem na dwudziestu trzech sążniach zaczynały się kamienie i wreszcie - Cleaver Bank - osiemnasto- sążniowa płycizna. Włók szedł lekko i równo.

- Jeszcze pusty - pomyślał Paweł. - Zresztą, jeżeli ich tu nie będzie, od Cleaver Bank pojedą na Botney Gut. Muszą gdzieś być w tym trójkącie. Nie mogłem się pomylić.

We wspólnej mesie²³ było duszno i gorąco, ludzie suszyli swetry i skarpety, które pa- rowały rozwieszona na sznurze pod sufitem, popijali kawę ze skondensowanym mlekiem, o które szyper wystarał się w Gdyni. Każdy musiał przyznać, że była lepsza niż czarna. Kocorz

²² M a r k i - kolorowe znaki na linie umieszczone co kilka sążni. Sążeń - dawna miara długości różnych rozmiarów; tu: około sześciu stóp, czyli 1,728 m.

²³ Mesa (łac. messa) - jadalnia marynarzy na statku.

pysznił się tyra przed nimi, jakby to była jego zasługa.

Samson kołysał się z burty na burtę pod boczną falą, a wraz z nim kołysały się kożuchy, swetry, lampa i części ubrania rozwieszane na sznurze. Raz po raz, monotownie i uparcie woda chlustała o zamknięte grube szyby bulajów²⁴. To było takie usypiające, że Wacek Mucha rozmarzony ciepłem i sytością zaczął zapadać w drzemkę. Kiwnął się raz i drugi i usnąłby zapewne, lecz któryś z młodszych rybaków klepnął go dłonią po plecach.

- No, Mucha, jak ci się ta druga wyprawa podoba? Teraz już jesteś prawie za rybaka!

- Podoba mi się, tylko spać mi się chce - odrzekł chłopak.

- Już? To co będzie za tydzień?

- Przyzwyczaję się: cudów nie ma. Wy też musieliście się przyzwyczaić.

- No to, synku, żebyś się prędzej przyzwyczaił, zamieć no tu trochę, zrób porządek.

Wacek posłusznie wstał i zabrał się do sprzątanie, ale inni zaprotestowali: teraz będzie im kurzył prosto w nos? Więc tylko zebrał naczynia i zaniósł do kuchni, żeby je umyć.

Ledwie wrócił, ktoś otworzył drzwi i wrzasnął:

- Hauling time! Wszyscy na pokład!

- Co, już? - zdziwiło się paru.

Naciągali swetry i buty. Wacek nie mógł ukryć podniecenia: będzie ryba, czy nie?

- Wyciągniemy pusty worek - powiedział Bednarek,

- Albo same łby z dorszów - dodał Zapał. - Anglicy tutaj łowią cały rok.

Wyszli na pokład. Zimny wiatr szamotał się w olinowaniu, niebo ciemniało coraz bardziej, pęczniąc od chmur, które pędziły teraz nad morzem szarymi zagonami.

Szturman zbił klamrę łączącą liny holownicze.

- Gotowe! - zawołał do Pawła.

„Małą naprzód - padła komenda, potem: - Ster prawo na burtę!”

- Prawo na burtę - powtórzył sternik.

Samson zwolnił, wykręcał, liny ciągnące sieć rozeszły się szeroko, odbiły od burty.

„Wolniej maszyna!”

Bosman otworzył parę do windy trałowej, zwolnił hamulce, włączył sprzęgło. Bębny zaczęły się obracać, nawijając stalówki. Liny pełzły przez bloki, ślizgały się po pokładzie zostawiając mokre ślady. Statek kołysał się nerwowo, rzucając ludźmi, którzy chwyтали za reeling²⁵, aby zachować równowagę. Znow ktoś wykrzykiwał marki, a wiatr porywał słowa i odrzucał je morzu.

Kiedy drzwi włoka wyłoniły się z wody, Dominik posłał ludzi ku szubienicom, żeby je przytrzymali przy wyciąganiu na pokład.

Sieć była już pod burta, zaczęła iść w górę. Nie wiadomo skąd ukazało się kilka mew. Krążyły nad statkiem, skarżąc się żalonym krzykiem. Plusnął jeden i drugi tuńczyk.

Mało - pomyślał Paweł. - Stop winda! - zawołał.

Przełożyli liny do wybierania, zaczęli wciągać sieć na pokład. Matnia ukazała się nad wodą, chuda, lekka, ociekająca czarnym łem. Mogła zawierać sto lub sto pięćdziesiąt kilogramów ryb.

Dominik i Gac spojrzeli po sobie porozumiewawczo, potem na szypra: jaką też ma te-

²⁴ Bulaj (ang. bulleye) - iluminator; okrągłe wodoszczelne okno w burcie statku; okno kajuty. Hauling time (ang.) - sygnał do wyciągania sieci.

²⁵ R e i n g - poręcz.

raz minę? Ale Paweł miał wyraz twarzy obojętny, jakby go to wcale nie dotyczyło.

Bosman splunął, klnąc pod nosem, inni milczeli pośepnie. Macha był przybity, jakby spotkało go jakieś nieszczęście.

Gdy rozwiązano i opróżniono matnię, okazało się, że połowę ryb stanowią tłuste, dobrze wyrosnięte śledzie. Prócz nich się zagarnęła kilka gilz od pocisków artyleryjskich, jakiś dziurawy garnek i trochę kamieni.

Następny zaciąg, na wschód od Silver Pit był równie ubogi. Trzeci, już na płyciźnie Cleaver Bank, jeszcze gorszy.

Wiść o niepowodzeniu szypra dotarła do maszyny. Gawęda wylazł stamtąd zaniepokojony i zatroskany. Krążył dokoła pomostu, zadzierał głowę, ale nie zdecydował się na żadną uwagę lub radę. Paweł słusznie mógłby mu odpowiedzieć, że sam wie, co robi, i żeby się nie wtrącał do nie swoich spraw, na których się nie zna.

W końcu jednak manewry pierwszego mechanika zostały zauważone: Paweł wychylił się ku niemu.

- Co tam u pana słyhać, inżynierze?

- Nic szczególnego - odrzekł Gawęda. - Coś daleko od innych łowimy - zagadnął.

- Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu mil - potwierdził Paweł. - I na razie z kiepskim wynikiem.

- Może trochę za bardzo na południe? - odważył się mechanik. - Pieluch mówi...

- Ja myślę, że nie - przeciął Paweł. - Będziemy próbowali nadal. A jak z wentylatorem? - zmienił temat.

Gawęda się ożywił.

- Niech pan przyjdzie, zobaczyć: już chodzi. Rzeczywiście jest różnica. Przyjdzie pan?

- Wpadnę wieczorem, nie teraz.

Gawęda skinął głową:

- Naturalnie.

Odwrócił się udając nagle zainteresowanie windą trałową, jakby tu po to tylko przyszedł.

Uparta bestia - pomyślał o Pawle. - A może ma rację?

Przeszedł na rufę, przyglądał się przez chwilę rybom, które rzucały się w sadzawce²⁶ między lukami, i ludziom, którzy wybierali pozostałe jeszcze w okach sieci, po czym wrócił na dół.

Jeszcze nie wieczór - myślał. - Może się wszystko odmienić.

Paweł z zaciętą twarzą, z zaciśniętymi szczękami ślęczał nad mapą, podczas gdy ludzie segregowali ryby, spuszczały je do ładowni przesypując lodem, a potem myli sadzawki, sprząтали pokład i buchtowali liny. Zgodnie ze swą uprzednią decyzją wykreślił kurs na południowy zachód, ku Botney Gut, tak aby tę „kiszkę” łączącą się z Silver Pit i rozciągniętą z północy na południe przeciąć mniej więcej w połowie długości.

Postanowił trałować krótko, poczynając od łagodnie opadającego dna o głębokości dwudziestu sążni i kończąc przed skalistą barierą, która wyrastała nagle na szesnastu sążniach u zachodniego krańca tej „doliny”.

Obliczając prędkość i czas, z uwzględnieniem dryfu z powodu wiatru i prądu odpły-

²⁶ Sadzawka - zagroda z desek na pokładzie statku rybackiego.

wowego, posłyszał głośną rozmowę na pokładzie.

- Jak tak dalej pójdzie, nie wrócimy do Gdyni nawet na Nowy Rok - mówił ktoś tuż pod sterówką.

- Pewnie - przyświadczył inny. - Wszyscy teraz łowią na północ od Dogger Bank. Tam mielibyśmy już ze sześć albo i dziesięć ton, ale Czernik chce być mądrzejszy od Holendrów...

- Ba, od samych śledzi - poprawił pierwszy.

Roześmiali się.

- Teraz chyba zawróci - powiedział ktoś jeszcze. - Sam się przekonał.

- Ale to już będzie cały dzień stracony...

Paweł słuchał mimo woli, póki rozmawiający nie oddalili się. Przygryzł wargę. Wszyscy byli przeciw niemu.

Spojrzał na mapę i zawahał się: mógł przecież zawrócić. Wiedział, gdzie łowią Niemcy: ich przodownicy zwoływali przez radio swoje trawlerzy o siedemdziesiąt mil dalej na północ. Mieli niezły połów, a on mógłby tam przybyć w niespełna osiem godzin.

- A jednak tu muszą być śledzie - powiedział prawie głośno, uderzając pięścią w rozłożoną mapę. - Trzeba je tylko znaleźć!

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na to uderzenie, zadźwięczał klang i Pieluch wszedł na pomost, żeby objąć swoją wachtę.

- No i co? - spytał ponuro. - Złowiliśmy przez pół dnia ze trzysta kilo?

- Zmienimy łowisko - odrzekł Paweł, nie odrywając wzroku od mapy.

- Ooo - przeciągnął szturman ironicznie. - Wracamy?

Paweł wyprostował się, spojrzał mu w oczy.

- Nie: pójdziemy trochę dalej na południowy zachód.

- Phe! - prychnął Pieluch.

Chciał coś odpowiedzieć, ale rozmyślił się: machnął tylko ręką z wyrazem rezygnacji i zniechęcenia.

- Kurs dwieście czterdzieści siedem stopni - powiedział Paweł.

Echosonda odpowiadała: dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia...

Dobrze - pomyślał Paweł. - Teraz!

Sam zawiązał węzeł u końca matni, oczywiście bez żadnych „czarów”. Spojrzał po morzu.

- Jeszcze pół rumba w prawo!

- Pół rumba - powtórzył sternik.

Sieć już szła za burte, Pieluch i Gac tręcali się łokciami, zamieniając ironiczne spojrzenia.

- Para na windę - powiedział Paweł.

Drzwi włoka zanurzyły się z pluskiem, liny spelzły w wodę, uciekały w tył. Hamulce piszczwały, bębny obracały się wolniej, to znów warczały na luzie. Pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto dwadzieścia metrów...

- Stop winda! Całą naprzód.

Mewy leciały za statkiem, który z wolna wykręcał, aż położył się znowu na wyznaczony kurs, krzyczały głośno, jakby się zwoływały, i rzeczywiście było ich coraz więcej. Pa-

węł spoglądał na nie życzliwie: może wiedziały więcej niż on, może przeczuwały obfity połów? Ale i one mogły się mylić albo po prostu były głodne.

Zaraz po założeniu klamry wszyscy ludzie wolni od służby zeszli pod pokład. Zmierch spadał na morze z ołowianego nieba na długo przed zachodem słońca, lodowate szkwały miotły raz po raz drobnym śniegiem.

Liny holownicze napięły się mocno, siepiąc wodę daleko za rufą, potem zanurzyły się nieco głębiej, zapewne już, na piaszczystym dnie Botney Gut, i znów odeszły w tył. Paweł dodał jeszcze piętnaście metrów, jeszcze dwadzieścia i czekał.

Upłynął kwadrans, pół godziny. Sonda podała: dwadzieścia siedem sążni, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści dwa i nagle dwadzieścia pięć, dwadzieścia trzy, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy!

Ławica? - pomyślał Paweł z bijącym sercem. Czekał spoglądając co chwila na zegarek. Wiedział, że głębia kończy się nagle wysokim, czternastosążniowym progiem z głazów i skał, za którym ciągnie się dno zanieczyszczone resztkami starych wraków, usiane wszelakim śmieciem tkwiącym w pokładach mułu i błota. Zbyt późne wybranie sieci groziło jej rozdarciem lub nawet urwaniem. Ale chciał dociągnąć do końca, aby wyzyskać sposobność.

Zdecydował się wreszcie.

„Hauling time! - rozległo się od dziobu po rufę. - Hauling time!” wrzeszczał ktoś z góry w otwarte drzwi schodni.

W kubryku podniosły się głosy:

„Znowu? Tak prędko?”

„Wściekł się nasz szyper”.

„Co trzy kwadranse wybiera sieć. Karpie w Stawie tak łowić, nie śledzie w morzu!”

Wychodzili na pokład ociężale, niechętnie.

- Prędzej, prędzej - przynagłał Paweł. - Ruszajcie się, ludzie!

Ktoś kłął pod nosem, inni zamieniali po cichu cierpkie uwagi:

- Do pustego worka nie ma co się śpieszyć.

Paweł nie zważał na to: w oddali przed dziobem Sam-

sona woda ciemniała niewyraźną półkolistą linią, na której fale załamywały się nieco.

Tam był zachodni kraniec Botney Gut. Należało wykręcić przed tą granicą, zagarniając włokiem skraj łowiska.

Znów zaterkotała winda, pociągnęła. Mewy całą chmurą krążyły nad statkiem i przysiadły na falach. Sieć wolno podchodziła do burty na drżących linach.

Wyszły drzwi, podjechały w górę. Metrowej długości tuńczyk rzucił się nad wodą, za nim jeszcze dwa i znów jeden. Mewy spadały na sieć, rwąc śledzie i małe dorsze Uwikłane za skrzela lub wymykające się przez wielkie oka skrzydeł.

- Wolno winda, wolno! - wołał Paweł. - Liny do wybierania!

Wreszcie worek zaczął wylaniać się z wody. Zaparło im dech: był ciężki, pełny!

Gac otworzył szeroko usta, nie mogąc wymówić słowa. Oczy wyszły mu na wierzch, jakby się dusił. Pieluch rzucił się naprzód, przechylił się przez reling, spojrział - najpierw na pękata matnię, potem, wykręcając w tył głowę, na szypra - i nagle jakby się w nim zagotowało:

- Ruszać się! - krzyknął. - W górę!

Zaczęli mówić, krzyczeć, śmiać się - wszyscy naraz. Tyle śledzia! Takiego śledzia!

Gwar i rejwach był tak głośny, że wywabił z maszyny pierwszego mechanika, który, roztargniony jak zwykle, wybiegł na pokład, zaplątał się w zwojach sieci i wierzgając swymi nieprawdopodobnie długimi nogami, aby je uwolnić, pytał, co się stało.

- Złowiliśmy dwadzieścia ton śledzia! - wrzasnął Mucha. - Jeszcze takiego połowu nie było!

- Dwadzieścia ton? - zdumiał się Gawęda.

- No dwadzieścia, to już razem z przesadą - powiedział Zapał. - Ale tak ze trzy i pół będzie na pewno.

Gawęda odwrócił się, aby poszukać wzrokiem Pawła. Skutkiem tego sieć owinęła mu się dokoła nóg, stracił równowagę i gruchnął jak długi wprost pod wysoko uniesioną matnię, z której lała się strumieniami woda. Parskał jak chudy, ogromny kot i szamotał się rozpaczliwie, ku ogólnej uciechu załogi, aż Gac pomógł mu się wyplątać. Wstał, otrząsnął się i ujrzał tuż przed nosem ową matnię, jak zataczała łuk nad pokładem, aby zawisnąć nad spiesznie ogradzonymi sadzawkami.

- Ha! - krzyknął zdumiony. - Pawle!

- Jestem tutaj - powiedział Paweł śmiejąc się. - Ostrożnie, bo się inżynier zabije.

Gawęda zadarł głowę i uśmiechnął się także. Podniósł odgięty w górę kciuk:

- Taki pistolet z pana!

Za jego plecami wyślizgiwała się już z otwartej matni srebrzysta lawina tłustych, wyrośniętych śledzi i spływała do sadzawek, które wypełniły się po brzegi. Przypomniawszy sobie nagie, że jego nieobecność w maszynie się przedłuża, i na łeb na szyję popędził na dół.

Tymczasem na pokładzie wrzała gorączkowa praca: trzeba było tu i tam zaflikować²⁷ sieć klarowaną spiesznie przez młodszych rybaków, uporządkować liny, posegregować, ułożyć, zamrozić i zasolić ryby.

Samson dryfował, kołysząc się gwałtownie, w oczekiwaniu na przygotowanie włoka. Paweł postanowił łowić nadal mimo zapadającego zmierzchu. Tym razem wzdłuż „kiszki” Botney, trałując z południa ku północy. Pieluch i Gac popędzali:

- Prędejj, prędejj. Czas ucieka. Śledzie nie będą na was czekać.

Ale teraz nie trzeba było nikogo przynaglać: sami wiedzieli, jak drogi jest czas, tym bardziej że wielu przypuszczało, iż napotkana ławica śledzi znalazła się tu przypadkiem i wymknie się lada chwila.

I znów się omylili: wkrótce po rzuceniu sieci, zanim jeszcze opróżniono sadzawki, szyper kazał wyciągać, bo zdawało się, że włok pęknie od nadmiaru zdobyczy. Tym razem matnia zawierała ponad pięć ton i trzeba ją było wybierać częściowo, żeby się nie urwała od tego ciężaru.

Było już zupełnie ciemno, gdy wybierali po raz trzeci, a dopiero późną nocą skończyli najważniejszą robotę. W sumie złowili tego dnia czternaście ton najprzedniejszego śledzia, nie licząc innych ryb. Takiego połowu nie pamiętał żaden z nich, nawet Dominik.

5.

Wczesnym rankiem, po dwóch godzinach trałowania, wybrano sieć. Matnia znów była

²⁷ F l i k o w a ć - wiązać porwane sieci.

pełna i znów zaczęła się gorączkowa robota. Warstwy śledzi w ładowniach rosły. Drugi za-
ciąg przyniósł nie mniej obfitą zdobycz. Trzeci - cztery tony.

Paweł kazał zawrócić i trałować z powrotem.

- Trzeba zawiadomić inne nasze trawlerzy o tym łowisku - powiedział do szturmana,
gdy po raz czwarty spięli klamrą liny.

Dominik znów się zdumiał: ten człowiek co chwila miał jakieś dziwaczne pomysły.

- Zawiadomić innych szyprów? - powtórzył. - Czyście wy oszaleli? Sprowadzić ich
sobie na kark?

Paweł patrzył na niego z wyrozumiałym uśmiechem. Widać było, że się uparł, lecz
Dominik jeszcze usiłował wybić mu to z głowy.

- Przecież jak tu sami połowimy z dziesięć dni, będziemy mieli pełne luki. Nawet Olst
nigdy tyle nie złowi. Oni tam ani połowy tego nie złowią, ba - i jakiego śledzia! A wy chcecie
ich tu ściągać na złość sobie?!

- Tu śledzi starczy dla nas i dla nich - odrzekł Paweł. - Przecież wszyscy pracujemy do
wspólnej puli, dla Polmoru.

- Dla Polmoru! To przecie państwowe.

- Państwowe - zgodził się Paweł. - Więc nasze.

- Jak państwowe, to nie moje - odparł Dominik. - Zresztą róbcie sobie, jak uważacie.
Wasze prawo. Ale oni i tak nie uwierzą.

- Kto? - spytał Paweł.

- No, ci nasi szyprowie. Jak chcecie, to im dajcie znać, ale tu nikt za nami nie przy-
dzie: pomyślą, że ich bierzecie na kawał.

- To już ich sprawa - odrzekł Paweł.

Pogoda psuta się coraz bardziej. Wiatr zmieniał się na północny, fala rosła, wchodziła
aa pokład z rufy i z prawej burty, częściowo tylko załamując się na linach włoka. Trymowe
przechyły statku wznagały się ustawicznie, a mróz ścinał bryzgi wody w coraz dłuższe sopte
na wantach i sztagach, na relingach i kozłach sieciowych. Przy wyciąganiu sieci nogi ślizgały
się po lodzie, ręce grabiały, pot zlewający grzbiety ziębił później, wstrząsając ciało dresz-
czem. Lecz echosonda wskazywała wyraźnie sunącą pod kilem²⁸ ławicę śledzi. Trafili zapew-
ne na jej rozproszony koniec i zagarniali ją od tyłu, idąc w tym samym kierunku co ona.

Zaczęła się harówka: brakło czasu na posiłki, na sen, na wypalenie papierosa, nieomal
na głębszy oddech. Nim skończyli układanie albo solenie w beczkach śledzi z poprzedniego
holu, już burczała, sapała winda i napięte, drżące liny pełzły przez bloki, obmarzając po dro-
dze. Statek kołysał się pod wiatrem w baksztag, lodowate fale wpadały na pokład, chlustały
w czerwone od mrozu twarze, przesączały się za cholewy butów, spływały za kołnier, parali-
żowały posiniałe dłonie. Włok raz po raz ukazywał się z daleka, podrzucany, tratowany przez
grzywacze, zbliżał się, tonął i znów wypływał na powierzchnię. Mewy z wrzaskiem spadały
z góry, z pomostu leciały do maszyny krótkie rozkazy, śruba to kotłowała wodę za rufą, to
stawała, to znów ciągnęła w tył, aby utrzymać dryfujący statek we właściwym położeniu,
a wicher wył w olinowaniu, mocując się z małym żaglem, rozpiętym dla zwiększenia dryfu.

Potem ciężkie, okute żelazem rozpory wyłaniały się u prawej burty. Morze sięgało po
nie jak po swoją własność, rozwścieczone tym, że ludzie chcą mu odebrać tę zabawkę. Pluło

²⁸ K i l (stepka) - belka lub wiązanie denne biegnące wzdłuż osi kadłuba statku w płaszczyźnie symetrii.

pianą, waliło rozwichrzonymi białymi łbami gór wodnych, wspinało się wysoko i opadało w dół, aby przechylić statek w bruzdzie i tym mocniej uderzyć znowu. Stalówki ślizgały się na bębnych, piszczwały i zwalniały hamulce, póki dłonie ludzi nie zwarły się w kurczowym chwycie na skrzydłach podciąganej w górę sieci.

Wtedy znów zaczynała się walka z morzem o tę sieć. Walka fizyczna: na siłę barów i ramion, na moc i rozpędzoną masę wzburzonej wody. Morze piekliło się, kipiało, szarpało włók ku sobie; ludzie zgodnym wysiłkiem wciągali ciężkie, namokłe liny przez gładki reling na pokład. Żyły nabrzmiwały pod skórą, napinały się ścięgna, trzeszczały stawy, omdlewały mięśnie. Gdy przechył statku podnosił burłę, zapierali się nogami, szukając oparcia w rowkach szpigatów, wczepiali się w oka sieci, zawisali całym ciałem na burcie, żeby nie dać wydrzeć sobie tych kilku cali zdobytych w ciężkim zmaganiu; bronili się tylko. Ale zaraz potem statek kładł się w bruzdę, a rozwścieczone morze wysyłało do szturmu następną falę. Wtedy przechodzili do ataku: sieć uniesiona pędem wody poddawała się.

- Razem! - wołał szturman.

Grzbiety ludzi wyginały się, kolana wparte w nadburcie odpychały je w tył, ramiona ciągnęły zaciekle, ile się da, póki tchu starczy, na pokład.

Wreszcie po wielu takich atakach i obronach, po wielu przechyłach, gdy serca waliły jak młoty, a pot zalewał oczy, po wyciągnięciu włoka, ukazywała się matnia. Przerzucić liny, podwiązać, założyć pętlę na hak i para na windę!

Lecz matnia zdaje się pękać od nadmiaru zdobyczy, nie można podnieść wszystkiego naraz. Trzeba to zrobić częściowo, przewiązując worek i wyciągając po dwie-trzy tony.

Śledzie, srebrzyste, lśniące śledzie kolejno wypełniają przygotowane zawczasu sadzawki. Leją się gęstym strumieniem, podskakują, odpryskają, jak roztopiony metal z tygła.

- Sześć ton - mówi Gac spoglądając w górę, na pomost. Paweł pokazuje zęby w uśmiechu.

- Pewnie tyle będzie.

Ludzie zapominają o zimnie, o wichurze, o zmęczeniu: włók powinien jak najprędzej znaleźć się znów za burcią, a trzeba jeszcze sprawdzić, czy nie jest podarty i w takim wypadku naprawić uszkodzenia. Ta sprawa należy do bosmana. Tymczasem już większa część załogi segreguje ryby. Śledzie przeznaczone do beczek, splukane silnym prądem wody z gumowego węża, idą do koryta, w którym zostają dokładnie przemieszane z solą. Potem układa się je ciasno, grzbietami w dół na dnie holenderskiej kantiesy, znów przesypując solą każdą warstwę, aż beczka wypełni się po brzegi. Nie jest to praca łatwa, zwłaszcza podczas wichru szalejącego z uciechy, gdy uda mu się zerwać czub wysokiej fali i smagnąć nim ludzi ślizgających się po pokładzie, który harcuje pod nogami. Sól wżera się za paznokcie, jątrzy każde zadrażnienie skóry, ziębi i tak już przemarznięte dłonie.

Kantiesa, czyli morska beczka holenderska, mieści osiemdziesiąt kilogramów ryb i około szesnastu kilogramów soli. Pomiędzy jednym a drugim wyciągnięciem włoka trzeba wypełnić śledziami i opuścić do ładowni czasem dziesięć, czasem dwadzieścia, nieraz i więcej beczek.

Inna sprawa ze śledziami świeżymi, z lodu. Tych się nie soli. Płucze się je tylko i układa w ładowni na warstwie mielonego lodu grubości tylu cali, ile dni mają tam pozostać do wyładunku w Gdyni. Każdą warstwę ryb przesypuje się lodem na cal, na ostatnią zaś sypie

się tyle lodu, ile na spód. Co kilka warstw śledzi trzeba jeszcze założyć deski wsparte krawędziami na stojakach, żeby rosnący ciężar nie zmiądzzył ryb na spodzie.

Wreszcie trzeba wypatroszyć złowione dorsze (pozostawiając wątroby na tran) oraz inne ryby i oddzielnie umieścić je w skrzyniach z lodem.

Gdy połów jest obfity, praca nabiera szalonego tempa i nie ustaje właściwie wcale: trudno nadażyć z opróżnianiem i myciem sadzawek, z układaniem ryb w beczkach i przegrodach ładowni. Na odpoczynek i na posiłki zostają zaledwie minuty. Ludzie nie myją się, nie zdejmują przeпоconej, przemokłej odzieży, nie mają czasu na opatrzenie poranionych dłoni.

Lecz im obfitszy połów, tym krócej trwa ta mordęga, tym wcześniej następuje powrót do domu.

Nazajutrz, podczas wyciągania drugiego holu nadeszła wiadomość na fali sto osiemdziesiąt jeden metrów. Przejął ją Urban, który podczas wolnych wacht w maszynie dyżurował przy odbiorniku.

Na „fali niebezpieczeństwa”, zwanej także „falą rybacką”, w ciągu pięciu minut po każdej pełnej godzinie panuje cisza radiowa, którą może przerwać tylko statek wzywający pomocy. Dlatego szyprowie wszystkich trawlerów mają obowiązek przestrzegać owego codziennego pięciominutowego nasłuchu.

Urban skończył był właśnie swoją wachtę i ledwie zdążył ująć słuchawkę wszedłszy do nawigacyjnej, usłyszał alarmujące sygnały: długi, dwa krótkie, długi. Potem jeszcze raz i jeszcze.,.

- Ktoś nadaje trzy ikсы! - zawołał do Pawła.

- Zapiszcie pozycję! - odrzyknął Paweł zajęty manewrami przy wybieraniu sieci.

Urban sięgnął po ołówek i blok, które wisiały obok na cienkim łańcuszku i zataczały półkółka w miarę przechyłów statku.

„Wzywa s/t Salamandra, s/t Salamandra - odezwał się głos w słuchawce. - Mam unieruchomioną śrubę wskutek zaplątania się w niej stalówki holowniczej. Moja pozycja: 52° 59' szerokości północnej i 2° 20' długości wschodniej. Dryfuję na wraki, które...”

Urban czekał w napięciu na dalszy ciąg, ale głos nie odzywał się: tylko nieustanny świergot sygnałów z pobliskich zakresów i szepty obcych słów ścieliły się pod nagle zapadłą ciszą.

Próbował dostroić odbiornik, ale żaden bliski głos, żaden sygnał nie odezwał się już do końca nasłuchu.

Nawaliło im coś w nadajniku - pomyślał.

Raz jeszcze sprawdził, czy odbiornik Samsona jest w porządku. Tak, nie miał najmniejszych wątpliwości: to stacja Salamandry nagle przestała działać.

Paweł zajrzał do nawigacyjnej.

- Co tam takiego?

Urban podał mu kartkę wyrwaną z bloku.

- Salamandra - powiedział. - Poza wszystkim innym nawaliło im radio. Zdążyli jeszcze podać pozycję, ale dalej nie wiadomo, co tam z tymi wrakami, na które ich znosi.

- Aha - mruknął Paweł. - Czekaście, gdzie oni są?

Spojrzał na mapę i gwizdnął przez zęby.

- Może być z nimi źle - powiedział na pół do siebie.

Na razie na tym się skończyło, ale gdy tylko wybrano na pokład i opróżniono matnię, szyper odbył krótką naradę z Pieluchem i Gacem, w której wyniku bosman kazał rozwiesić włók, aby przesechł.

Wiatr właśnie zaczął słabnąć, więc taka niezwykła decyzja wywołała zdziwienie wśród załogi. I nagle gruchnęło po pokładzie: „Olst wzywa pomocy! Samson porzuca łowisko, żeby go ratować!”

Najpierw zapanowało zdumienie. Wydało im się niesłychane, po prostu nie do wiary, że szyper przerywa połów, mając o piętnaście lub dwadzieścia sążni pod kilem ogromną ławicę śledzi; że decyduje się na taką przerwę; że ta praca, która wydawała się dla jego ambicji sprawą najważniejszą, nagle ma stanąć, zejść na dalszy plan tylko dlatego, że jakiś inny trawler został unieruchomiony wskutek zaplątania się stalówki w śrubę. Przy tym szło przecież o Salamandrę. O najgroźniejszego współzawodnika, który mógł zdobyć przed nimi pierwszeństwo w wynikach połowów, o Olsta!

Można by jeszcze zrozumieć taką decyzję, gdyby załodze Salamandry groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby tonęli, gdyby stracili ster. Ale przecież Olst mógł jeszcze manewrować, nie groziło mu rozbicie na skałach, mógł doczekać się pomocy holowników z najbliższego portu.

„Niechże sobie sam radzi, kiedy nawarzył piwa. Niech teraz pokaże, jaki jest mądry!” mówili między sobą.

Gac spoglądał po nich spode łba swymi nabiegłymi krwią, brązowymi oczyma i drapał się po rudej szczecinie na brodzie.

- Jasne pierony - powiedział w końcu. - A wiecie wy, ludzie, co ten katan Olst gadał, jak tu nastał Czernik?

Uciszyło się. Bosman w takich wypadkach rzadko zabierał głos i wypowiadał swoje zdanie, więc byli ciekawi, co o tym myśli.

- No więc mówię wam - ciągnął dalej - słyszałem na własne uszy, jak wy mnie słyszycie: powiedział, że ta jego pierońska Salamandra będzie nas jeszcze holowała pod ruty Anglików, żebyśmy mogli wyłapać łby z dorszów, jak nic nie złowimy. Więc widzicie! A teraz kto kogo będzie holował?

Mieli przed sobą kilka godzin snu, bo jakkolwiek od Salamandry dzieliło ich zaledwie dwadzieścia kilka mil, to jednak musieli iść pod silny wiatr, niemal wprost dziobem przeciw fali, co zmniejszało prędkość statku do czterech-pięciu węzłów²⁹. Na pokładzie i w sterówce zostali tylko ci z kolejnej wachty, którzy byli niezbędnie potrzebni. Paweł polecił, żeby ich zmieniono po upływie dwóch godzin.

Sam został na stanowisku, choć Dominik ofiarował się, że go zastąpi. Chciał jeszcze rozmówić się z dyrektcją Polmoru i powiadomić Olsta, że śpieszy mu z pomocą. Przypuszczał, że Samson przybędzie na miejsce wcześniej niż jakikolwiek holownik, bo z Yarmouth było tam prawie dwa razy dalej, a sądząc z tego, że Olst zdążył nadać wiadomość o awarii swego statku tylko po polsku, i to tylko w połowie, można było przypuszczać, iż żadna obca stacja nie wie o sytuacji Salamandry.

²⁹ Węzeł - jednostka prędkości statku równa jednej mili morskiej na godzinę.

Połączył się z Gdynią, skąd - jak się dowiedział - wysyłano właśnie depezę do Yarmouth. Gdynia powiadomiła go również, że nie ma łączności radiowej z Olstem, co potwierdzało przypuszczenia, iż nadajnik Salamandry jest uszkodzony. Pawłowi polecono, żeby starał się udzielić Olstowi wszelkiej możliwej pomocy i żeby meldował dyrekcji o dalszym rozwoju wypadków. Poza tym miał mu przekazać zarządzenie w sprawie zgłoszenia się w Yarmouth u agenta Polmoru, który w razie potrzeby przejmie ładunek śledzi i załatwi w tamtejszym porcie usunięcie liny zaplątanej w śrubę.

Skończywszy tę rozmowę, Paweł polecił jeszcze Urbanowi nadać zawiadomienie dla Olsta, licząc na to, że jego odbiornik działa, po czym spieszenie wrócił do steru, bo wiatr, wbrew przewidywaniom, znów przybierał na sile i statek zarywał dziobem pod fale, które przelewały się przez całą długość pokładu. Taki stan rzeczy wymagał szczególnej czujności, zwłaszcza wobec koniecznego pośpiechu. Gwałtowne przechyły trymowe, przy których śruba wynurza się na powierzchnię, narażają wytrzymałość maszyn i kadłuba na ciężką próbę. Gdy statek cwałuje pod wiatr, jak zaprzężony do ładownego wozu ciężki koń, który zwykle porusza się truchtem, gdy tony wody wpadają na pokład i wałą o nadbudówki, gdy wynurzona śruba nagie zaczyna warczeć w powietrzu, a maszyna szaleje z braku oporu, aby potem równie nagle natrafić na opór i gwałtownie pchnąć dziób prosto w głęboką dolinę pod nadbiegającą falę, amplituda przechyłów rośnie do niebezpiecznych rozmiarów. Kadłub pracuje wszystkimi spojeniami, ściskany i rozrywany, potężne fale szturmują pokład, pustoszą go, wyważają windy z fundamentów łamią trapy i poręcze, zdzierają brezentowe pokrowce z pokryw luków, rozbijają stojaki szalup.

Jedynym sposobem ulżenia statkowi jest zmniejszenie ilości obrotów śruby i skierowanie go w beidewind³⁰, parę rumbów skośnie do fali. Wprawdzie wtedy wzrastają przechyły boczne, mniej groźne zresztą dla maszyn i kadłuba, ale łagodnieją za to ruchy trymowe na osi podłużnej. Lecz oznacza to również poważne zmniejszenie prędkości...

Paweł śpieszył się, ale nie chciał narażać trawlera na uszkodzenia. Prowadził go drogą możliwie najkrótszą, lawirując ostro do wiatru i tylko przy bardzo wysokich grzywaczach zwalniając obroty. Wydobywał z niego wszystko, co w tych warunkach można było uzyskać kosztem nieustannego napięcia uwagi, a także kosztem pracy maszynistów i Bednarka, który stał przy sterze.

Samson rzygał wodą ze szpigatów, kładł się na burłę, wstawał, wspinał się i nurkował, lecz sumiennie odrabiał swoje cztery i pół węzła. Raz tylko przy zmianie kursu Bednarek pozwolił mu skrócić nie w porę. Paweł poprawił, ale pióro steru wyskoczyło z wody wraz z uniesioną rufą i statek werznął się w rozpędzoną falę, przyjmując ją na pokład w gwałtownym przechyle.

Ten skok w głąb stromego zbocza góry wodnej zbił z nóg asystenta w maszynie i wytrząsnął z koi kilku ludzi w kubryku. Powstał tam popłoch, bo wszystkim się zdawało, że Samson uderzył o dno albo o jakiś nie oznaczony wrak, Leter wybiegł na pokład, zatoczył się pod burłę i błędnym wzrokiem spojrzął ku sterówce. Za nim cisnęło się jeszcze kilku.

- Szyper jest przy sterze - uspokoił ich zaraz, wracając zygzakiem ku wejściu.
- Musi być tęgi sztorm? - spytał ktoś z głębi.

³⁰ Beidewind - wiatr wiejący z przodu, skośnie do osi podłużnej statku. Szpigaty - otwory w burcie statku, którymi ścieka woda z pokładu.

- Ba! - wykrzyknął. - Morze dostało konwulsji.

Zeszli z powrotem na dół i powpełzali na swoje prycze.

W chwilę potem zajrzał tam do nich bosman, żeby obudzić drugą zmianę.

- Macie wy pojęcie, jak tam teraz kiwa Salamandrą? - odezwał się, widząc, że nie śpią.

- No pewnie - przyświadczył Zapał. - Już jak Olst podał swoją pozycję, to musi z nim być pochyło.

- A jak nas zobaczy, to mu dopiero oko zbieleje.

- Do zenzy³¹ powinien by ze wstydu wlaższy - oświadczył Kotowski. - Nie pokazywać się jemu wcale, tylko skryć się gdzie bądź, żeby jego pokręciło.

- Pewnie! Już on chyba wolałby diabła zobaczyć niż Czernika.

- Ba - powiedział Leter. - Diabeł by się tak do niego nie śpieszył jak nasz szyper.

Zapał usiadł na swoim posłaniu.

- Chyba, że nie - powiedział ze złością. - Prędkość

« 66 »

wiatru pięć albo i sześć³² to jemu nie szkodzi: „Łowimy dalej, szkoda czasu”, powiada. A teraz? Rzucił wszystko, bo panu Olstowi stalówka wlaża w śrubę. Tfu, psiakrew! Mówcie, co chcecie, ale Olst by nas nie ratował, jakby miał tyle śledzi pod kilem.

- Ani Olst, ani inne katany - dodał ktoś z boku.

Gac łypnął ku nim zaczerwienionymi oczyma.

- A wiecie, co by Czernik powiedział na takie gadanie?

- Powiedziałby, że my nie katany, tylko polscy rybacy - wyrwał się Mucha.

Ktoś parsknął śmiechem, ale natychmiast umilkł, bosman zaś rozejrzał się wyzywająco i rzekł dobitnie:

- Pierona! Mówię wam, że tak by właśnie powiedział. I miałby rację! Może nie?

Nikt mu nie zaprzeczył, on zaś przypomniał sobie, po co tu przyszedł, i przynagłał tych, na których wypadła kolej, aby szli na pokład objąć służbę.

Wacek Mucha., bardzo z siebie zadowolony, przeciągnął się rozkosznie: mógł spać jeszcze co najmniej dwie godziny. Wtem pomyślał, że szyper od wczorajszego dnia nawet się nie zdrzemnął. Ale ta myśl była ostatnim przebłyskiem jego świadomości: zanim się z nią rozstał, zapadł w kamienny sen.

6.

Bruno Olst od pięciu godzin sterczał przy stacji radiowej Salamandry i albo wymyślał swemu radiotelegrafście, który nie mógł naprawić nadajnika, albo słuchał rozmów Gdyni z agentem Polmoru w Yarmouth i z Pawłem Czernikiem.

Jeśli się odrywał od tych zajęć, to tylko po to, aby wyjść na pomost i rzucić tam również wiązanek przekleństw swemu zastępcy, szturmanowi Terschelowi, sternikowi lub wreszcie morzu, które - jedyne z tych trojga - odpowiadało mu grzmotem fal, sykiem piany i zawozeniem wiatru.

Najbardziej gniewało go to, że nie mógł porozumieć się z Yarmouth. Gdyby nie

³¹ Z e n z a - pusta przestrzeń na samym dnie statku nad kilem.

³² Pięć albo sześć - stopni według umownej dwunasto-stopniowej skali prędkości wiatru, zwanej skalą Beauforta; tu: silny wiatr wiejący z prędkością 39-49 km/godz.

uszkodzenie nadajnika, którego ten osioł nie umiał usunąć, sam dawno wezwałby holownik i nie musiałby korzystać z pomocy Samsona. Na myśl o tym, że Paweł Czernik weźmie na hol Salamandrę, krew uderzała mu do głowy. Cóż za upokorzenie! A dalsze konsekwencje? Jego plany zdobycia stanowiska przewodnika flotylli rybackiej zawisły w próżni. Już tam Czernik osmaruje go przed dyrekcją i przed wszystkimi szyprami Polmoru; nie będzie go oszczędzał...

O stratach materialnych Olst nie myślał. Dla niego nie były one bardzo dotkliwe: miał ponad osiemdziesiąt ton śledzia w ładowniach i w beczkach i właściwie zamierzał już wkrótce wracać, tylko żał mu było opuszczać dobre łowisko. Jeszcze doba, jeszcze dwie i miałby o piętnaście albo dwadzieścia ton więcej. Przy tym spodziewał się, że sztorm uspokoi się nad ranem i to go skusiło. Skąd mógł wiedzieć, że tak się to skończy...

Hot-verdamme, jak można było dopuścić do tej awarii? Któż teraz oceni wszystkie mądre, celowe zarządzenia wydane później? Tego mu nie policzą, tylko przeklątą chwilę nieuwagi, w której lina holująca włok weszła pod rufę. A iluż mniej doświadczonych szyprów straciłoby statek w takich okolicznościach!

Istotnie, uczynił wszystko, by go uratować od rozbicia na kilku wrakach, które leżały płytko, akurat na kursie dryfującej Salamandry. Mając unieruchomioną śrubę, a za rufą włok, którego na razie nie mógł wybrać, a który działał podobnie jak dryfkotwa³³, utrzymując statek tyłem do wiatru i fali - kazał podnieść na przednim maszcie mały żagiel, co zapewniło mu jaką taką sterowność. Manewrując tym żaglem i sterem zdołał wyminąć niebezpieczne miejsce i dopiero wtedy wybrał sieć, odrąbawszy stalówkę zapłątaną w śrubę. Potem rzucił z dzioba prawą kotwicę z uwiązaniem do niej worem pakuł przesyconych olejem i wypuścił kilkadziesiąt sążni łańcucha. Skutkiem tego Salamandra obróciła się dziobem do fali. Żagiel na przednim maszcie zwinięto i przeniesiono go na tylny, co zmniejszało „myszkowanie” statku w lewo i w prawo, a olej sączący się z worka łagodził szturmujące fale.

Można było od biedy przetrwać w ten sposób nawet całą dobę, a przecież Samson wyruszył już w godzinę po wypadku i powinien lada chwila ukazać się gdzieś w pobliżu.

Oczekiwanie na tę chwilę stawało się nieznośne. Gdybyż jakkolwiek inny statek nawinął się wcześniej! Albo ów holownik z Yarmouth. Gdyby można było przedelfilować przed nosem Czernika i huknąć do niego, że obejdzie się bez pomocy Samsona...

Ale horyzont dokoła był pusty. Tylko w oddali na lewo kiwała się dzwoniąca boja świetlna zakotwiczona u zbiorowiska wraków tkwiących na piaszczystej ławicy, którą Olst tak przemyślnie zdołał wyminąć.

Dopiero na krótko przed samym południem od strony podwietrznej ukazał się długi, rozwleczone wiatrem warkocz dymu, a potem charakterystyczna sylwetka trawlera zaczęła wyrastać spośród fal pędzących długimi kolumnami na jej spotkanie: Samson przybywał pierwszy.

Podanie liny holowniczej z jednego statku na drugi jest - teoretycznie - sprawą dość prostą, nie nastęrczającą większych trudności. Można tego dokonać dwoma sposobami. Pierwszy polega na tym, że statek holujący przechodzi na wiatr, skośnie przed holowanym, a marynarz stojący na dziobie przerzuca na jego pokład rzutkę³⁴, do której uwiązany jest sta-

³³ Dryfkotwa - dryfująca kotwica, np. łańcuch, worek z płótna żaglowego itp.

³⁴ Rzutka - cienka linka. Lina manilowa - wyprodukowana z cennego, lekkiego, odpornego na wodę włókna roślinnego o dużej wytrzymałości otrzymywanej z banana manilskiego (*Musa textilis*) rosnącego na Filipinach. Kodflag - specjalne chorągiewki do porozumiewania się na odległość wzrokową według umownego kodu.

lowy hol. Drugi sposób jest jeszcze prostszy: statek holujący okrąży z bliska dziób holowanego, wlokąc za sobą linę manilową, która, jak wiadomo, nie tonie, lecz dryfuje na powierzchni wody; ze statku holowanego można ją wtedy chwycić i podnieść bosakiem, po czym przeciągnąć uwiązany do niej hol.

Tak czy inaczej, podejście na małą odległość do uszkodzonego statku bezpieczne jest tylko przy spokojnym morzu. Dlatego też Paweł tym razem działał bardzo ostrożnie. Rozporządzając tylko jednostronnym połączeniem radiotelefonicznym - od siebie do Olsta - ustalił najpierw, że Olst będzie odpowiadał na jego pytania i rozkazy za pomocą kodflagu. Następnie polecił mu podebrać łańcuch kotwiczny do dwudziestu sążni, tak aby Samson mógł przejść przed dziobem Salamandry bez obawy zaczepienia o tę przeszkodę. Wreszcie - zwinąć żagiel.

Olst ze złością wzruszał ramionami: sam wiedział, co trzeba zrobić; Czernik nie będzie go uczył!

- Wystarczy! - krzyknął do swego bosmana, który uruchomił windę kotwiczną.

Szturman Terschel krytycznie ocenił ką, pod którym łańcuch schodził w morze.

- Ja bym wybrał więcej - powiedział zaniepokojony. - Łańcuch patrzy...

- Wystarczy - warknął Olst. - Nie twoja sprawa. Daj im sygnał, że mogą ruszać.

Terschel w milczeniu spełnił to polecenie.

Olst patrzył na Samsona, który teraz wolno sunął z lewej strony, zmierzając ukośnie przed dziób Salamandry. Doskonale wiedział, że Czernik nie przejdzie nad jej zbyt długim łańcuchem nie zawadzwszy o niego śrubą, ale właśnie o to mu chodziło: niech ją sobie połamie. Trudno będzie później rozstrzygnąć, kto zawinił: czy łańcuch był za długi, czy też Samson przeszedł za blisko dzioba.

Złośliwa radość drgała mu w piersi na samą myśl o tym, jak będzie drwił z tego skwapliwego ratownika, który zamiast dopomóc, sam uległ awarii, z własnej winy oczywiście!

Holownik z Yarmouth zastanie tu dwa statki, które trzeba będzie zaciągnąć do portu - myślał śledząc manewry Samsona.

Tymczasem Paweł, nie podejrzewając podstępny, pewien, że kotwica Salamandry leży nie dalej niż o kilka sążni przed jej dziobem, już skręcał w prawo. Leter stał na dziobie ze zwiniętą rzutką w rękę i wołał do holenderskiego bosmana, że zaraz mu ją rzuci. Kilku ludzi ustawiło się tam w pogotowiu, żeby ją chwycić.

Gdy dziób Samsona wznosząc się i opadając na falach zaczął się wysuwać przed Salamandrę, Leter zamachnął się i rzucił. Obciążony koniec rzutki opisał w powietrzu zwichnięty wiatrem łuk i upadł na tamten pokład. Pochwycili go natychmiast i pociągnęli. Gruba lina zwisała z relingu, plusnęła o wodę i popęzła w ślad za rzutką.

W tej samej chwili Paweł odczuł nieznaczne zmniejszenie prędkości, jakby statek natrafił na jakiś opór. Jednocześnie Dominik krzyknął z dołu:

- Stop! Siadamy na łańcuch kotwiczny, stop! / Ludzie umilkli, znieruchomieli jak który stał, z otwartymi ustami, ze wzniesionymi rękami, wstrzymani w pół kroku, jak na taśmie filmowej, która się zerwała i rzuca na ekran scenę utrwaloną na jednej klatce.

Paweł przerzucił rękojeść telegrafu maszynowego na „Całą w tył” i skoczył do telefonu.

- Popuścić łańcuch! - krzyknął. - Olst!

Olst zdawał się nie słyszeć. Jego statek, zamiast dryfować z wiatrem, ruszył wolno na-

przód pociągnięty naprężającym się łańcuchem. Dziób mierzył prosto w prawą burtę Samsona i zbliżał się coraz bardziej, a Samson, nie wytraciwszy jeszcze pędu mimo wstecznych obrotów śruby, siłą bezwładności parł w poprzek drogi Salamandry. Wiatr uderzał teraz z boku i spychał go w prawo, skutkiem czego napór na uwięziony pod jego kilem łańcuch kotwiczny wzrastał.

Zdawało się, że nic nie uchroni statków od zderzenia: odległość między nimi malała z każdą sekundą, śruba Samsona meła wodę jakby zupełnie na próżno, a na Salamandrze nikt się nie ruszał.

Było już tak blisko, że Paweł poprzez szum wiatru dosłyszał syk pary u windy na tamtym pokładzie i poznał bosmana, który stał obok niej z pobladłą twarzą i wybałuszonymi oczyma.

- Popuść łańcuch! - krzyknął do niego po holendersku. - Słyszysz? Popuść łańcuch kotwiczny!

Tamten spojrział ku niemu, zrozumiał wreszcie i zwolnił hamulec. Dał się słyszeć rumor opadającego łańcucha, Olst ukazał się na pomoście i wrzeszczał jakieś przekleństwa, kierując je to do Pawła, to do swoich ludzi, jakby dopiero teraz dostrzegł, co się dzieje. Samson cofał się z wolna, atakowany gwałtownie przez fale z lewej burty, dziób Salamandry zaczął się oddalać pod wpływem wiatru, ludzie odetchnęli z ulgą i na obu pokładach natychmiast podniósł się gwar zmieszanych głosów.

Paweł, wzburzony i nie ostygly jeszcze z wrażenia, pytał przez radiotelefon, czy Olst jest zupełnie głuchy, czy też nie rozumie, co się do niego mówi.

- Puście rzutkę i hol - powiedział. - Podejdę jeszcze raz. I wybierzcie ten łańcuch!

Odpowiedziało mu grobowe milczenie i dopiero wtedy przypomniał sobie, że na Salamandrze został uszkodzony nadajnik. Powiesił słuchawkę i wrócił na pomost. Nie było zresztą czasu na wymówki i spory. Ostatecznie, nie po to tu przybył.

Samson dryfował bokiem wzdłuż lewej burty Salamandry, jakby ją obwachiwał swym dziobem. Olst spoglądał ku niemu ponuro, póki szturman Terschel nie uruchomił windy kotwicznej. Wtedy Salamandra wolno ruszyła naprzód, a Samson znalazł się poza jej rufą i wykonawszy cyrkulację w prawo, zaczął cały manewr od nowa.

- Mam nadzieję, że odszaklowaliście drugą kotwicę? - spytał Paweł drwiąco. - Czy może chcecie uwiązać hol do nogi od stołu?

Terschel odpowiedział, że kotwica jest odszaklowana i że hol, jak tylko go podadzą, zostanie połączony z łańcuchem kotwicznym.

Leter po raz drugi przerzucił linkę, trafiając znów dobrze, a gdy Samson wysunął się przed Salamandrę na wiatr, mocna stalówka popęzła śladem rzutki.

Paweł czekał, aż tam będą gotowi z umocowaniem holu.

- Będziemy wam podawali sygnały kodflagiem! - zawołał. - Uważajcie!

Na rufie Samsona obłożono tymczasem hol na polerach³⁵ i zamocowano u podstawy tylnego masztu.

Pozostała jeszcze sprawa wymanewrowania obydwu statków na kurs do Yarmouth. Oznaczało to zwrot o jakieś sto dwadzieścia stopni na pełnym wietrze, przy czym rzeczą nie-

³⁵ Polery (pacholki) - żelazne lub drewniane pale na pokładzie statku lub na nabrzeżu służące do mocowania lin cumowniczych

uniknioną było przejście przez położenie bokiem do fali.

Taki manewr podczas sztormowej pogody przedstawia pewne ryzyko dla każdego trawlera. Trzeba wykonać zwrot z prędkością wystarczającą na to, żeby statek na pewno się obrócił aż do wiatru w baksztag, czyli wiejącego skośnie z tyłu, bo przy zbyt wolnych obrotach śruby wsteczny pęd wody w dolinie między dwiema falami może zahamować zakręt. Wówczas wyprowadzenie statku z takiego położenia staje się trudne. Z drugiej strony nie można zwiększać prędkości ponad miarę, bo wtedy pokład zalewany jest tak gwałtownie przez fale, że grozi to zmyciem szalup, beczek i wszelkich przedmiotów umieszczonych na rufie, a w skrajnych wypadkach, uszkodzeniem nadbudówek.

Paweł przede wszystkim polecił Olstowi wybrać do reszty łańcuch i podnieść kotwicę. Gdy spełniono to życzenie, wysunął się naprzód, przed Salamandrę, i kazał tak uregulować obroty, aby Samson stał w miejscu pokonując tylko dryf. Potem zwrócił go o trzy rumby w lewo, tak że teraz kadłuby statków tworzyły na przedłużeniu kąt około sześćdziesięciu stopni, i czekał, wodząc wzrokiem od końca do końca holu: od dzioba Salamandry, która dryfowała dalej, do rufy Samsona.

Tak upłynęły całe dwie minuty w zupełnym milczeniu. Na pokładach obu trawlerów załogi tkwiły nieruchomo u burt: na Samsonie po prawej stronie na rufie, na Salamandrze - po lewej, od dziobu. Stali trzymając się oblodzonych relingów i patrzyli ku sobie poprzez stumetrową przegrodę wzburzonej, piennej wody, pod której powierzchnią łączyła ich gruba, czterocalowa stalówka. Podobnie jak Paweł czekali, kiedy się wypręży i zacznie ciągnąć.

Kipiące fale pędzone lodowatym wichrem szły z północy, wznosząc wysoko to jeden, to drugi statek, to oba naraz, aby następnie opuścić je w dolinę, przechylić na zboczu, wspiąć się ponad nie, zamieść pianą lub skoczyć na deski pokładów i rozprysnąć się na pokrywach luków, u masywnych podstaw wind, u ścian nadbudówek, na grubych szybach skylightów³⁶.

Ludzie marzli, kostnieli z zimna, lecz trwali uporczywie na miejscu: każdej chwili mogli być potrzebni, gdyby nagle szarpnięty hol puścił, gdyby pękł, gdyby zaszła konieczność natychmiastowego rzucenia kotwicy lub podjęcia jakiejś innej szybkiej akcji w nieprzewidzianym wypadku.

Nic takiego zresztą nie nastąpiło. W ostatniej z tych stu dwudziestu sekund rozciągających się niezmiernie, koniec holu na rufie Samsona i łańcuch kotwiczny u dzioba Salamandry drgnęły prawie jednocześnie, przeciągle zgrzytnął splot zaciskany dokoła polerów, zachrobotały ogniwa łańcucha i ciężka lina zaczęła dźwigać się z wody.

Głos Pawła przerwał ciszę:

„Małą naprzód”.

Stalówka drżała, fale załamywały się wzdłuż niej, nie mogąc porwać jej z sobą. Dziób Salamandry wykręcał wolno za rufą Samsona, aż wszedł na prawo za jego kilwater, i sunął obok kołysząc się mniej gwałtownie, chroniony częściowo przed atakami grzywaczy poskramianymi wirem od śruby pierwszego trawlera.

Pieluch z uznaniem potrząsnął głową.

- Ruszył jak pociąg na szynach - powiedział do Gacą. - Nie wiem, czy Olst by tak trafił.

³⁶ Skylight (ang.) - okno wystające skośnie z pokładu, oświetlające te pomieszczenia, które nie są położone przy żadnej z burt statku. Kilwater (hol.) - ślad statku posuwającego się po wodzie; smuga powstająca za jego rufą.

Bosman lekceważąco machnął ręką.

- Pierona, ja myślę, że nie.

Terschel sygnalizował z pomostu: „Wszystko w porządku”.

- Jo, to my wiemy - powiedział Pieluch głośno.

Ta uwaga rozpętała na pokładzie Samsona całą burzę drwin pod adresem Holendrów.

- Nie zgubcie się nam tylko! - wrzeszczeli.

- A może wam posłać sternika, bo sami nie potraficie? - pytał Leter.

- Co tam sternika! Nasz Mucha by się u was zdał na szypra. Lepiej się na tym rozumie niż Olst.

- Ahoj, na Salamandrze! - wołali. - Zamienicie się? Weźmiemy waszego Olsta na praktykanta, a damy wam Muchę!

Ryczeli ze śmiechu, sypali dowcipami, kpili, darli się na całe gardło, w nadziei że choć część tego dojdzie do uszu Olsta. On zaś, zaniepokojony tym harmidrem, nie wiedząc o co im chodzi, podniósł flagi V-B: „Nie rozumiem waszych sygnałów”.

Wywołało to paroksyzm takiej wesołości, że grzmiący śmiech doleciał z wiatrem aż do pomostu, na którym stał razem ze swym szturmanem.

- Co im się stało? - zapytał, wytrzeszczając oczy. Terschel wzruszył ramionami.

- Śmieją się z nas - odrzekł. - Używają sobie.

- Verdamme! - zaklął Olst. - Ja im jeszcze pokażę!

Szturman spojrzał na niego przez ramię z nieukrywaną pogardą.

- Cóż ty im możesz jeszcze pokazać? To oni nam pokazali, i to jak! Przegrałeś z tym Czernikiem i już się, człowieku, nie odegrasz. Ja ci to mówię.

Olst poderwał się jak podcięty batem. Otworzył usta, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Nagle oklapnął, zachwiał się, jakby miał upaść i ciężko oparł się na relingu. Tak, Terschel miał słuszość: nie było sposobu odegrać się na Czerniku.

- Ej, Bruno! - Terschel szarpał go za rękaw.

- Co tam? - spytał podnosząc wzrok.

- Zaczynają zwrot - powiedział szturman.

Żółta flaga z czarnym kołem pośrodku łopotała na rejce Samsona.

- Dobrze - mruknął Olst. - Odpowiedz, że jesteśmy gotowi. Ja sam wezmę ster.

Terschel usunął mu się z drogi.

- Uważaj - powiedział.

Szyper był zły.

- A ty pilnuj swego nosa.

Z Samsona sygnalizowano:

„Starajcie się sterować bardziej w prawo niż my. Idźcie po łuku o większym promieniu. Uwaga: zaczynam”.

Olst nagle poczuł, że ogarnia go ogromne zmęczenie i zupełna apatia. Był pobity i to przygnębiało go tak dalece, że zupełnie opadł z sił. Było mu już teraz prawie obojętne, co się stanie z nim i ze statkiem; poddawał się swemu losowi, patrzył tępo przed siebie i powtarzał w myśli, że oto jest na holu, u końca liny, którą ciągnie Paweł Czernik. Był to największy upadek, jaki mógł sobie wyobrazić. Upadek, z którego nie mógł się już podźwignąć.

Sterował prawie bezwiednie, przerzucając uchwyty koła w prawo i w lewo, zależnie od kierunku nacierających fal, które pędziły z wiatrem, wspinając się powyżej burt Salamandry, i lak się zapamiętał w zniechęceniu do jakiegokolwiek wysiłku, że gdy Samson położył się w zakręt, nie zmienił wcale kursu. Statek przez dłuższą chwilę szedł dalej prosto, aż nagle szarpnięty holem wykręcił w lewo. Jednocześnie potężny grzywacz wyrznął rozczochranym łbem w jego burtę i z hukiem zwałił się na pokład.

To wyrwało Olsta z odrętwienia. Zobaczył w oddali ostrzegawcze błyski boi zakotwiczonej na płyciźnie, a na lewo rufę Samsona i bijącą po wodzie stalówkę. Przeraził się. Nie mógł zrozumieć, co się stało.

Terschel darł się na całe gardło, biegnąc ku niemu spoza sterówki.

- Uważaj, Bruno! W lewo! W lewo ster!

Odrzącił go, zakręcił kołem.

- Co się z tobą dzieje, Olst? Nie widzisz sygnałów?

Olst spojrzął ku Samsonowi. Trzepotały tam jedna pod drugą dwie flagi: niebieska z biało-czerwonym prostokątem i biała z prostokątem niebieskim.

Jak mógł nie zauważyć, kiedy je podniesiono? Już po raz drugi w ciągu kilku minut...

„Sterujcie w lewo!” ryczał Paweł przez telefon.

- Zmęczony jestem - powiedział Olst. - Steruj ty.

Salamandra za późno położona do zakrętu kołysała się ciężko, zarywając dziobem i prawą burtą, spychana w bruzdy, tratowana, poniewierana przez fale. Przyjmowała teraz na pokład całe góry wody, które pędziły z impetem, rozbijając się o ściany nadbudówek, wpadały między beczki zaklinowane na rufie, chlustały u burt w górę, powyżej sterówki. Statek wiązał w dolinach, poddawał się coraz bardziej, przechylał się coraz gwałtowniej.

- Myśleliśmy wtedy, że nam zaleje paleniska - zwierzał się później pierwszy mechanik Salamandry, który wprawdzie lubił trochę przesadzać, ale posiadał dar niezwykle barwnego przedstawiania wypadków. - Siła wiatru dochodziła do dziesięciu i cała załoga schroniła się u zejścia do maszyny - mówił patrząc w górę, jakby ich tam widział. - Bali się uciec pod pokład, uważacie, bo wydawało się, że nasza łajba lada chwila machnie kozła. A z drugiej strony nie można było utrzymać się na nogach tam, na zewnątrz. Nie widziałem, jak się to odbywało - ciągnął dalej, spoglądając po swych słuchaczach - ponieważ tkwiłem na dole i objąłem sobie łofccie, kolana, a nawet głowę o poręczę i ściany. Ale kiedy po tym wszystkim wyścibiłem nos na świeże powietrze, pokład był wymieciony do czysta. Wszystkie beczki, które mieliśmy na rufie, zmyło w morze. Drzazgi pływały dokoła nas, a całe chmary mew opychały się naszym solonym śledziem, więc sami rozumiecie, co by się stało z ludźmi, gdyby im przyszło do głowy zostać na pokładzie.

Wisielei nam nad głowami zbitą gromadą, szepieni z sobą jak kiść winogron. Słowo daję, myślałem, że lada chwila oderwą się od galeryjki i gruchną na dół. Statek jęczał i stękał, jak powalony człowiek, którego ktoś kopie w brzuch. Morze miotało nim, jakby się uparło, że go rozłupie, fale grzmocily o burtę i mógłbym przysiąc, że podczas tego zakrętu nie było ani sekundy, abyśmy nie mieli na pokładzie wzburzonej rzeki na trzy stopy głębokiej.

Naturalnie Czernik nie był temu winien. Wiem to od Terschela, który z pewnością wolałby żłopać wodę zamiast piwa, niż powiedzieć o Czerniku dobre słowo. Nie mówił też

o nim wiele, ale musiał przyznać, że to Olst sknocił cały manewr, bardzo mądrze przez Czernika przeprowadzony.

Pewnie by się to skończyło katastrofą, bo wybiło nam już kilka klinów przytrzymujących brezentowe płachty na lukach i ciężkie pokrywy kłapały jak szczęki głodnego krokodyla, łykając przy tym, ma się rozumieć, sporo wody. Mogło je lada chwila zmyć, tak samo jak zmyło beczki i szalupy. Czy mówiłem wam, że zabrało nam obie szalupy? Nie?

A więc zabrało je razem z rostrami³⁷, na których stały. Fale nie miały z tym więcej zachuodu niż dentysta przy wyrwaniu mlecznego zęba.

Więc, jak powiadam, niewiele nam brakowało do spędzenia wieczności na dnie w pobliżu Western Deep i z pewnością do dnia dzisiejszego wykarmiłoby się naszymi ciałami spore stado węgorzy, gdyby nie ten Czernik. Musiał od razu pojąć, co się stało, bo zamiast wykonać zwrot do końca i obrócić swego Samsona rufą na wiatr (przy czym Salamandra wetknęłaby chyba końce masztów w dno wyróciwszy się do góry kilem), powiększył promień zataczanego łuku i dał „Całą naprzód”. To nas uratowało, jak twierdzi Terschel. Samson wyprowadził nas z tej kabały, jak się prowadzi z narowionego konia za uzdę, nie tyle nad przepaścią, ile tuż obok ławicy piasku.

Niemal otarliśmy się o nią! Jest tam, jeżeli pamiętacie, taka dzwoniąca boja świetlna zakotwiczona przy grupie starych wraków, które siedzą akurat na owej płyciźnie. Zanim Czernik przybył ze swego łowiska, dryfowaliśmy na te wraki i wtedy Olst zdołał je wyminąć. Teraz Czernik musiał przejść tak blisko nich, że na naszym szturmanie skóra ścierpła. No, ale przeszedł, a my przeszliśmy za nim i kołysanie statku od razu złagodniało.

Nasi ludzie odlepili się od poręczy i powypęczali na pokład, a ja wyjrzałem za nimi. Już wam mówiłem, co tam zastałem, ale nie o to chodzi. Moją uwagę w owej chwili przykuła banda wariatów na Samsonie. Cieszyli się, jakby uratowali jakiś skarb, a jednocześnie wymyślali Olstowi, jakby im powykrał dziewczyny. Słyszałem te ich wrzaski, a nawet pojedyncze słowa i urywki zdań, a Olst musiał je także słyszeć, bo widziałem, jak się czerwieni i błędnie zgrzytając zębami.

W tym miejscu pierwszy mechanik zwykł był przerywać swoją opowieść bądź po to, żeby pociągnąć z kufla, bądź też, aby zapalić fajkę. Jeżeli zbyt długo milczał, pytano, co dalej.

- Dalej już nic szczególnego - odpowiadał. - Kilka mil przed Yarmouth spotkał nas angielski holownik, któremu Czernik przekazał Salamandrę, nie bez pewnych trudności technicznych, ma się rozumieć, bo sztorm ani myślał się uciszyć. (Anglicy nie śpieszyli się zbytnio z pomocą, wiedzieli, że Samson do nas dotarł, i woleli, żeby za nich odrobił najtrudniejszą robotę). Ale w każdym razie tamten szyper był przytomniejszy od Olsta i obyło się bez wielkich emocji.

Zataszczyli nas do portu, gdzie musieliśmy czekać na nurka, żeby wypłatał tę przekleętą stalówkę ze śruby. Owinęła się tam jak wąż boa na szyi antylopy i trzeba ją było rozcinać. Nie antylopę i nie śrubę, oczywiście, tylko tę linę. Tymczasem wyładowaliśmy śledzie, a poza tym nudziliśmy się jak mopsy. Czernik pożegnał nas na pełnym morzu, bardzo grzecznie opuszczając i podnosząc banderę, wywiesił trzy flagi kodowe życząc nam pomyślnej podróży i odplłynął na swoje łowisko. Podobno, kiedy wrócił do Gdyni... Ale to już całkiem inna histo-

³⁷ Rostry - rusztowania, na których umocowane są szalupy (łódzie) ratunkowe.

ria.

Na tym zwykle kończyło się jedno opowiadanie pierwszego mechanika i zaczynało się następne, o owym pamiętnym powrocie s/t Samsona z ostatniej wyprawy w sezonie połowów śledzia.

7.

Zanim jednak Paweł Czernik zdecydował się na powrót, upłynęły jeszcze całe trzy doby wypełnione morderczą pracą. Trzy prawie bezsenne doby, podczas których załoga Samsona zmagala się z morzem, z wichrem i z własną ludzką słabością. Człowiek bowiem jest słaby fizycznie w porównaniu z potęgą żywołów, choć bardzo wiele potrafi znieść i wytrzymać.

Wiatr to wzmagał się, to przycichał, ale wiał niemal bez przerwy. Niezwykle silny mróz chwycił statek w coraz grubsze okowy lodu, biała szreń narastała na wantach i sztagach, para obmarzała na windach szklistą skorupą, u burt, u relingów, u kotwic, przy kluzach i szpigatach tworzyły się długie sople. Sieć w ciągu kilku minut po jej wybraniu na pokład sztywniała i chrzęściła jak szklana, lód chrupał pod nogami, topniejąc tylko nad kotłownią i tam, gdzie po pokładzie biegły przewody pary. Statek wyglądał jak białe widmo miotające się po niespokojnym morzu, nad którym nisko nachylało się niebo zawalone chmurami.

Ludzie ślaniali się jak cienie, szamocąc się z opornym włokiem, brodząc po kolana wśród ryb w sadzawkach lub dźwigając ciężkie, wypełnione po brzegi kosze, żeby je opuścić do ładowni. Pracowali w milczeniu, zaciąwszy zęby; wspomagali się bez słowa, złączeni wspólnym wysiłkiem, jakby wszyscy razem stanowili jakiś jeden organizm o wielu członkach, stworzony jedynie po to, żeby wypełniać ładownie Samsona śledziem.

Nie myśleli chyba o niczym innym, nie widzieli podczas tych trzech dni innego celu przed sobą, prawie nie dostrzegali otaczających ich zjawisk, koncentrując wszystkie siły, całą uwagę, wszystkie zmysły na tym, żeby jednocześnie podciągnąć sieć poprzez reling, razem ją wyrzucić za burtę, w porę unieść kosz, podeprzeć padającego towarzysza, który pośliznął się na pokładzie, lub usunąć się przed rozchlustem fali.

Gdynia, dom rodzinny, ciepło i spokój tamtych wnętrz i sprzętów, postacie i twarze najbliższych, wszelkie sprawy lądowe, troski i radości pozostawione przed niewielu dniami na brzegu, były tak odległe, jakby lata minęły od czasu, gdy Samson oddał cumy wychodząc w morze. Dzieliła ich od tego wszystkiego niezmierna przepaść, zupełna pustka, jak w przestrzeni międzyplanetarnej, przed której przebyciem wzdraga się nawet myśl, niezdolna objąć jej ogromu. A przecież w ich podświadomości tkwiła pewność, że wrócą do tego innego świata, który gdzieś tam istnieje, wrócą, skoro tylko ostatnia warstwa ryb i drobno zmielonego lodu osiągnie poziom szczytowy.

Ta chwila zbliżała się coraz wyraźniej. Z każdym holem, który kończyli wśród ciemnej nocy, o szarym zmierzchu, w południe czy wśród budzącego się świtu, znużeni, otepiali, z opuchłymi dłońmi, chwiejąc się na nogach i ślepnąc od wiatru - z każdym holem starannie wyrównana powierzchnia lodowego szutru podnosiła się w ładowni o kilkanaście cali.

Aż wreszcie padło krótkie „Dosyc”. Słowo, które w ciągu sekundy przebiegło ową niezmierną przestrzeń dzielącą Samsona od macierzystego portu, skracając ją do rzeczywi-

stych rozmiarów, do niespełna siedmiuset mil morskich, które mogli przebyć w trzy dni; słowo, które samym swym dźwiękiem, samym tonem głosu, jakim zostało wypowiedziane, zburzyło, zmiotło zaporę odgradzającą uczucia, myśli, dążenia od owego zapamiętania się w pracy, od głuchej drętwoty psychicznej dnia dzisiejszego.

Wypowiedział je Paweł Czernik spoglądając z pomostu w otwór luku, w którym Mucha rozgrabiał lód.

- Dostyc - powtórzył. - Trzeba to przykryć deskami i przysypać resztą lodu, ile go tam jeszcze zostało. Wracamy.

Nikt się nie odezwał, tylko coś jakby głębokie westchnienie zdawało się ulatywać z pokładu. Wtem błady, niepewny promień słońca zabłąkany wśród chmur musnął statek i wszyscy podnieśli głowy w górę, a potem spojrzeli po sobie, jakby dopiero teraz dostrzegli się nawzajem. Po zarośniętych twarzach przewinał się uśmiech, zaczęli mówić, raczej przebąkiwać lub pomrukiwać pod nosem, wszyscy naraz, poszturchiwali się łokciami, mrugali do siebie porozumiewawczo, ten i ów łypnął ku szyprowi na pomost i brał się do roboty, żeby przecież raz z tym skończyć.

Gac przeciągnął się, aż mu zatrzeszczało w stawach, skrzywił się od dojmującego bólu w kościach i wesoło, różnym głosem powiedział:

- Pierona, ale będę spał! - co rozśmieszyło wszystkich, jak najlepszy dowcip.

Pieluch pokiwał głową.

- Jo, czas wracać. Czekają w domu... i - zaraz potem: - Ruszajcie się, ludzie! Przecie z otwartym lukiem nie pójdziemy do Gdyni.

Ruszali się, a jakże! Przegonili Kocorza do kuchni, żeby im przygotował galowy obiad: „Bez żadnych tam ryb, tylko z ucziwej wieprzowiny”. Wyprzątnęli i rozebrali szadawki, rozwiesili włók, umocowali „na fest” rozpory, sklarowali i zbuchtowali liny, zamknęli luk, obciągnęli pokrywę brezentem, zaklinowali.

No, teraz niech się dzieje, co chce. Najedzą się za wszystkie czasy i będą spali. Już chyba żaden Holender nie tłucze się po morzu ze stalówką w śrubie, więc nikogo nie trzeba będzie ratować. A szyper także jest tylko człowiekiem: też musi trochę pospać, więc będzie spokój przynajmniej do Cuxhaven.

Istotnie, aż do Cuxhaven był spokój, jeżeli nie brać pod uwagę gwałtownych szkwałów, które z północnego zachodu wpadały na statek kołyszając go z burty na burte, niosąc bryzgi wody i płaty piany osiadające białym nalotem w takielunku³⁸ i wpędzając na pokład zerwane w pędzie czuby fal, które tężały na lód przy zetknięciu z żelazem.

Żaden wypoczęty człowiek nie zmrużyłby zapewne oczu wśród nieustannego łomotu, skrzypienia, klekotania, stękania statku, wśród wycia wiatru i huku morza, podczas tego miotania się w górę i w dół, na lewo i na prawo. Ale załoga Samsona spała. W ciągu trzydziestu trzech godzin, od chwili kiedy statek położył się na kurs powrotny, aż do wejścia pilota na pokład pomiędzy Neuwerk a Scharhord, trzeba było ściągać z koi tych, na których wypadała kolejna wachta.

Dopiero gdy już szli przez Kanał Kiloński, ocknęli się z tego snu podobnego do letargu. Pieluch urządził w swojej kajucie coś w rodzaju ambulatorium i kolejno opatrywał odmrożenia, rany i stłuczenia. Potem znów jedli i spali w ciepłe, rozwiesiwszy mokrą odzież

³⁸ T a k i e l u n e k - olinowanie i omasztowanie statku. Top - szczyt masztu.

i zdjawszy wreszcie gumowe buty. Najwięksi eleganci zaczęli się myć i golić dopiero na wysokości Rugii...

Dzień dwudziesty ósmy listopada wypadł w niedzielę. Był mroźny i wietrzny, ale pod wieczór wiatr uspokoił się i tylko krwistoczerwony zachód słońca zwiastował, że ta cisza nie potrwa długo. U Nabrzeża Angielskiego długim szeregiem stały trawlerzy Polmoru. Od dziobów poprzez topy ich masztów aż ku rufom biegły girlandy barwnych flag. Załogi były na pokładach, jakkolwiek żaden ze statków nie miał wyjść w morze. Nie po to tu przybyli, po lądowemu odświętnie ubrani, a ich rodziny, dziewczęta, kobiety z sieciami i hali rybnej zebrały się tu nie po to, żeby ich żegnać. To s/t Samson ze swoją zwycięską załogą wracał z ostatniej w tym sezonie wyprawy, zdobywszy pierwsze miejsce w tabeli połowów i na jego powitanie powiewała gala na masztach.

Anna stała u krawędzi nabrzeża, w tym samym miejscu, z którego przed niespełna trzema tygodniami pożegnała Pawła. Powiedział jej wtedy, że musi wygrać, i oto teraz wracał jako najlepszy z szyprów.

„Samson idzie!” zawołał ktoś z daleka.

Istotnie Samson ukazał się u wejścia do basenu i sunął wolno, głęboko zanurzony, biały od szronu i lodu, zaróżowiony w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które zapalało ogniste błyski na jego masztach i linach.

W tej samej chwili zaczęły wyć syreny trawlerów, a inne statki podjęły ten powitalny hejnał na cześć garstki ludzi, którzy wywalczyli sobie pierwszeństwo wśród rybaków Polmoru.

Oni zaś stali tam na białym, szklistym pokładzie, wzniosłszy w górę ramiona, prości i wzruszający w tym geście, którym pozdrawiali swych bliskich i wszystkich pracowników morza.

Zakopane 1950

Na rafach Nidingen

Od kilku dni siedziałem w Szczecinie i nudziłem się śmiertelnie, czekając na statek, który miał mnie zabrać na pewną niewielką wyprawę hydrograficzną. Chciałem zapoznać się z pracą załogi takiego statku, ponieważ zamierzałem coś o tym napisać. Załatwiłem uprzednio wszelkie formalności, zdobyłem konieczne zezwolenia i otrzymawszy depeszę wzywającą mnie do Szczecina, przybyłem tu samolotem, w obawie, żeby się nie spóźnić. Okazało się jednak, że mój pośpiech był zbyteczny; wprawdzie statek znajdował się już w porcie, ale nie ustalono jeszcze daty jego wyjścia na morze. Coś tam naprawiano, uzupełniano sprzęt i montowano jakieś sondy, które należało wypróbować w tej podróży. Mogło to potrwać równie dobrze parę dni, jak kilkanaście godzin. Musiałem więc czekać.

Obok „pokoi gościnnych” w gmachu Linii Żeglugowych, gdzie się zatrzymałem, była świetlica. Spędzałem tam po kilka godzin dziennie, przeglądając gazety i spoglądając przez okno na zamglone wody zatoki (czy też jeziora Dąbie, które jest jej południowym przedłużeniem). Był grudzień, padał deszcz ze śniegiem, niskie, ciężkie chmury zawały niebo. Nie miałem absolutnie nic do roboty, żadnego zajęcia, które mogłoby skrócić oczekiwanie; wychodziłem do miasta tylko na posiłki albo do kawiarni czy też do kina.

W świetlicy siadywałem przeważnie sam, lecz raz czy może dwa razy zastałem tam młodego człowieka, który skinął mi głową i uśmiechnął się lekko na mój widok. Odwzajemniłem to milczące powitanie, jakkolwiek nie przypominałem sobie, abym go kiedykolwiek w życiu spotkał uprzednio.

Zauważyłem, że był wysoki, bardzo szczupły, o długiej twarzy i głęboko osadzonych ciemnych oczach. Miał przy tym duże odstające uszy i niesforne włosy, które sterczały mu sztywno, choć ustawicznie je przygładzał. Zachowywał się spokojnie i powściągliwie, lecz wyglądał z tym wszystkim trochę jak przepłoszone chude ptaszysko.

Pewnego dnia, gdy na próżno szukałem po kieszeniach zapalek, uprzejmie podał mi ogień do papierosa. Zaczęliśmy rozmawiać. Nazywał się Anasz i był radiotelegrafistą na Tytanie, holowniku Polskiego Ratownictwa Okrętowego. Powiedział, że widział mnie w ubiegłym roku na pokładzie tego statku podczas podnoszenia wraku Jastarni.

- Szkoda, że pana nie było z nami pod Nidingen - dodał ni stąd, ni zowąd.

Domyśliłem się, że pragnie opowiedzieć mi jakąś przygodę, a ponieważ nie chciało mi się stąd ruszać, okazałem dostateczne zainteresowanie, aby go skłonić do tego opowiadania.,

- To było trzy tygodnie temu - zaczął. - Szliśmy z Gdyni do Rostocku, żeby stamtąd przyholować dwa małe pontony. I właśnie wtedy wynikła ta historia z Czajką. Musiał pan o niej słyszeć? Pisały o tym wszystkie gazety, głównie szwedzkie.

Wyznałem z pewnym zawstydzeniem, że nie słyszałem o żadnej historii z Czajką. Na swoje usprawiedliwienie powiedziałem, że nie umiem po szwedzku.

Telegrafista Tytana obrzucił mnie szybkim, płochliwym spojrzeniem, jakby w obawie, że sobie z niego pokpiwam, ale wyraz mojej twarzy uspokoił go widocznie, bo oświadczył, że w takim razie musi zacząć od Czajki.

- Właściwie nawet od jej asystenta pokładowego, niejakiego Juliusza Tadańca - dodał.

Ów Tadaniec był jego dobrym znajomym czy może kolegą szkolnym. Odznaczał się niezwykłymi zdolnościami, którym zawdzięczał szybki awans, co z kolei uczyniło go zarozu-

miałym i zbyt pewnym siebie. Był przy tym trochę roztargniony i to jego roztargnienie stało się główną przyczyną wypadków, o których miałem się dowiedzieć.

Co się tyczy statku, był to lugrotrawler³⁹ motorowy, czterysta pięćdziesiąt BRT, używany do połowów dalekomorskich. Jego załogę stanowiło dwudziestu kilku ludzi, licząc w tym maszynistów. Dowodził Czajką młody szyper Marcelli Kalita, mając do pomocy szturmana Smotera (znacznie starszego wiekiem) oraz owego asystenta Tadańca.

- Cała ich wyprawa zaczęła się pechowo - mówił Anasz, zaznajomiwszy mnie z tymi szczegółami. - Podczas ładowania soli jedna z beczek, wagi stu czterdziestu kilogramów, stoczyła się po pokładzie i przygniotła szturmana. Z początku nikt się tym bardzo nie przejął, bo stary Smoter utrzymywał, że wszystkie gnaty ma w porządku i nic mu nie jest. Ale już przy wyjściu z Gdyni poczuł się źle, a wieczorem dostał silnej gorączki i nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

Byli wtedy na wysokości Łeby; musieliby poświęcić co najmniej półtorej doby na powrót i zmianę szturmana, który zresztą nie chciał słyszeć o czymś podobnym. Sezon się kończył; był początek listopada, kiedy ławice śledzi przenoszą się poniżej Yarmouth, ku wejściu do kanału La Manche, i kiedy każdy dzień opóźnienia może narazić załogę na poważne straty, więc szyper dał się przekonać asystentowi, że nie warto zawracać, bo nim dojdą do łowisk, Smoter wyzdrowieje.

Tak więc płynęli dalej. Morze było niespokojne, a pogoda uciążliwa. Czajka miała w ładowniach sto dziesięć beczek soli i niewielki balast, a poza tym puste beczki na pokładzie. Pod takim małym obciążeniem siedziała płytko w wodzie, co przy silnym wietrze utrudniało manewrowanie i utrzymywanie jej na kursie. Mimo to szczęśliwie minęli Bornholm i nazajutrz przeszli przez Sund. Kalita prawie nie schodził z mostku, lecz gdy znaleźli się na wodach Kattegatu i wiatr osłabł, postanowił trochę odpocząć.

Ostatni jego zapis w dzienniku okrętowym o godzinie 22.00 określał, oprócz pozycji statku, „stan morza dwa, widzialność sześć Mm”. Zdając wachtę asystentowi, pouczył go dokładnie, że ma iść dotychczasowym kursem wprost na boję, którą mu pokazał na mapie i w locji, następnie zaś, po dojściu do owej boi, zmienić kurs na statek latarniowy⁴⁰. Kazał mu, żeby go obudzić przy tej zmianie kursu.

Tadaniec powtórzył te instrukcje, po czym, zapewne z własnej ciekawości, zapytał, którądy popłyną dalej.

Szyper go lubił. Uznał to jego zainteresowanie za zupełnie naturalne i objaśniwszy mu, jakie światła ma latarniowiec, powiedział, że gdy dojdą do tego punktu, trzeba będzie znów zmienić kurs na taki to a taki. Dodał jeszcze, że wszystkie te manewry chce wykonać sam, ponieważ Czajka znajdzie się w pobliżu lądu, a dno tych okolic jest skaliste i zdradliwe. Potem poszedł spać.

Tadaniec został na mostku ze sternikiem, którą to służbę pełnił młody chłopak w jego wieku, nazwiskiem Raff. Do godziny 23.00 szli tym samym kursem pełną szybkością. Wkrótce potem wiatr zmienił kierunek i przybrał na sile, a o 23.30 dał już z południowego zachodu z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Jednocześnie zaczął padać śnieg, co chwilami zmniejszało widoczność do jednej mili morskiej.

³⁹ Lugrotrawler - siatek do połowów dalekomorskich. B R T - ton rejestrowych brutto; określenie pojemności statku; tona rejestrowa równa się 2,8 metra sześciennego..

⁴⁰ Statek latarniowy - zakotwiczony na stałe, zamiast łalami morskiej.

Tadaniec wysłał na dziób praktykanta i kazał mu wypatrywać boi. Dostrzegł ją zresztą sam, nieco w lewo od kursu, i to go upewniło, że nawiguje prawidłowo. Postanowił zatem nie budzić szypra, póki nie ukażą się światła statku latarniowego, co miało nastąpić mniej więcej za godzinę.

Zapisał w dzienniku okrętowym, że zmienia kurs, ale z wrodzonym roztargnieniem zapomniał podać ów nowy kurs Raffowi, który nic nie wiedząc o zarządzeniach Kality sterował nadal prosto.

W kwadrans potem chłopak na dziobie zawołał, że o pół rumba w prawo widzi dwa światła jedno nad drugim, a Tadaniec pomyślał, że są to światła statku latarniowego, i kazał sterować wprost na nie. Lecz po chwili ukazało się jeszcze jedno światło, znacznie wyżej, a potem jeszcze kilka. Wtem praktykant zawołał, że widzi brzeg, a Tadaniec usłyszał łoskot fal rozbijających się na skałach nieco w prawo od kursu.

Zrozumiał, że statkowi grozi niebezpieczeństwo, ale z wrażenia stracił głowę. Zamiast podać do maszyny „Stop” i „Cała wstecz”, krzyknął: „Ster lewo na burtę!”, i całym pędem wpadł na skalną mieliznę.

- Uderzenie było tak silne - mówił dalej telegrafista - że nie tylko zważyło z nóg lub wyrzuciło z koi całą załogę, ale także zerwało z pokładu jedną szalupę i kilkadziesiąt pustych beczek. Kilku ludzi w maszynie potłukło się dotkliwie, ktoś złamał rękę, a dosłownie nikt nie wyszedł bez szwanku.

To nie było jednak najgorsze. Do ładowni i do maszyny wdzierала się woda, a statek podrzucany przez fale tłukł dnem o kamienie. Wkrótce pogasły światła wskutek zalania dynamo i ciemność spadła na rozbitek, pogrążając ich w zwątpieniu.

Wśród tej ciemności, wycia wiatru i ryku spienionego morza zaczęli wzywać pomocy. Ale przez długie godziny nikt im nie odpowiadał. Przed nimi w oddali z niezmienną, obojętną regularnością błyskało światło, które asystent aż dotychczas uważał za sygnały latarniowca. Kalita wyprowadził go z błędu: to mogła być tylko latarnia morska na skalistej wysepce Nidingen.

Gdy się rozwidniło, szyper określił dokładnie położenie Czajki. Leżeli bokiem do fali o pięć kabli⁴¹ od wysepki, po jej południowej stronie.

W braku dokładnej mapy tych okolic nie można było ustalić głębokości dna, lecz nawet na mapie generalnej oznaczono aż siedem wraków, między którymi utknął statek.

Najbliższym portem, skąd mogła przybyć pomoc, okazał się Goteborg. Uzyskali z nim wreszcie połączenie przez radio i obiecano im wysłać holownik.

Zaraz potem zgłosiła się także Gdynia. Dyrekcja poleciła szyprowi zawrzeć umowę z holownikiem, który istotnie przybył koło południa i stanął na kotwicy o dwie mile od Czajki, pod osłoną wyspy.

Podniosło to na duchu załogę, ale nie szypra, bowiem kapitan holownika ani myślał podejść bliżej i przedsięwziąć cokolwiek, dopóki trwał sztorm. Doradził im tylko, żeby zatrzymali pompy i zaleli ładownie, bo głębokość w tym miejscu nie przekracza paru metrów.

To była słuszna rada. Obciążona Czajka siadła mocniej na płyciźnie i nie poddawała się już niszcącym działaniom fal, które wprawdzie teraz przelewały się przez pokład, ale nie mogły jej unosić i opuszczać na skały.

⁴¹ Kabel - tu: morska miara długości równa 0,1 mili morskiej, tj. 185,2 lub 185,3 m.

Tymczasem jednak sztorm przybierał na sile, a komunikaty meteorologiczne nie wróżyły rychłej poprawy pogody. Kalita wiedział, że jeśli wkrótce nie otrzyma innej pomocy, straci statek...

- A my wtedy szliśmy do Rostocku - ciągnął dalej Anasz. - To było czwartego listopada przed południem. Kapitan Rokosz właśnie zliczył pozycję, kiedy zgłosiła się Odra-Radio i zażądali go do telefonu. Pan zna Rokosza? - spojrzał na mnie swymi przepastnymi oczodołami, a gdy skinąłem głową, odwrócił wzrok i uśmiechnął się lekko.

- Więc jak tylko skończyli tę rozmowę, kapitan przeszedł do starówki i podał kurs: dwieście osiemdziesiąt cztery stopnie. Byliśmy wtedy pod 55°10' N, 14° 08 E. Wie pan, gdzie to jest?

Nie wiedziałem, więc wstał i pokazał mi ów punkt na mapie, która wisiała na ścianie.

- Tutaj. Mniej więcej na połowie drogi między Bornholmem a Rugią, trochę bardziej na północ.

Ustaliwszy ten szczegół wróciliśmy pod okno do porzuconych przed chwilą trzcinowych foteli i Anasz mówił dalej, jak nawiązał łączność z Czajką, jak potem w nocy szli przez Sund i wydostali się na Kattegat.

- Koło dziewiątej rano podeszliśmy pod tę skałę i wykręciwszy dziobem do wiatru rzuciliśmy kotwicę w odległości półtorej mili od Czajki. Wicher dął z południowego zachodu, morze wzdymało się jak kipiące mleko, białe wytryski strzelały wysoko w górę u czarnych, lśniących okruchów łądu rozsianych dokoła wąskiej, długiej wysepki, nad którą wznosiły się dwie wieże latarni morskich na obu: jej krańcach. Pośrodku między nimi sterczał wysoki maszt do sygnałów ostrzegawczych, a pod jego rejką czerniała kula, oznaczająca siłę wiatru 6-7 według skali Beauforta.

Po drugiej stronie rafy dymił komin Rolfa, owego szwedzkiego holownika. Widzieliśmy go od czasu do czasu, gdy jakaś wyższa fala podbiegła pod Tytana, aby unieść go na swym grzbiecie, nie wchodząc na pokład. Przeważnie jednak zalewały nas niemal po uszy, mimo że wypuściliśmy cztery szakle łańcucha. Kapitan Rokosz rozmawiał przez radiotelefon z Kalitą i powiedział, że zrobi wszystko, co jest w mocy ludzkiej, aby uratować Czajkę. Ale mnie osobiście wydawało się to wówczas niemożliwe.

Spojrzał na mnie spođe łba, unosząc ramiona, co czyniło go jeszcze bardziej podobnym do nastroszonego ptaka, który gotuje się do ucieczki, i potem z wolna wyprostował się, wyciągając szyję.

- Gdyby pan widział to morze naszpikowane skałami... - powiedział marszcząc brwi.

- Wyobrażam sobie - mruknąłem w odpowiedzi.

Opuścił powieki, jakby ważył w myśli, czy istotnie mogę to sobie wyobrazić, po czym znów zaczął opowiadać, starając się wyjaśnić mi wszystkie trudności tego ryzykownego przedsięwzięcia.

O podaniu holu na tak wielką odległość oczywiście nie mogło być mowy, a podejście bliżej groziło rozbiciem Tytana o skały podwodne. Wobec tego kapitan Rokosz zwrócił i się do szwedzkiego holownika z zapytaniem, czy szyper byłby skłonny wypożyczyć mu dokładną mapę lub przysłać pilota. Szyper odpowiedział, że nie ma żadnej mapy, a podejście do Czajki podczas takiej pogody uważa za szaleństwo. Jego zdaniem polski lugrotrawler skazany jest na zagładę. Załoga powinna czym prędzej go opuścić, bo za kilka godzin może już być za późno.

Co się tyczy jego samego, to ma zamiar natychmiast podnieść kotwicę i wrócić do Goteborga.

Jakby na potwierdzenie tej opinii, z masztu na Nidingen ściągnięto kulę i whisowano⁴² czarny stożek: „Przewidywany sztorm z południowego zachodu”.

Wkrótce potem Anasz przejął kilka depeesz dotyczących Tytana i Czajki, a przeznaczonych zapewne dla prasy zachodniej. Depesze te, zredagowane w napastliwym tonie, zawierały wiadomość o awarii polskiego statku rybackiego, który doświadczeni ratownicy szwedzcy uznali za przepadły. Mimo to władze polskie „jedynie dla celów propagandowych” skierowały na miejsce wypadku, pod Nidingen, holownik ratowniczy. Wynik tej akcji, podjętej w czasie sztormu na wodach bardzo niebezpiecznych, jest łatwy do przewidzenia: zamiast stracić jeden statek, Polska straci dwa, nie mówiąc już o prawdopodobnych ofiarach w ludziach...

- Zanotowałem to wszystko i pokazałem kapitanowi – powiedział telegrafista. - Gdyby pan mógł zobaczyć wtedy jego spojrzenie! Myślałem, że mnie zadźga wzrokiem. „No i co? - powiada do mnie. - Cykoria? Chciałbyś może wyrwać stąd jak tamci na Rolfie?”

- Muszę się panu przyznać - ciągnął dalej po chwili - że istotnie skóra na mnie cierpła, kiedy patrzyłem, jak Czajka tłucze się po tych przeklętych kamieniach. Ale nie myślałem przecież o ucieczce... Wróciłem do kabiny radio, a Rokosz wezwał starszego oficera Mierzyńskiego i pierwszego mechanika Bogaczewskiego, żeby się z nimi naradzić. W dziesięć minut potem spuścili na wodę małą szalupę motorową i kapitan popłynął do Nidingen. Mierzyński powiedział mi, że po mapę i po pilota.

Anasz rozwodził się dalej szczegółowo nad trudnościami, jakie kapitan Rokosz napotkał na skalistej wysepce, której nieliczni mieszkańcy żyli z rybołówstwa i z innych darów morza w postaci szczątków rozbitych statków oraz ich ładunków wyrzucanych co pewien czas na brzeg przez sztormy. Ci poczciwi ludzie, z natury małomówni, posługiwali się ograniczoną ilością słów w języku ojczystym, nie znając zresztą żadnego innego. Najwidoczniej ucieszyli się z przybycia holownika, w nadziei że oprócz szczątków Czajki wpadną w ich ręce również pozostałości po jego zatonięciu, ale żaden z nich nie chciał wypłynąć na morze, aby to radosne zdarzenie przyśpieszyć. Mniemali zapewne, że Opatrzność załatwi to sama, bez ich czynnego udziału; kręcili głowami i wskazywali wymownymi gestami czarny stożek na swoim maszcie. Cudzoziemski marynarz ze swą porywcznością, z pałającym wzrokiem i nierozumnym uporem wydał im się zapewne niebezpiecznym awanturnikiem, jeśli nie po prostu piratom. Po długich pertraktacjach i namysłach sprowadzili wreszcie latarnika, który zgodził się wypożyczyć szczegółową mapę.

Z tym łupem kapitan wracał na Tytana, zdecydowany podejść do Czajki tak blisko, jak tylko to będzie możliwe, gdy spoza sąsiedniej wysepki Lilleland, która leży na zachód od Nidingen, ukazał się mały kuter rybacki idący w beidewind pod skróconymi żaglami.

Już z daleka można było zauważyć, że załoga i jej statek znajdują się w opałach: rzucało nimi jak piłką po falach, to znów kładło ich na burzę, przy czym wściekłe grzywacze przeskakiwały pokład, a dziób zarywał tak głęboko, jakby zamierzał dać nura aż do samego dna. Gdy kuter minął Tytana, za jego rufą, zarówno z holownika, jak z motorówki, dostrzeżono, że fokżagiel⁴³ trzyma się tylko na fale i na rogach halsowym i szotowym, natomiast

⁴² Hisować - wciągać w górę żagle albo reje.

⁴³ Fokżagiel (fok) - na większych żaglowcach główny żagiel przedniego masztu; na małych jednostkach główny żagiel przedni - rozpinany na sztagu. Fał - lina do podnoszenia żagla. Raksy - zaczepy albo pierścienie do umo-

wszystkie rasky ma zerwane. Z grotżaglem też musiało być coś nie w porządku, bo jego gafel podciągnięty był za ledwie do połowy masztu, skutkiem czego żagiel trzepotał się i trząsał, raz po raz gubiąc wiatr.

Załoga, trzech ludzie w olejarzach, mocowała się z fałem, który widocznie się zaciął czy też zaplątał podczas stawiania grotu. Czwarty sterował.

Wtem gafel wraz z żaglem opadł na pokład i wszyscy trzech rzucili się naprzód, zapewne aby ściągnąć także fok. Nie zdążyli tego dokonać: kuter skręcił bokiem do fali, położył się na burcie i omal go nie odwróciło dnem do góry.

Wtedy kapitan Rokosz skierował motorówkę wprost ku niemu, chcąc ratować ludzi, którym groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Zanim jednak łódź przebyła połowę drogi, kuter podniósł się nieco, a jego załoga zdołała rzucić kotwicę. Fok został tymczasem zerwany przez wiatr czy też przez fale, dość że gdy statek dryfując rufą wyprostował się wreszcie, maszt był już ogołocony.

Szcześliwym zbiegiem okoliczności nikogo nie zmyło z pokładu, ale dryfowali nadal, bo kotwica obsuwała się po kamieniach i nie chciała chwycić, mimo że wypuścili ze trzydzieści metrów łańcucha, a potem przedłużyli go stalówką do jakich stu metrów. Zalewało ich gwałtownie, a stalówka mogła lada chwila pęknąć wskutek gwałtownych szarpnięć kotwicy.

Wobec tego kapitan Rokosz zaproponował szyprowi, że weźmie go na hol i podciągnie pod rufę Tytana, gdzie spokojnie będą mogli uporządkować takielunek i przygotować nowy fok.

Szyper się zgodził i w pół godziny później jego skołatany statek przycumował u rufy holownika. Wtedy wyszły na jaw wszystkie szczegóły owej niebezpiecznej przygody, które tu zresztą nie mają wielkiego znaczenia, ale które Anasz przytoczył, aby mnie przekonać, że ów szwedzki rybak nie był niedołągą.

Pokrótkie sprawa miała się tak, że poprzedniego dnia kuter przybył do niewielkiego portu w Kungsbackafjord, aby tam wyładować - swą zdobycz z połowów, a zarazem odebrać nową głowicę żarową do motoru, którą szyper zamówił na miejsce starej, mocno już zużytej. Zamierzali tę głowicę wymienić zaraz po powrocie do Nidingen. Spieszyli się, ponieważ to była środa, a chcieli ukończyć remont przed niedzielą. Lecz zanim wszystko załatwili, zapadł zmrok, a pogoda pogorszyła się znacznie, więc zdecydowali się nocować na redzie i wyjść na morze dopiero nazajutrz, piątego listopada, a więc w dniu przybycia Tytana pod Nidingen.

W drodze pękła owa stara głowica żarowa i motor został unieruchomiony, a gdy postawili żagle, spotkały ich wspomniane już niepowodzenia, zakończone przycumowaniem kutra do rufy Tytana.

- W ten sposób nieoczekiwanie zdobyliśmy pilota - powiedział Anasz. - Nasi mechanicy pomogli szyprowi wymienić tę głowicę, on zaś obiecał przeprowadzić nasz holownik bliżej Czajki. Nazywał się Horn, umiał trochę po angielsku i jak się okazało, był bratem latarnika z Nidingen. Trzeba przyznać, że znał te wszystkie diabelne rafy jak własne podwórko i lawirował wśród nich po mistrzowsku.

Ale nie odważył się podejść bliżej niż na siedemset metrów. Stanęliśmy znów na kotwicy, witani owacyjnie przez nieszczęśników z lugrotrawlera, którzy wyglądali jak czarne

cowania krawędzi żagli na linach lub drzewcach. Grotżagiel (grot) - główny żagiel; na większych jednostkach główny żagiel drugiego masztu. Gafel - skośna belka w górnej części masztu, do której umocowana jest górna krawędź żagla.

widma na swoim do połowy zatopionym wraku. Szwedzi kręcili głowami i widać było po ich minach, że uważają naszego kapitana za wariata, a całe przedsięwzięcie za szaleństwo, podobnie zresztą jak ich ziomkowie z Nidingen i z Rolfa. Wydoili butelkę wyborowej, którą im postawił pierwszy mechanik, pożegnali się z nami i odpłynęli na swoim kutrze pod motorem.

Wszystko to zajęło załodze Tytana Czas do południa, po czym kapitan kazał znów spuścić łódź motorową i wysondować dno dokoła Czajki oraz w kierunku możliwym do jej ściągnięcia z rafy.

Okazało się, że jest znacznie gorzej, niż można było przypuszczać. Największa głębokość przy rufie trawlera wynosiła niespełna trzy metry; u dziobu dwa, a u lewej burty, na wysokości przedniego masztu, zaledwie półtora. Statek siedział na kamieniach jak wmurowany, wszędzie dokoła niego piętrzyły się ukryte pod wodą skały; jedynie ku południowi dno opadało nieco, ale dopiero w odległości około dwudziestu metrów.

Natomiast dokładne badania od strony holownika pozwalały przypuszczać, że będzie można zaryzykować podejście rufą jeszcze o dwieście metrów bliżej Czajki.

Dokonano tego, popuszczając łańcuch kotwiczny tak, że wreszcie oba statki dzieliła tylko pięciusetmetrowa przestrzeń wody. Lecz przestrzeń ta wyglądała z pokładu jak kipiący wrzątek. Fala rosła, grzywacze pędziły wzdłuż burt holownika, załamywały się na podwodnych progach, odbijały się w górę, chlustały wysoko, a wicher zrywał pianę z ich czubów i niósł ją ku czarnym skałom Nidingen.

Mimo to kapitan Rokosz kazał opuścić z pokładu drugą szalupę. Trzeba było przewieźć na Czajkę czterocalową pompę motorową i hol.

Wykonanie tego zadania zdawało się przerastać siły ludzkie. Pompa tego typu waży ponad sześćset kilogramów, a jej podstawa jest szersza niż sama łódź, która miała posłużyć do przetransportowania tego nieporęcznego ładunku.

- Patrzyłem, jak się to odbywało - mówił Anasz utkwivszy rozszerzone, nieruchome źrenice w jakiś punkt podłogi, jakby spoglądał z góry na ową szalupę. - Stali w tej łodzi na ugiętych nogach i trzymali pompę ułożoną skośnie, opartą jedną krawędzią na dnie, tak że sterczała wysoko nad burty. Było ich pięciu. Na ochotnika się zgłosili. Starszy marynarz Zdobylak dowodził tą grupą wariatów, którzy się uparli, że przewiozą pompę na przekór oszalałemu morzu i nie potoną przy tym wraz z nią i z szalupą, która czerpała wodę to przez lewą, to przez prawą burtę za każdym przechyłem. Pompa, czerwone żelazne bydlę wysokości półtora metra i metr szerokie, kołysała się ciężko, grożąc w każdej chwili wywróceniem szalupy, a oni wrzeszczeli ostrzegając się wzajemnie i podtrzymując ją z największym wysiłkiem.

- Dowieźli ją! - powiedział uderzając dłonią w blat stolika i podnosząc wzrok na mnie. - Dziesięć razy powinni byli zatonać, ale nie zatonęli i dowieźli! A tymczasem druga łódź przewoziła po kawałku hol. To też była robota, no! Ponad osiemset metrów stalówki o średnicy trzydziestu milimetrów.

Nie mogli przewieźć tej liny w całości, bo motorówka nie uciągnęłaby takiego ciężaru, więc trzeba było poszczególne odcinki łączyć szakłami, a wolne końce zawieszać na pływakach. Trwało to cztery godziny; dopiero o zmroku hol połączył oba statki i można go było trochę skrócić, naciągając na windę Tytana.

O godzinie 18.30 hol założono na hak, ale kapitan Rokosz postanowił poczekać ze ściągnięciem Czajki do rana.

Tymczasem wypompowano z jej zbiorników ropę, pozostawiając tylko niezbędny zapas do agregatu, a także wyrzucono wszystkie beczki z solą i większość pustych. W ten sposób o świcie dnia szóstego listopada Czajka została odciążona o czterdzieści kilka ton, a gdy ruszyła pompa, statek zaczął nieznacznie poddawać się fali.

Wbrew przewidywaniom sztorm nieco przycichał. O 7.30 siła wiatru wynosiła trzy do czterech. Tytan podniósł kotwicę.

„Małą naprzód”, po chwili - „Całą naprzód”.

Długa, prawie sześciusetmetrowa lina z wolna wstaje z wody, napina się, drga, zaczepia o skały, o kamienie, szoruje po dnie, utyka gdzieś pośrodku, tak że nie można jej wyciągnąć w prostej linii.

Oczy całej załogi utkwione są w kadłub Czajki: obróci się rufą w stronę holownika czy się nie obróci?

Nawet nie drgnęła. Natomiast hol, napięty jak struna, zwija się nagle w nieregularną spiralę i Tytan rusza naprzód, rozwalając dziobem nadbiegające fale.

„Stop!” - leci do maszyny. „Stop!” sygnalizuje pierwszy oficer, a strzałka na tarczy telegrafu maszynowego skacze na „Stop” przy jęklwym akompaniamencie dzwonka.

- Na szczęście Bogaczewski od razu zatrzymał motor - powiedział Anasz po krótkiej pauzie, którą wytrzymał, zapewne aby zostawić mi czas na przeżycie tego dramatycznego epizodu. - Gdyby nie to... Ba, gdyby nie to, motor sam by stanął, bo stalówka już wkręcała się w śrubę. Tylko nie wiadomo, czy w takim razie zdołalibyśmy sami ją stamtąd wymotać.

Dokonał tego nurek Celary, którego opuszczono pod wodę z szalupy. Potem wybrano hol i wtedy okazało się, że został on przecięty na ostrym progu skalnym. Aby zapobiec podobnemu wypadkowi z nowym holem, kapitan postanowił zawiesić go na pływakach. Użyli w tym celu pustych beczeli, przymocowując je wzdłuż liny co kilkanaście metrów. Ta praca zajęła im resztę dnia.

Zapadł wieczór i noc biegła już od strony lądu, gdy na maszcie między latarniami Nidingen zabłyśły dwa białe światła, jedno pod drugim: sztorm z południowego zachodu... Tym razem ostrzeżenie miało się sprawdzić: potwierdziły je komunikaty stacji radiowych z Kielu, Karlsborga i Tallina.

„Jeżeli mamy uratować Czajkę - powiedział kapitan Rokosz na zebraniu załogi - musimy ją ściągnąć jutro rano”.

A starszy młynarz Zdobyłak odrzekł w imieniu wszystkich, że zrobią to, „żeby tam nie wiem co”.

Noc była dość jasna, choć właśnie przypadał nów i tylko gwiazdy ukazały się na niebie między żeglującymi od zachodu obłokami. Wiał umiarkowany wiatr, czasem tylko wzmagając się, jakby na próbę, czy zdoła podnieść wyższą falę i spienić jej grzywę. Na Czajce zalano ładownie do połowy i co dwie godziny puszczano w ruch pompy, żeby utrzymać mniej więcej stały poziom wody.

Tak trwało aż do świtu. Dopiero wschodzące słońce ukazało groźny wał chmur na południowym zachodzie, niby jakąś olbrzymią armię, która nadciągnęła z Morza Północnego i stanęła obozem nad Jutlandią, szykując się do szturmu na Kattegat i szwedzkie wybrzeże.

O ósmej Kalita zameldował, że ładownie Czajki zostały osuszone, a zaraz potem Tytan podniósł kotwicę i ruszył naprzód. Hol podtrzymywany pływakami wyciągnął się tym ra-

zem prosto. Widać było, jak drga, napina się, bije o wodę, to znów się pogrąża, w miarę jak holownik ponawia wypady lub z wolna dryfuje w tył. Ciemnozielona toń za rufą burzyła się gwałtownie, bielejąc od piany, stalowa lina poddawała się, lśniące⁴⁴ becзки wyrównywały długie szeregi, na których załamywały się fale, biały ślad wykwitał pomiędzy statkami, następowało gwałtowne szarpnięcie i... po chwili: „Stop!” do maszyny.

Lecz niemal za każdym takim zrywem rufa trawlera obracała się nieco; niewiele: o stopę, o dwie, czasem o trzy. Minuty ciekły, przelewały się w kwadransy i godziny. Wiatr wzmagał się z wolna, lecz stale. Chmury kłębiły się na zachodzie, oskrzydlały horyzont od południa, coraz ciemniejsze i coraz bliższe. Motory Tytana dudniły głucho śruba rozpieniała wodę za rufą, hol siekł grzywiaste fale, drgał, wstawał skośnie i znów opadał, ginąc w kipieli. Czajka kołysała się z burty na burtę kil zgrzytał o kamienie lub uderzał tępo w skałę, raz po raz terkotała pompa stękały blachy poszycia, a po pokładzie szorowały potoki wody.

Minęła dziewiąta, dziesiąta, jedenasta.. Trawler wykręcił się prawie o dziewięćdziesiąt stopni, ale tkwił nadal w tym samym miejscu.

- Rokosz stał na mostku i patrzył na Czajkę przez lornetę - mówił dalej Anasz marszcząc brwi i spoglądając w okno, za którym kłębił się drobny śnieg. - Stał rozparty szeroko na nogach, objąwszy ramieniem stojak od fartucha brezentowego, który założono dla ochrony od Wielkich fal. I nagle zatoczył się, a ja omal nie spadłem ze stołka. Wyrzneliśmy o jakieś kamienie i Tytan ciężko odskoczył w bok. Odczułem to uderzenie jak cios pałką w głowę. Z maszyny wybiegł Zdobyłak, ale kapitan kazał mu tam Wrócić i powiedzieć Bogaczewskiemu, żeby wreszcie rozruszał swoje motory, bo śruba ledwie się kręci. Potem wymanewrował trochę bardziej w prawo, poluzowaliśmy hol o jakie dwadzieścia metrów i znów: „Całą naprzód!” Szarpnęło potężnie, aż statek cofnął się trochę i pociągnął znowu. W tej samej chwili usłyszałem podniesiony głos Kality: „Ruszyła!” Wrzasnąłem: „Czajka ruszyła, kapitanie!”, i zerwałem się, żeby to zobaczyć. Szła za nami! Przed jej rufą podnosiła się coraz wyższa, wygięta skiba wody, a becзки unoszące hol orały powierzchnię morza, tańcząc i wierząc się na szaklach. Spojrzałem na zegar; było dwadzieścia po jedenastej.

Kapitan Rokosz, nie tracąc czasu, wyholował Czajkę na północną stronę wysepki i dopiero tam, pod jej osłoną, spieszenie wybrano hol. Pośpiech był bardzo wskazany: zaczynał się sztorm, a podanie nowego holu z windy wymagało skomplikowanych manewrów, zwłaszcza że lugrotrawler miał uszkodzony i unieruchomiony ster, a miejsca do zwrotów pośród skał podwodnych było niewiele.

Uporali się z tym dopiero po południu. Czajka, zwrócona teraz dziobem do rufy Tytana, kołysała się bardzo silnie, a wiatr potężniał z każdą minutą, tak że o 18.30 jego prędkość wzrosła do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Trzecia noc pod Nidingen zapowiadała się groźnie. Spiętrzone czarne chmury połknęły słońce na długo przed zachodem i teraz zagarnęły całe niebo. Wicher cwałował po morzu, pędząc przed sobą grzywiaste, coraz wyższe fale, a huk i łoskot przyboju⁴⁴ zagłuszał nawet pianie want i jęki anteny.

Ciemność gęstniała jak sadza, lecz błyski latarni morskich dobywały z niej raz po raz dziki chaos gór i przepaści wodnych o lśniących, połyskliwych, osuwających się zboczach i rozwichrzonych szczytach, z których odrywały się ogromne płyty piany i leciały poziomo,

⁴⁴ Przybój (fala przybrzeżna, kipieli) - rozbijanie się fal u brzegów lądu lub załamywanie się na płycznach.

jak stado ptaków czy też skrzydlatych gadów uciekających dokądś w popłochu. Na niewidzialnym maszcie między mrugającymi latarniami, jakby zawieszono nieruchomo w czarnej przestrzeni, błyszczały dwa białe światła ostrzegawcze: „Sztorm. Siła wiatru osiem do jedenaśtu SW”.

- Trwało to nieskończenie długo - mówił Anasz. - Czas zdawał się zwalniać, w miarę jak wzrastała gwałtowność wiatru. Sztormowaliśmy⁴⁵ na ograniczonej, niewielkiej przestrzeni, którą otaczały mielizny i rafy, mając przed sobą Nidingen z owymi wybłyskami latarni morskich i ze światłami ostrzegawczymi jak groźne memento. Parę razy trzeba było przedłużyć, to znów skracać hol, aby go dostosować do długości fal, ustalając wspólny rytm wznoszenia się i opadania obu statków. Motory Tytana pracowały „Małą naprzód”, tak że nie posuwaliśmy się prawie wcale, lecz znosiło nas ku północy, bo kapitan kazał sterować dwa rumby w prawo od wiatru, aby uniknąć gwałtownego kołysania wzdłużnego. Dlatego co pewien czas musieliśmy manewrować i wracać na poprzednią pozycję. Lecz gdy siła wiatru doszła do dziewięciu, kapitan Rokosz postanowił schronić się w porcie Goteborg, a jeśli by nie można było w nocy dostać pilota - wyjść na Kattegat. Nie starczało nam miejsca na kolejne manewry, a wichura zagrażała obu statkom rozbitiem na skałach.

Decyzja zapadła koło godziny dwudziestej i oba statki wyszły spoza wysepki na pełne morze, kierując się ku północy. Nie było im jednak sądzone zaznać w tę noc spokoju i odpoczynku.

Czajka dryfowała gwałtownie, pociągając za sobą Tytana i ustawicznie zbijając go z kursu. Skutkiem tego trzeba było sterować bardziej na zachód, co narażało holownik na bardzo gwałtowne przechyły, dochodzące do dwudziestu pięciu stopni. Rozpędzone grzywacze waliły w burtę, załamywały się wysoko ponad nią i zmywały pokład, rozbijając się o nadbudówki. Woda chlustała po oknach kajut, zalewała sterówkę, spadała kaskadami do wnętrza, przedostawała się do maszynowni i szorowała tam od ściany do ściany, zanim zdążyła spłynąć niżej wzdłuż przepelnionych ścieków.

Pierwszy mechanik własną koszulą okrył dynamo, aby je uchronić przed natryskami z pokładu, ale mimo to raz po raz następowały przerwy. W emisji prądu i ciemność rzucała się ha' oslepiły statek, jakby go chciała obezwładnić i wydać na łup rozwścieczonemu morzu.

Po godzinie tych zmagani światła zgasły na dobre, a prędkość Wiatru doszła do osiemdziesięciu kilometrów. Nie mogło być mowy o wejściu do jakiegokolwiek fiordu w tych okolicznościach. Pozostawało tylko obrócić oba statki dziobem do fali i sztormować tak długo, póki huragan nie ucichnie.

- Pan chyba wie, że taki zwrot z bezwładnym statkiem na holu nie należy do łatwych?
- spytał Anasz.

Skinąłem głową, ale on chciał mi to wyraźnie uprzytomnić.

- Widzi pan, musieliśmy ich ciągnąć z taką prędkością, żeby się na pewno obrócili; żeby nie zostali w położeniu burtą do wiatru, bo wtedy mogłoby ich wywrócić do góry dnem albo co najmniej położyć na boku. A z drugiej strony nie można skręcać za szybko, bo wtedy fale szturmują pokład z taką siłą, że nic im się nie oprze. W dodatku, jak już panu mówiłem, nie mieliśmy światła. Nie wiem, co wtedy przeżywał kapitan Rokosz, skoro ja Czułem się jak

⁴⁵ Sztormować - przeczekiwać sztorm (burzę morską) w pozycji dziobem pod wiatr, bez względu na zamierzony kurs (kierunek) podróży.

na torturach... Szliśmy naprzód połową prędkości, zataczając obszerny łuk w lewo. Tytan zapadał głęboko w bruzdy, jęczał pod wściekłymi uderzeniami bałwanów, zdawał się pograżać pod strasznym ciężarem wody, która z łoskotem waliła się na nas z góry, pędziła po pokładzie, Wpadała na ściany nadbudówek, kotłowała się u wind, strzelała wysoko ponad komin, trzaskała w szyby jak biczem. Niepokój świdrował mnie na wskroś, aż do bólu, obezwładniając mięśnie. To było nieznośne! Wydawało mi się, że nie wytrzymam tego napięcia dłużej niż parę sekund, a serce zamierało z przerażenia, że zacznę krzyczeć, płakać, że dostanę napadu jakiegoś szału. Byłem, uważa pan, wyczerpany, osłabły, jak po jakimś niesłychanym wysiłku, przy którym traci się oddech, a krew ucieka z otwartych żył. A przecież tylko nadawałem i przyjmowałem depesze; nie mocowałem się z wiatrem; nie zatapiały mnie fale, nie groziło mi zmycie z pokładu jak tamtym, którzy byli na zewnątrz, poza kabiną radiową. Patrzyłem na nich tylko, ale moje zmysły były tak wyostrzone mimo zmęczenia, że najwyraźniej czułem zapach spalin z motoru i słony smak wody, smaganie wichru i przenikliwe, kłujące zimno. Wydawało mi się, że wśród huku morza słyszę stękanie statku, zgrzyt i chrobot stalowej liny zaciskającej się na polerach, że dostrzegam w ciemności sylwetkę na pół zatopionej Czajki wleczonej przymocowaną na holu. Trwało to nieskończenie długo, tak długo, że zdrętwiałem. W bezruchu i gdy kapitan kazał mi zapytać, co się dzieje na trawlerze, nie mogłem podnieść ręki, aby sięgnąć do przełącznika.

Na trawlerze działo się nie najlepiej. Przeciek wzmagał się, a pompa motorowa raz po raz przestawała pracować wskutek niebywałych przechyłów, grożących jej wywróceniem i rozbiciem. Umocowano ją wreszcie i zdołano jakoś zabezpieczyć, lecz utrzymanie jej w ruchu wymagało ustawicznych wysiłków całej załogi maszynowej.

Ludzie byli zmęczeni, zziębnięci, przemokli i głodni. O gotowaniu posiłków nie mogło być mowy.

Sztorm rósł, morze ryczało, wicher wzmagał się i dochodził do siły huraganu, a ciemność stała się tak gęsta, że o krok nic nie było widać. Lecz zwrot został wykonany pomyślnie i teraz należało tylko przetrzymać tę piekielną nawałnicę.

Anasz nadał wiadomość o tym do Gdyni, po czym przekazał dyżur innemu radiotelegrafistom, a sam poszedł się położyć. Ale nie tylko nie mógł usnąć, lecz nawet utrzymać się w koi, która harcowała pod nim jak znarowiony koń. Pod pokładem czuł się jeszcze gorzej niż w kabinie radiowej. Zdawało mu się, że statek pęka na dwoje, że burty wginają się do wewnątrz i odskakują z powrotem jak elastyczne ścianki blaszanej oliwiarki pod naciskiem palców. Nieustanny łoskot fal wpadających na pokład nad jego głowę grzmiał mu w uszach, a grobowe ciemności podniecały wyobraźnię, przywodząc na myśl straszliwe obrazy katastrofy.

Nie mógł wytrzymać w kajucie i znów wyszedł na pokład, a stamtąd, cały przemoknięty, dostał się z niemałym trudem do nawigacyjnej.

Przy sterze stał nurek Waclaw Celary, a któryś z młodszych marynarzy oświetlał kompas ręczną latarką. Kiwali się na ugiętych nogach, dokazując nie lada sztuki, aby utrzymać się w miejscu na cwałującym pokładzie sterówki, i milczeli obaj, jakby wypowiedzenie jakiegoś słowa mogło zwichnąć ich równowagę, zachowywaną tylko największym wysiłkiem. Kapitan Rokosz spoglądał w tył, ku Czajce, której naftowe światła boczne i topowe balansowały w oddali, zataczając gwałtowne łuki i parabole. Trawler kołysał się bezwładnie i ciężko, a ten

jego bezwład można było niejako wyczuć w nateżonej pracy Tytana, który sunął wolno, uparczywie, jak mocny wół wprzężony w jarzmo.

Wtem odsądził się, skoczył naprzód, wspiał się na fale, zapadł w dolinę, rozciął dziobem nadbiegający grzywacz! Jednocześnie z pokładu Czajki trysnęła w górę czerwona rakietka - jedna, druga, trzecia!

Rokosz zaklął, przerzucił rękojeść telegrafu na „Wolno”, sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

„Czajka! Czajka! Rzucajcie kotwice! Zaraz do was podejdziemy”.

„Kotwice rzucone - odpowiedział Kalita. - Trzymają”.

Dopiero teraz ktoś wrzasnął z rufy Tytana, że pękł hol, i ten okrzyk podany z ust do ust dotarł wreszcie na pomost. Pierwszy oficer wtoczył się do sterówki zdyszany, ociekający wodą. Kapitan kazał mu przygotować pasy ratunkowe dla załogi trawlera i wybrać stalową linę. Potem zarządził zwrot.

- Niech pan pamięta, że wszystko to odbywało się wśród ciemności i szalejącego sztormu - mówił Anasz. - Ludzie nie widzieli się nawzajem, a o tym, co się działo w maszynie, trudno mieć wyobrażenie. Ale nasz pierwszy mechanik i Zdobyłak, a także reszta motorzystów potrafili tam pracować, w tej swojej piwnicy, jak w dzień. Objęli się po ścianach, zbijano ich z nóg, naftowe lampy gasły, woda lała się im na głowy, jakby to już był koniec, a oni w tym czarnym piekle miotali się, pełzali na czworakach, harowali jak galernicy, byle utrzymać motor w ruchu, byle zdążyć ze zmianą obrotów, byle nie zawieść podczas manewru... Ba, naprawili światło! Jak tego dokonali, naprawdę nie wiem...

Tymczasem Tytan zawrócił i okrążywszy Czajkę podszedł do niej od strony rufy, by podać na linach pasy ratunkowe, których tam było mało. O tym, żeby podać nowy hol, oczywiście nie mogło być mowy. Na szczęście kotwice trzymały i trawler nadal trwał dziobem pod wiatr na długim łańcuchu, który szyper kazał wypuścić do ostatniego ogniwa.

Tak wśród nieustannego rozruchu spędzili resztę nocy i doczekali się świtu, krążąc w pobliżu Czajki, aby podtrzymać na duchu jej załogę.

Rano, gdy sztorm nieco osłabł, udało się podać nowy hol, a po południu oba statki weszły do fiordu Rivo, opodal Goteborga, i stanęły na kotwicach, aby przeczekać złą pogodę.

Nazajutrz morze uspokoiło się o tyle, że można było opuścić nurka, który zbadał kałużę Czajki. Przecieki na nitach, szpary między blachami poszycia i wgniecenia od uderzeń o skały nie były tak groźne, jak z początku przypuszczano. Kapitan Rokosz po naradzie z Kalitą postanowił holować Czajkę do Świnoujścia. Przewieziono M jej pokład jeszcze jedną pompę motorową i dziesiątego listopada przy umiarkowanym zachodnim wietrze podniesiono kotwice, a w dwie doby później przycumowano w Świnoujściu.

- To był dla naszej załogi wielki triumf - powiedział Anasz. - Przypuszczam, że równie wielki, jak rozczarowanie i zawód, które spotkały tych poczciwych rybaków z Nidingen. Byłem tam z naszym pierwszym mechanikiem Bogaczewskim - dodał i uśmiechnął się lekko.

- Umieję parę słów po szwedzku - wyjaśnił po chwili - więc kapitan wysłał mnie w roli tłumacza, no i oficera komplementacyjnego, że tak powiem. Trzeba było zwrócić tę mapę, którą nam pożyczył latarnik, i podziękować. Zobaczyli nas z daleka, a gdy z Tytana opuszczono motorówkę, cała ludzkość W liczbie kilkudziesięciu osób wyległa na brzeg. Oglądali nas w milczeniu, tylko latarnik coś mruknął gniewnie w odpowiedzi na moje kunsz-

towne podziękowanie. Wziął mapę od BogaczeWskiego i zaraz odszedł, a inni za nim. Mieliśmy już wsiadać do szalupy, żeby odpłynąć, gdy zjawiał się ów Horn, szyper, który nas pilotował ku Czajce i którego kuter omal nie zatonął w dniu przybycia Tytana pod Nidingen. Rozejrzał się, czy go kto nie śledzi, a potem podał nam kolejno rękę. Na pół po szwedzku, na pół po angielsku próbował mi wytłumaczyć, dlaczego spotkało nas tak chłodne przyjęcie. Jego ziomkowie liczyli na wcale pokaźny łup, za jaki już uważali Czajkę, gdy siadła na skałach. Gotowali się do przewiezienia załogi na ląd, jak tylko ucichnie sztorm, pewni, że statek zostanie opuszczony. Potem, gdy przybył Tytan, ich nadzieje wzrosły, zwłaszcza pod Wpływem sugestywnych wiadomości i komentarzy nadawanych przez rozgłośnie radiowe: zamiast jednego wraku spodziewali się dwóch. I oto spotkał ich zawód... Zawód, do którego w pewnej mierze przyczynili się obaj bracia Horno-wie: latarnik przez wypożyczenie owej mapy, a szyper przez doprowadzenie Tytana wśród skał w pobliże Czajki. „Oni wam nie życzyli źle - dodał na zakończenie. Gotowi byli was ratować. Ale chodziło im także o wasze statki i ładunek. Dla nas takie wypadki to prawdziwy dar opatrności. A statki są przecież ubezpieczone, więc nikt na tym nie traci”.

- No i co pan powie na taki pogląd?! - zwrócił się do mnie Anasz.

Nic nie powiedziałem, ponieważ właśnie w tej chwili wezwano mnie do telefonu. Kapitan, który miał mnie zabrać na wyprawę hydrograficzną, zawiadamiał, że za godzinę odpływamy.

Zakopane 1953.

Bohater

1.

My się z panem znamy - oświadczył bosman potrząsając moją ręką. - Pan płynął z nami na Wiśle z Aleksandrii na Malte. Pamięta pan?

Spojrzałem mu w oczy uważnie. Tak, teraz przypomniałem go sobie.

- To pan obsługiwał działko przeciwlotnicze - powiedziałem, jeszcze nie całkiem pewnie.

- Tak jest - uśmiechnął się błyskając zębami. - Tego Oerlikona, którego nam przydzielili. Byłem wtedy młodszym marynarzem. Moje nazwisko...

- Raźny - wtrąciłem. - Pamiętam. I Świataka pamiętam, i Joska...

Przez twarz bosmana przemknął cień.

- Josek nie żyje. A Światak... Światak został w Turcji i też przepadł. Pan z nami do Polski? Na stałe? Wraca pan?

Skinąłem twierdząco głową, on zaś uśmiechnął się znowu.

- To dobrze - powiedział. - Jak już wyjdziemy z portu, niech pan do mnie zajdzie, pogadamy. Wie pan, że nas wtedy Niemcy zatopili, w czterdziestym pierwszym? Pewnie pan o tym słyszał?

Słyszałem, oczywiście, ale byłem ciekaw szczegółów tej historii. Nie wiedziałem natomiast o śmierci Joska. Lokując się w swojej kajucie myślałem o nim i o jego losach, a także o tych jakże już odległych czasach, kiedy go poznałem w Aleksandrii.

S/s Śląsk⁴⁶ - S 1 a s k, jak go nazywali Anglicy - stał w Southampton oczekując pilota. Byłem jedynym pasażerem na tym statku. Dostałem się na jego pokład dzięki uprzejmości moich znajomych z Linii Gdynia-Ameryka, nie mogąc się doczekać wojskowego transportu repatriacyjnego. Po przygodach wojennych, po siedmioletniej nieobecności w Polsce wracałem wreszcie do kraju. Wiedziałem już, co się dzieje z moimi najbliższymi, i byłem o nich spokojny. Dlatego, rozkładając rzeczy w szufladach i przybory toaletowe na umywalni, wspominałem owe gorące dni roku 1941, kiedy to po przebytej malarii z wolna wracałem do zdrowia w Kairze, a potem na Wiśle w drodze z Aleksandrii na Malte.

Choroba napadła mnie na lotniczym szlaku transportowym pomiędzy Takoradi na Złotym Wybrzeżu a Kairem i niemal b>d razu zwała z nóg. Na szczęście pierwszy jej atak nastąpił w drodze na północ, w Wadi Haifa, o niespełna tysiąc kilometrów przed Kairem, więc zdołałem jeszcze dolecieć do stolicy Egiptu i dopiero tam w angielskim szpitalu zacząłem „trochę umierać”, trzęsąc się z zimna przy czterdziestostopniowym upale.

Później przewieziono mnie do Aleksandrii, skąd miałem polecieć samolotem do Gibraltaru i następnie do Anglii. Lecz samoloty były przepełnione, osobistości o wiele ważniejsze ode mnie oczekiwały po kilka tygodni na Miejsce, więc gdy nadarzyła się okazja podróży statkiem, zdecydowałem się natychmiast, zwłaszcza że z Malty rzekomo łatwiej było dostać się na samolot niż stąd.

S/s Wisła II była jednym z niewielu polskich statków handlowych, które w pierwszych latach wojny kursowały na Morzu Śródziemnym, przewożąc broń i materiały wojenne do licznych portów greckich, na Cypr, do Palestyny i Egiptu, a także do baz w Libii. Dowo-

⁴⁶ S/s (ang. steamship) - skrót używany w żegludze na oznaczenie statku parowego (parowca).

dził tym niewielkim statkiem kapitan Demart, energiczny, doświadczony marynarz, którego znałem od dawna i z którym łączyła mnie nawet pewną zażyłość.

Dowiedziawszy się, że to ja mam być pasażerem, którego kazano mu odstawić na Malte, przyjechał po mnie do szpitala i sam umieścił mnie w wygodnej kajucie obok własnej kabiny.

Staliśmy w Aleksandrii jeszcze cztery dni, biorąc jakiś ładunek do La Valette, więc miałem dość czasu, aby zapoznać się z załogą.

Wtedy właśnie zawarłem znajomość z obsługą starego karabinu maszynowego Vickersa, który stanowił jedyne uzbrojenie statku.

Ten karabin ustawiony na wzniesionym pokładzie rufy mógłby obudzić tylko uśmiech politowania w każdym, kto by zamierzał zaatakować Wisłę. Pierwszy lepszy samolot, nie mówiąc już o torpedowcach lub okrętach podwodnych, poradziłby sobie w kilka minut z tą puławką na samotnym statku, bowiem Wisła uprawiała tramping⁴⁷ w pojedynkę, bez konwojów. Lecz kapitan Demart, mimo iż doskonale zdawał sobie sprawę z wartości obronnej Vickersa, dbał o jego stan z tą samą sumiennością, z jaką odnosił się do wszystkich urządzeń pokładowych i jakiej wymagał od wszystkich swych podkomendnych. Trzeba więc przyznać, że stary grat, pamiętający zapewne pierwszą wojnę światową, lśnił czystością i był utrzymany wzorowo, podobnie jak o wiele od niego użyteczniejsze windy, szalupy, bomby czy też urządzenia kotwiczne i maszyny na tym porządnym małym parowcu.

Obsługa karabinu składała się z trzech ludzi: plutonowego Świataka, młodszego marynarza Michała Rażnego i Joska Rosenfelda, który nie był właściwie marynarzem i nawet nie odbył służby wojskowej z powodu wady serca.

Światak, podoficer zawodowy z jakiegoś pułku artylerii przeciwlotniczej, chudy, kościsty, z długimi rękami i nogami, zrobił na mnie wrażenie cwaniaka. Miał twarz przedwcześnie dojrzałego łobuza, o ruchliwych, szperających oczach i drwiącym uśmiechu cienkich warg. Był dla mnie nad wyraz uprzejmy, lecz ta uprzejmość wydawała mi się maską, pod którą krył się cynizm. Wyręczał się tamtymi dwoma, a zwłaszcza Joskiem, którego traktował z pogardliwą wyższością.

Natomiast Rażny spodobał mi się od pierwszej chwili. Duży, zręczny chłopak o jasnym spojrzeniu, powściągliwy i bez cienia jakiegokolwiek pozy.

Lecz najbardziej zaciekał mnie Jasek Rosenfeld, ów mały, słabowity Żydek z zaczerwienionymi powiekami i błyszczącymi oczyma. Bardzo prędko zauważyłem, że stary karabin maszynowy głównie jego staraniom zawdzięczał swój wspaniały, choć złudny połysk nowości. Rosenfeld przez pół dnia rozbierał śmiercionośny przyrząd pana Vickersa, czyścił i oliwił każdą część z osobna, po czym przez drugie pół dnia składał grata z powrotem, pucował go miękkimi szmatami, otwierał i zamykał zamek, repetował, składał się w Cztery strony świata pod różnymi kątami, odbezpieczał i zabezpieczał spust, a wreszcie, usunąwszy nabój z lufy, zapinał troskliwie płócienne pokrowce i pieczołowicie równał amunicję w stalowych skrzynkach. Potem, zaczerpnąwszy wiadro wody i wyciągnąwszy je z widocznym wysiłkiem na pokład, starannie mył ręce, wycierał je czystym ręcznikiem, znów zbliżał się do karabinu, coś tam poprawiał, otulał go z czułością matki układającej do snu jedyne dziecko i odchodził

⁴⁷ Tramping - nieregularna żegluga. Tramp - statek żeglujący nie na stałych liniach, ale w zależności od przeznaczenia ładunku, jaki otrzymał w danym porcie.

oglądając się jeszcze. Wcale nie jestem pewien, czy przy tych czynnościach nie nucił Vickersowi kołysanki...

Świataka bał się jak ognia, na Rażnego spoglądał z przywiązaniem, innym usuwał się z drogi, cierpliwy, trochę zalekniony, starając się zajmować swoją osobą jak najmniej miejsca i zwracać na siebie jak najmniej uwagi.

Z tym wszystkim, z całą tą swoją uległością, do której niewątpliwie przygięło go twarde, ciężkie życie i brutalność ludzi, w głębi serca i umysłu był gorącym sympatykiem idei komunistycznych.

O tym jednak dowiedziałem się później, kiedy poznałem go bliżej.

Trzeciego dnia mego pobytu na pokładzie s/s Wisły stanął obok nas bardzo brudny i hałaśliwy Grek, s/s Epikur, który przybył do Aleksandrii wraz z niewielkim konwojem innych statków, pod opieką dwóch brytyjskich torpedowców.

Imię ateńskiego filozofa i sybaryty tak właśnie pasowało do tego statku, jak przysłowiowy kwiat do kozucha. Epikur cuchnął na miłą cebulą smażoną na zepsutej oliwie, dokoła jego burt pływały nieustannie jakieś śmiecie i odpadki, na pokładzie poniewierały się splątane zwoje stalówek, windy, łańcuchy i kotwice były czerwone od rdzy, po krawędziach otwartych luków biegały całe stada szczurów, a zgraja drapichrustów spod ciemnej gwiazdy, stanowiąca jego załogę, wrzeszczała, klóciła się i nierzadko walczyła między sobą na noże, niczym banda pijanych korsarzy.

Kapitan tej łajby, brodaty zbój o niechlujnym wyglądzie, pałających oczach i oliwkowej cerze, targował się o coś zawzięcie z oficerem admiralicji czy też inspektorem żeglugi, który w godzinę po zacumowaniu Epikura wszedł na pokład z lekarzem portowym i jakąś komisją złożoną z kilku marynarzy.

Wysoki, chudy Anglik z drewnianą twarzą, sztywny i jakby nieczuły na wściekły upał w swoim mundurze oficera brytyjskiej marynarki wojennej, spoglądał z góry na miotające się przed nim indywiduum, podczas gdy tamten gestykulował jak pajac na sznurku, łyskał białkami i wykrzywił pociemniałą od gniewu gębę przypominającą na przemian tragiczne lub komiczne maski dawnych greckich aktorów. Otaczała ich grupa urwipołciów, którzy wtrącali swoje uwagi, stojąc w niedbałych pozach i kurząc papierosy lub rozwalając się na porzuconych skrzyniach i pakach. Za nimi, bliżej głównego pokładu, sterczało w górę coś, co na pierwszy rzut oka można by wziąć za niezwyklej rozmiarów stracha na wróble. Zwisające brudne szmaty poruszane słabym powiewem odsłaniały raz po raz długą lufę pozieleniałą od śniedzi i zardzewiałą podstawę działka zmontowaną na obrotnicy.

Wydało mi się, że właśnie z powodu tego działka, a raczej jego opłakanego stanu, grecki kapitan miał jakieś nieprzyjemności.

Cała ta scena rozgrywała się na rufie Epikura, tuż przed dziobem Wisły, w promieniach porannego, lecz już rozpalonego do białości słońca, tak że mogłem ją wygodnie obserwować wyciągnięty w leżaku i osłonięty płóciennym daszkiem.

Flegmatyczny Anglik przez dłuższy czas słuchał cierpliwie gwałtownego potoku wymowy kapitana, jak się słucha niezwyklego zgiełku, który jednak nie ma wielkiego znaczenia, a potem przecząco potrząsnął głową i odwróciwszy się tyłem, wydał jakieś krótkie polecenie dwu brytyjskim podoficerom.

Na brodatego pirata podziałało to przygnębiająco: gestem pełnym rezygnacji rozłożył ręce, opuścił głowę na piersi, zgarbił się, wsunął dłoń pod rozpiętą koszulę i zaczął się drapać po żebrach, popadłszy w ponurą zadumę. Potem rozejrzał się po otaczającym go audytorium, w nagłym porywie rozpaczy zerwał z głowy białą zathuszczoną czapkę ze złamanym daszkiem i cisnął ją na pokład. Ten jego odruch nie wywarł zresztą żadnego wrażenia na Angliku, który wyminął go bez słowa, ostrożnie przekroczył sponiewierane nakrycie kapitańskiej głowy i skierował się w stronę trapu.

W kwadrans potem zobaczyłem go na pokładzie Wisły w towarzystwie Demarta. Nie mogłem dosłyszeć, o czym rozmawiali, ale zauważyłem, że inspektor nieco się rozkrochmalił i ożywił. Raz czy dwa jego drewnianą twarz rozjaśnił nawet rodzaj uśmiechu, a gdy przeszli na rufę, gdzie przy odsłoniętym karabinie maszynowym oczekiwał ich Światak z resztą obsługi, kolejno podał im rękę, wyrażając zapewne swoje uznanie dla olśniewającego wyglądu Vickersa.

Skutek tej wizyty był taki, że jeszcze tego samego dnia działko z rufy Epikura zostało przetransportowane na Wisłę i ustawione na miejscu karabinu. Demart uśmiechał się zadowolony, Rażny i Rosenfeld promieniali radością, a Światak chodził nadęty dumą z pochwał angielskiego oficera i opowiadał o tym każdemu, kto miał cierpliwość go słuchać.

Co się tyczy naszego starego Vickersa, to zabrano go na ląd, pomimo zabiegów brodatego kapitana, który próbował zdobyć tę broń dla swego Epikura. Inspektor nie dał się wzruszyć jego prośbom i rozpaczliwym gestom; oświadczył mu po prostu, że Epikurowi wystarczy w zupełności osłona dział torpedowców, a Vickers przyda się bardzo ha kutrze straży portowej.

Tak więc otrzymaliśmy przeciwlotnicze działko Oerlikona, wprawdzie brudne i zaśniedziałe, ale bądź co bądź skuteczniejsze jako broń niż zwykły karabin maszynowy. Przyznaję, że sam poczułem się podniesiony na duchu...

Rażny i Rosenfeld w ciągu ostatniego dnia postoju w Aleksandrii doprowadzili je pod nadzorem Świataka do stanu niemal równie olśniewającego jak fenomenalny stan Vickersa, po czym ruszyliśmy w drogę ku Malcie.

Morze było gładkie i błękitne, niemal tak sarno jak niebo, z którego przez całe dni lał się słoneczny ukrop. Komin Wisły dymił pozostawiając w górze lekko falujący, rudawy, coraz bledszy w oddali welon śruba rozpieńiała spokojną wodę za rufą, pokład wibrował od pracy maszyn, a senna cisza spowijała samotny statek. Noce, ciepłe, lecz orzeźwiający, jasne od wielkich, bliskich, wilgotnie błyszczących gwiazd, wznosiły się nad nami o zachodzie i opadały o wschodzie, tonąc w ciemnej głębi drobnych fał, które złociły się po wierzchu, a potem znów odbijały tylko coraz jaśniejszy, ogromny błękit nieba.

Nie mając absolutnie nic do roboty, całymi dniami, z wyjątkiem najbardziej upalnych godzin południowych, a także do późna wieczorem przesiadywałem na rufie pod płócienną osłoną i rozkoszowałem się poczuciem wracających sił po przebytej chorobie. Zwykle wchodząc po schodkach na Wzniesiony tylny pokład zastawałem tani Joska Rosenfelda, który natychmiast przerywał swoje zajęcia, aby mi rozłożyć i ustawić leżak. Stąd zawiązywały się między nami rozmowy, z początku dość niezręczne i sztuczne, ale później coraz bardziej dla mnie interesujące i coraz dłuższe.

Josek mówił z bardzo wyraźnym semickim akcentem, robiąc zresztą niewiele błędów charakterystycznych dla ludzi posługujących się żargonem w życiu codziennym. Wstydził się tej swojej wymowy, którą wyśmiewali marynarze, a zwłaszcza plutonowy Światak, ale ponieważ nigdy nie pozwoliłem sobie nawet na cień uśmiechu z tego powodu, nabrał do mnie w końcu zaufania i sam, bez jakiegokolwiek zachęty z mojej strony, wspomniał mimochodem, że „u nich w domu rzadko kiedy mówiło się po polsku”.

Dowiedziałem się, że pochodził z Błonia pod Warszawą. Jego ojciec był krawcem; bardzo dobrym krawcem, „najlepszym w całym Błoniu”. Mimo to cierpieli niedostatek, po pierwsze dlatego, że Rosenfeldowie mieli dziewięcioro dzieci, z których Josek był najmłodszy, po wtóre zaś, ponieważ klienci nie zawsze płacili...

- Jak przyszedł kryzys, ja miałem osiem lat - mówił Josek. - To było tak źle, że ojciec musiał sprzedać jedną maszynę i już nie mógł pracować na swoim, bo nikt nie płacił. Robił spodnie dla wojska, a ja przyszywałem guziki, ale mi to bardzo nie szło. Ja nie miałem głowy do szycia. W ogóle ja do żadnego fachu nie miałem głowy i ojciec się bardzo martwił.

Zapytałem, do czego „miał głowę”. Okazało się, że do czytania. Sam nauczył się tej trudnej sztuki mając niespełna siedem lat i od tego czasu czytał po polsku i po żydowsku wszystko, co mu wpadło w ręce. Zapewne nieco później, kiedy już w jego umyśle nagromadziło się całe mnóstwo nowych pojęć i nie uporządkowanych wiadomości, trafił na jakieś agitacyjne broszury i „odkrył” socjalizm, a następnie Marksa i jego „Manifest”.

Zwierzył mi się, że doznał wówczas wstrząsu, ale sam nie miał odwagi stanąć w szeregach walczących; nie ufał swoim siłom, nie wiedział, na kim się oprzeć, wątpił, czy jakkolwiek organizacja zechce go przyjąć, czy się na co przyda.

Mając lat szesnaście zaczął pisać.

- Tak późno? - zdziwiłem się. - Dlaczego?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ja się pewnie źle wyraziłem - odrzekł. - Pan nie zrozumiał. Ja zacząłem pisać wiersze. Po żydowsku...

- Ach tak - powiedziałem zaskoczony.

Prosiłem go, żeby mi powiedział jakiś swój wiersz, ale długo się wzdrażał: przecież i tak nie zrozumie. Wreszcie dał się przekonać i upewniwszy się, że nikt prócz mnie go nie słyszy, zaczął mówić z pamięci wstęp do „Pana Tadeusza” w swoim przekładzie.

Mówił wyraźnie, wolno, z wielkim odczuciem, a ja słuchając powtarzałem sobie w myśli tekst oryginalny. Słowa brzmiały obco, gardłowo, a przecież mimo to wiersz w żargonie płynął żywym nurtem - mocno, głęboko, żarliwie. Było to dla mnie zjawiskiem równie zdumiewającym, jak fakt, że ten niepozorny, zabłąkany tutaj chłopak jest poetą.

Podobało mi się. Powiedziałem mu to bardzo po prostu i szczerze, co go widocznie wzruszyło.

- Pan to rozumie! - wykrzyknął z oczyma, w których szklily się powstrzymywane łzy.

Skinąłem głową i powtórzyłem:

Litwo, ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie!

Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

- Hob gebengt⁴⁸... - westchnął Rosenfeld. - Żeby pan wiedział, jak ja tęskniłem za Błoniem!

Co chwila zaskakiwał mnie czymś innym: tęsknił za Błoniem! Jakże można tęsknić za obskurnym małym miasteczkiem, za dusznym warsztatem krawieckim, w którym panuje zaduch przypalonej cebuli i gdzie w wieku lat ośmiu przez cały dzień przyszywało się guziki do wojskowych spodni?!

- Można tęsknić - powiedział Josek z przekonaniem. - Jak się człowiekowi później bardzo źle powodzi, to można.

Opowiadał mi o tych niepowodzeniach.

W roku 1937 umarła mu matka. Siostry powychodziły tymczasem za mąż, bracia jakoś przebijali się przez ciężkie, nędzne życie, a jeden z nich, najstarszy, wyemigrował do Palestyny i tam się ożenił. Powiodło mu się: miał w Haifie zakład czyszczenia szyb i klamek u wystaw sklepowych. Postanowił sprowadzić do siebie ojca i Joska.

Odbyli tę uciążliwą podróż pozostawiwszy warsztat krawiecki któremuś z licznych zięciów starego Rosenfelda. Pociągami, furkami, pieszo przewędrowali połowę Polski i Rumunię aż do Konstancy. Stamtąd zabrał ich mały parowiec, należący do dwóch wspólników, z których jeden był Rumunem, a drugi Syryjczykiem czy może Grekiem. Rumun pełnił funkcję kapitana, Syryjczyk - pierwszego mechanika. Nieliczna pozostała załoga, wraz z dwu oficerami pokładowymi oraz palaczami i smarownikami z maszyny, składała się z przygodnie dobranych obieżyświatów i włóczęgów, a zapewne także i dezertarów. Z innych statków, jakich można spotkać w każdym porcie Bliskiego Wschodu. Rumun i Syryjczyk kłócili się zawzięcie między sobą, ilekroć mieli po temu czas wolny od kłótni i awantur z załogą, kiedy to sporadycznie we dwóch tworzyli wspólny front, poza tym zaś uprawiali za pomocą swego rozklekotanego pudła kabotaż⁴⁹ wzdłuż brzegów Lewantu aż po Jaffę i Port Said.

Z powodu tych interesów handlowych statek zachodził niemal do wszystkich portów po drodze, a ponieważ w dodatku często psuły się maszyny, podróż z Konstancy do Haify trwała prawie dwa miesiące.

Gdy wreszcie wylądowali, minęło pół roku od daty otrzymania ostatniego listu, który nadszedł do Błonia z Palestyny. Tymczasem brat Joska ciężko zachorował i zmarł, a wdowa po nim przyjęła teścia i szwagra bez najmniejszego entuzjazmu.

Stary Rosenfeld tak się tym przejął, że wkrótce umarł również i Josek został sam na łasce bratowej, która zresztą wybierała się powtórnie za mąż za młodszego od siebie zarządcę przedsiębiorstwa.

Bez powodzenia próbował szczęścia w drobnym handlu ulicznym, na jakiś czas znalazł nędzny zarobek sprzedając gazety, znów przyszywał guziki i wykańczał kieszenie u jakiegoś krawca, ale, jak sam mówił, „nie miał do lego głowy”. Często przymierał głodem, bo eks-bratowa i jej nowy mąż ograniczyli się do udzielenia mu przytułku na POG w jakiejś ciemnej komórce, nie chcieli go jednak żywić za darmo.

Raz, po wielu wahaniach, zgłosił się do redakcji żargonowego dziennika i pokazał tam swoje wiersze. Ale nie były nikomu potrzebne. Natomiast zatrudniono go jako sprzątacza. Zamiatał podłogi, mył szyby, czyścił klamki i mosiężne antaby u wielkich okien wystawowych

⁴⁸ Hob gebengt (żarg.) - tęskniłem.

⁴⁹ Kabotaż - handlowa żegluga przybrzeżna.

przy wejściu.

To jedno robił dobrze: szkło i metalowe okucia nabierały niezwykłego połysku dzięki jego staraniom, co w jakiś czas później zwróciło uwagę przedsiębiorczego szefa firmy „Abraham Rosenfeld”.

Josek został jej pracownikiem za wyżywienie i mieszkanie. Odtąd czyścił inne klamki, szyby i antaby oraz tęsknił do Błonia pod Warszawą i pisał O tym wiersze.

Gdy we wrześniu roku 1039 do Haify dotarła wiadomość o napaści Hitlera na Polskę, Josek zgłosił się do konsula polskiego jako ochotnik do wojska. Wyśmiano go tam: marszałek Rydz-Śmigły i nasza armia dadzą sobie radę bez jego pomocy. A zresztą, po cóż tu przyjechał, skoro jest takim gorącym patriotą? Trzeba było poczekać na wojnę w Błoniu! Tam miałby okazję zostać bohaterem...

Mimo to Josek nachodził konsulat jeszcze kilkakrotnie. Lecz choć przewidywania pana konsula się nie sprawdziły i Rydz-Śmigły nie mógł sobie dać rady, a nasze armie kładły się pokotem pod gąsienice hitlerowskich czołgów, starania Rosenfelda były daremne. Nie uwzględniono jego próśb również wtedy, gdy z Rumunii zaczęły płynąć statki ze zbiegami z obozów internowanych żołnierzy i gdy w drodze do Francji zatrzymywały się w Haifie.

Wreszcie, gdy we Francji pękła linia Maginota i faszyzm zapanował nad połową Europy, Josek poczuł się pokonany. Ogarnęły go zwątpienie i apatia. Świat widocznie się kończył, Błonie pod Warszawą może już nie istniało, potęgi większe niż Polska ugięły kolana przed Hitlerem, a w niemieckich obozach koncentracyjnych ginęli niewinni ludzie.

Zachodził czasem jeszcze do konsulatu, chyba tylko po to, aby się dowiedzieć, że nikomu nie jest potrzebny, poza tym zaś do portu, aby popatrzeć na statki, wśród których czasem zjawiał się jakiś z polską nazwą i białą-czerwoną banderą na rufie. Nieśmiało zaczepiał marynarzy, proponując im kupno pomarańcz lub papierosów, i wypytywał, co się dzieje w Polsce, a zwłaszcza w Błoniu. Niewiele mógł się dowiedzieć: przeważnie zbywano go żartami i drwinami. Ale raz u nabrzeża stanął niewielki parowiec, którego nazwa po prostu zahipnotyzowała Rosenfelda. Była to Wisła.

Gapił się na nią przez pół dnia, stojąc na skwarze, a gdy z pokładu po przerzuconym trapie zszedł krępy, energiczny człowiek w nieskazitelnie białym mundurze i w czapce ze złotymi galonami, podszedł ku niemu, jakby pociągnięty magnetyczną siłą.

- Pan kapitan z Polski? Może z Warszawy? - zapytał podziwiając własną odwagę.

Oficer spojrział na niego zdziwiony.

- Z Warszawy? Nie. To znaczy, nie bezpośrednio - uśmiechnął się. - A wy... a pan, co tutaj...

- Ja jestem z Błonia - wyszeptał Josek. - Ale ja tu mieszkam już prawie cztery lata.

- Aha. To pan pewnie wie, gdzie jest nasz konsulat?

Josek ożywił się.

- Konsulat? Dlaczego nie? Ja pana kapitana mogę zaprowadzić. To jest niedaleko: może piętnaście minut drogi.

Kapitan rozglądał się jeszcze, w nadziei, że znajdzie jakąś taksówkę, która by go dowiozła na miejsce, ale o tej porze dnia ruch zamierał prawie zupełnie, a kierowcy nielicznych taksówek siedzieli w miejscach bardziej ocienionych niż nabrzeża portu i pili oranżadę. Trzeba było iść pieszo.

Josek wskazywał drogę i nadal wypytywał o Polskę - co się tam dzieje? Kapitan jednak wiedział niewiele więcej od niego, poza tym zaś nie był rozmowny; śpieszył się; miał dość własnych kłopotów, które pochłaniały wszystkie jego myśli.

Jak Josek później wywnioskował ze zdarzeń, które nastąpiły jeszcze tego samego dnia, główną przyczyną tych kłopotów były braki w załodze statku, a między innymi zupełny brak obsługi karabinu maszynowego, jaki s/s Wisła II otrzymała niedawno w Port Saidzie dla obrony przed włoskimi samolotami. Brakowało zresztą także trzeciego oficera, jednego mechanika, kilku smarowników i radiotelegrafisty. Kapitan spodziewał się, że przynajmniej część tych ludzi uda mu się tu znaleźć, tak bowiem poinformowano go w Pireusie, skąd płynął.

Lecz te informacje okazały się przesadzone: konsul w Haifie miał wprawdzie ewidencję różnych maruderów odpadłych od transportów wojskowych z Rumunii i z Grecji, ale znakomita większość tych ludzi zjawiała się w konsulacie tylko raz w miesiącu po zasiłki, poza tym zaś „kombinowała” na własną rękę, nie śpiesząc się bynajmniej do szeregów. Trudno ich było znaleźć, bo ustawicznie zmieniali adresy, wyjeżdżali do Jaffy i do Jerozolimy, rozpełzali się po kraju w poszukiwaniu jakiegoś łatwego a zyskownego zajęcia, zdemoralizowani wojną i życiem w obozach.

Toteż konsul mógł na razie zaproponować kapitanowi tylko dwóch kandydatów: plutonowego Świataka, który został świeżo wypuszczony z aresztu, gdzie przebywał przez jakiś czas zatrzymany za oszukańczą grę w „trzy karty”, i majora żandarmerii, rekonwalescenta po długotrwałej żółtacze. Co się tyczy marynarzy i specjalistów przydatnych w maszynie,- to nie miał ich nawet w ewidencji...

Kapitan zrezygnował z majora, ale - nie mając wyboru - przyjął plutonowego, który bądź co bądź jako zawodowy podoficer artylerii przeciwlotniczej znał się na broni palnej, nie tylko na sztuczkach z trzema kartami.

Wychodząc natknął się w poczekalni na Joska, który tymczasem trochę podsłuchiwał pod drzwiami i walczył z nieśmiałością w szalonym zamiarze przedstawienia własnej kandydatury na członka załogi polskiego statku.

W ostatniej chwili zabrakło mu zresztą odwagi, ale konsul poznał go natychmiast i sam zwrócił na niego uwagę stroskanego kapitana: może ten by się jednak do czego przydał?

Kapitan był trochę zniecierpliwiony. Proponowano mu tutaj bądź napuszonych żandarmów, bądź kryminalistów, bądź wreszcie niedołęgów, podczas gdy on potrzebował marynarzy z prawdziwego zdarzenia! Ale gotowość Joska Rosenfelda, nagły rumieniec, jaki oblał jego blade, zapadłe policzki, i błagalne spojrzenie błyszczących oczu przechyliły szalę na jego korzyść.

- Byliście kiedy na morzu? - zapytał kapitan. Josek odrzekł, że był; dwa miesiące płynął z Konstancy do Haify jako pasażer.

Kapitan powstrzymał uśmiech.

- I nie chorowaliście?

- Nie.

- A służyliście w wojsku?

- Ja byłem za młody, panie kapitanie. Miałem szesnaście lat. A tu mnie nie chcieli przyjąć.

Konsul lojalnie potwierdził to zeznanie. Istotnie Rosenfeld zgłaszał się jako ochotnik.

- A co wy umiecie? - badał dalej kapitan. - Jaki macie zawód?

Josek tego nie umiał tak po prostu określić, w paru słowach. Zaczął się jąkać, opowiadając o swoich losach.

- No i co ja z wami zrobię na statku? - przerwał mu kapitan. - Tam trzeba specjalistów...

- Ja się nauczę - bąknął Josek. - Ja będę wszystko robił-

Kapitan jeszcze się wahał, ale w końcu machnął ręką:

- Dobrze. Zabiorę go - powiedział do konsula. - Niech się zgłosi jutro z samego rana.

W południe wychodzimy w morze.

Josek nigdy w życiu nie widział karabinu maszynowego. Dowiedziawszy się, że ma należeć do obsługi Vickersa, odczuł lęk, który daremnie starał się opanować w obliczu tego nieodwołalnego wyroku. Gdy błady i przejęty po raz pierwszy przyglądał się, jak plutonowy Światak zdejmując płócienne pokrowce ze śmiercionośnej broni, a potem repetuje i składa się ku błękitnemu niebu, podziwiał go w duchu niczym legendarnego bohatera. Lecz później, przezwyciężywszy obawę i zaznajomiwszy się bliżej z mechanizmem potwora, doszedł do wniosku, że właściwie zewnętrznie karabin maszynowy nie różni się tak bardzo od klamek i antab u drzwi i okien, z którymi dotychczas miewał do czynienia. Trzeba się z nim obchodzić ostrożnie tylko wówczas, gdy jest nabity, a nawet wtedy nie może szkodzić temu, kto zeń strzela. Jedynie huk tych strzałów początkowo przyspieszał bicie jego serca, ale i do tego można się było w końcu przyzwycząić.

Co się tyczy żartów załogi, a zwłaszcza drwin i „humorów” plutonowego Świataka, to Josek był do takiego sposobu traktowania przyzwyczajony, a zresztą nie wyśmiewano go tu bardziej niż w Błoniu lub w haifańskim konsulacie. Młodszy marynarz Raźny lubił go i nie pozwalał zanadto mu dokuczać, a gdy w trzy miesiące później s/s Wisła przybyła do Aleksandrii, gdzie - jak to już opowiedziałem - obsługę Vickersa spotkało zaszczytne wyróżnienie ze strony oficera brytyjskiej admiralicji, marynarze zaczęli poklepywać Rosenfelda po ramieniu, uznając go za swego, podobnie jak głaskali okrętowego kota, który wylegiwał się u drzwi kuchni.

Tymczasem drugiego dnia żeglugi minęliśmy Kretę i znaleźliśmy się na obszarze teoretycznie zagrożonym przez włoskie lotnictwo i okręty podwodne. Mówię teoretycznie, ponieważ w owym czasie ataki powietrzne i morskie zdarzały się tam bardzo rzadko. Dopiero w pobliżu Sycylii zagrożenie wzrastało, a dokoła Malty stale krążyły patrole samolotów czyhających na brytyjskie konwoje.

Mimo to kapitan Demart już teraz przedsięwziął wszystkie przepisowe środki ostrożności; po parę razy dziennie odbywały się próbne alarmy lotnicze, szalupowe i pożarowe, a w nocy statek szedł bez świateł, z zaciemnionymi iluminatorami⁵⁰.

Josek wyznał mi, że te przygotowania bardzo go denerwują. Źle sypiał i wyglądał mizerniej niż zwykle. Nie mógł pozbyć się lęku, a żywa wyobraźnia podsuwała mu nieustannie sceny pełne grozy, wśród których zatonięcie statku nie należało jeszcze do najstraszniejszych. Nie był stworzony na bohatera, to pewne. Ale miał odwagę przyznawać się do tego, przynaj-

⁵⁰ Iluminatory - okrągłe wodoszczelne okna w burcie statku.

mniej wobec mnie.

- Co będzie, jak ja stchórzę? - pytał zatroskany. - Jak ja ze strachu nie będę mógł strzelać albo podawać amunicji? To co wtedy będzie?!

Starął się mnie wybadać: Czy byłem kiedy ranny? Czy to bardzo boli? Czy się nigdy nie bałem?

- Ależ bałem się, naturalnie! Prawie za każdym razem!

Powiedziałem mu, że tylko skończony dureń może się nie bać; taki, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa; nie przeczuwa go nawet.

Ale to był błąd z mojej strony. Jasek doskonale uświadamiał sobie, co może mu grozić; przewidział wszystkie warianty swojej śmierci i klęski, jaka mogła go spotkać; wszystko najgorsze... Był przekonany, że strach, ten jego niepokonany wróg, okaże się stokroć od niego silniejszy; że sparaliżuje mu nerwy i mięśnie, zamrozi mózg, oślepi go i ogłuszy.

- I ja się boję, że ja tak zginę. Serce... ja mam wadę serca, to może dlatego...

Starąłem się go uspokoić. To tylko pierwsze chwile niebezpieczeństwa wydają się tak groźne; później, gdy ma się w ręku broń, kiedy się samemu walczy...

Przerwał mi w połowie zdania:

- Żebym ja to mógł! Żebym ja wiedział, że zacznę strzelać...

Nie miał pod tym względem żadnych doświadczeń. Wisła dotychczas szczęśliwie uniknęła jakichkolwiek ataków, jego zaś gnębiła niepewność, czy przy pierwszej okazji nie ulegnie panice i swojej wadzie serca...

Tym razem zresztą taka okazja go ominęła. W cztery dni po opuszczeniu Aleksandrii w nocy ostrożnie podeszliśmy na redę La Valetty, a wczesnym rankiem pilot wprowadził s/s Wisłę do portu. Nie było nawet żadnego alarmu lotniczego.

Stanęliśmy na kotwicach, po czym pożegnałem się z Demartem i z całą załogą. Jeszcze tego samego dnia miałem odlecieć do Gibraltaru.

Moje rozstanie z obsługą Oerlikona było nieomal serdeczne. Plutonowy Świątak dał mi list do Londynu, do swego szwagra, który rzekomo był tam jakąś figurą w ministerstwie skarbu (nigdy go nie odnalazłem); Rażny mocno uściśnął moją rękę, życząc mi pomyślnych lądowań na wszystkich lotniskach; Rosenfeld prosił, żeby do niego napisać o Warszawie i o Błoniu.

- Gdyby się pan tam przypadkiem dostał - powiedział nieśmiało - to niech pan koniecznie zajdzie na Sochaczewską. To jest taka mała uliczka od rynku. I w drugim domu od rogu po prawej stronie tam był nasz warsztat. Firma została: „Abraham Rosenfeld”, ale właściciel nazywa się Szpigiel. Mojżesz Szpigiel. To jest mąż mojej siostry, Ryfki. Niech pan jej opowie... Nie, lepiej niech pan jej nie mówi, że ja jestem na Wiśle. Niech ona się nie martwi. Niech pan jej tylko powie, że ja żyję, że jestem w Haifie. I koniecznie niech pan do mnie napisze.

Obiecałem mu to solennie. Ale do dnia dzisiejszego nie byłem w Błoniu...

2.

S/s Śląsk wyszedł z Southampton w drogę do Gdyni dopiero wieczorem. Na długiej, wąskiej zatoce od wschodu kładły się cienie, a od zachodu wylewała się na nią ciemno-szkarłatna posoka wrześnieowego nieba, z którego słońce już zeszło, kryjąc się za wzgórzami Salis-

bury po prawej stronie Avonu. Zimny, północno-zachodni wiatr wiał od strony rufy, podnosił krwawiącą falę, zasnuwał przestrzeń dymem parowozów i fabryk, pędził górą zmarznięte, nastroszone obłoki. Boje oznaczające farwater kiwały się pojękując i błyskając światłem, światła zapalały się na obu brzegach, świeciły bladożółtawe łuny miasteczek i drobnych osiedli. Rozpoznałem wśród nich Cowes i Osborne na północnym cyplu wyspy Wight, potem Gosport i wreszcie, już wśród zupełnych ciemności, wysoki, rudy od dymu odbłask Portsmouth. Byliśmy u wrót La Manche.

Rozejrzałem się po pokładzie i spytałem pierwszego spotkanego marynarza, gdzie jest kajuta bosmańska. Uprzejmie wskazał mi drogę i powiedział, że bosman Rażny właśnie przed chwilą poszedł do siebie. Zostałem go przy myciu rąk i od razu zauważyłem dużą różową bliznę na jego prawym przedramieniu.

- Cóż to za pamiątka? - zapytałem siadając na wąskiej kanapce w rogu kabiny. - Nie przypominam sobie, żeby pan miał tę szramę będąc na Wiśle,

- To właśnie z Wisły - odrzekł opuszczając odwiniete rękawy koszuli. - Siad po włoskim pocisku eksplodującym. Opowiem panu, tylko... chwileczkę.

Zakrzętnął się przy szafce w ścianie i postawił na stoliku szklaneczkę.

- Napije się pan cydru?⁵¹ - spytał i nie czekając na moją odpowiedź otworzył pękata butelkę. - Przysłali mi znajomi z Devonshire. Wcale niezły.

« 131 »

Napełnił szklanki, podczas gdy rozglądałem się po jego schludnej, porządnej kajucie.

- Na zdrowie - uśmiechnął się.

Cydr istotnie był dobry, lekko musujący, o przyjemnym smaku. Miał poza tym tę właściwość, że rozwiązywał języki i ożywiał wspomnienia, więc już przy drugiej szklaneczce wspominaliśmy jeden przez drugiego Wisłę i całą jej załogę. Potem Rażny zaczął opowiadać o dalszych jej dziejach.

W grudniu roku 1941, w kilka miesięcy po mojej podróży na Malte, zaszli na Cypr, a stamtąd do Adali.

- Tam został Światak. Robił jakieś interesy, uważa pan. No, po prostu mówiąc, handlował, czym się dało, i zbijał pieniądze. Do Adali wiozł, zdaje się, płytki do akumulatorów, które tam kupowano niemal na wagę złota. Nie wiem, jak zdołał wynieść je ze statku, bo to było diabelnie ciężkie. Ale wyniósł. Staliśmy tam dwie doby, a jak mieliśmy oddać cumy, okazało się, że jeszcze nie wrócił. Kapitan nie chciał na niego czekać, i słusznie, bo później się okazało, że zabrał na brzeg prawie wszystkie swoje rzeczy. Zwiął. Słyszałem, że otworzył jakąś małą knajpę czy też bar w Damaszku, a potem podobno ktoś go pchnął nożem po pijanemu i tak skończył.

- A Josek? - spytałem.

- Josek był z nami do końca. Kręciliśmy się przeważnie po wschodniej stronie Morza Śródziemnego, podczas gdy w Libii zaczynał się ten kontredans pomiędzy Anglikami a Włochami i Niemcami: ofensywa, pościg, kontrofensywa i odwrót... Pamięta pan?

Skinałem głową, on zaś mówił dalej:

- Mieliśmy nadzwyczajne szczęście, bo aż do grudnia unikaliśmy wszelkich ataków powietrznych i podwodnych. To zresztą z pewnością zasługa kapitana Demarta. Prowadził

⁵¹ Cydr (fr. cidre) - jabłecznik.

statek mądrze i ostrożnie, a co najważniejsze, jak to mówią, „z nosem”. Nie szliśmy nigdy prostą drogą, a do brzegów zbliżaliśmy się zwykle dopiero w nocy, po ciemku. Demart znał te brzegi i porty lepiej niż miejscowi piloci; przemyczał się obok pól minowych i między mieliznami, manewrował na redach, w zatokach i w basenach portowych, jakby Wisła była kajakiem, który można obrócić jednym ruchem wiosła. Może mi pan wierzyć, skóra na mnie cierpła przy tych manewrach, a przecież nigdy nie mieliśmy najmniejszej awarii. Miał oko i wyczucie - no! Zapytałem, co się z nim teraz dzieje.

- Już jest w Gdyni. Został inspektorem GAL-u⁵². Pewnie go pan zobaczy? A tymczasem warto wypić jego zdrowie; to bardzo morowy chłop, nie?

Zgodziłem się z Raźnym w obu tych sprawach - zarówno co do „morowości” Demarta, jak i na propozycję, abyśmy wypili jego zdrowie. Uczyniwszy, co było w naszej mocy, aby kapitan nie chorował i czuł się dobrze, powróciliśmy do przerwanej rozmowy.

- Mieliśmy ciągle za mało ludzi - mówił bosman - więc do Oerlikona było nas tylko dwóch: ja i Rosenfeld. Ale właściwie różnica była niewielka, bo Światak nigdy się nie przemęczał; prawdę mówiąc Josek robił za nas trzech i tylko jakby przyszło co do czego, to sam by nie dał rady. Zresztą w tej akcji dwudziestego szóstego grudnia było nas zaledwie półtora człowieka obsługi, jak mnie postrzelili.

Szliśmy na zachód, od strony Aleksandrii i w samo południe byliśmy gdzieś na wysokości Mersa Matruh, gdy licho wie skąd (pan to musi wiedzieć lepiej, ale mnie się wydało, że wprost spod słońca) urwały się dwa włoskie samoloty i spadły na nas z góry jak jastrzębie. To się stało tak nagle, że nim syrena okrętowa zawyła na alarm, już dokoła nas zaczęły wybuchać bomby. Pionowe wytryski wody wstawały przed dziobem, za rufą i po obu stronach burt, jak widma wyskakujące z morza, a dopiero w parę sekund później rozlegał się głuchy, zduszony huk serii. Przez cały czas tego ataku miałem wrażenie, że to, co się dzieje, nie jest rzeczywistością, tylko jakimś dziwnym, pełnym zgiełku snem. Poruszałem się lekko, raczej przenosiłem się z miejsca na miejsce, właśnie jak we śnie, a przebieg niektórych czynności i zdarzeń uchodził mojej uwagi; pamiętam tylko ich fragmenty bez początku lub końca, porwane, poszarpane jakby czy też częściowo nie dostrzeżone przeze mnie, podczas gdy inne objawiały mi się z nadzwyczajną wyrazistością szczegółów, jak oglądane przez olbrzymie szkło powiększające. Tak na przykład nie umiałbym powiedzieć, w jaki sposób znalazłem się na rufie przy Oerlikonie i skąd się tam wziął Josek, natomiast pamiętam doskonale jego twarz, bladą jak papier, i choćby taki szczegół, że był tylko w koszuli bez rękawów i w spodniach, bez butów na bosych stopach. Musiałem zapewne mierzyć do nurkującego samolotu i naciskać spust, ale zupełnie sobie tego nie uświadamiałem; za to jeszcze dziś dokładnie widzę, jak długa lufa naszego działka skacze tam i z powrotem, a świetlne i smugowe pociski pędzą ku wyjącej maszynie, która zniża się nad pokład.

Nie wiem, kiedy zostałem raniony. To było jak sen... Ni stąd, ni zowąd wszystko jak gdyby zaczęło się dziać od środka; siedziałem na pokładzie, a z ramienia buchała mi krew. Nie czułem bólu, tylko mdły, ciepły bezwład, jak w gorącej kąpieli w wannie. Wtedy także zauważyłem, że z desek na śródokręciu lecą drzazgi i podnoszą się drobne smużki dymu. Potem usłyszałem w górze jazgot karabinów maszynowych, szum i świst samolotu, a potem zobaczyłem, w zupełnym oderwaniu od tych zjawisk i dźwięków, że Josek strzela.

⁵² GAL - Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe.

Właśnie skończył mu się magazynek i działko zamilkło, gdy pilot drugiego samolotu składał się do nas z daleka. Zrozumiałem to i zdrową ręką podałem świeży magazyn z otwartej skrzynki. Zobaczyłem błyszczące oczy Rosenfelda i jego twarz, już nie bladą, przeciwnie, z ceglastymi wypiekami na policzkach, po których spływały krople potu. Ktoś na nas wołał od strony pomostu, pewnie kapitan Demart, ale nie usłyszałem słów lub może ich znaczenie do mojej świadomości nie dotarło, bo, jak mi się zdaje, reszta świata, a więc i statku poza obrębem rufy nie istniała dla mnie w owej chwili. Widziałem tylko czysty błękit nieba i gwałtownie rosnący w oczach przód samolotu, a przez głowę znów przeszła mi myśl, że wszystko to jest tylko snem i że zaraz się obudzę. Wydało mi się nawet przez chwilę, że czuję dotknięcie miękkiej poduszki na twarzy i że otacza mnie ciemność, wśród której rozróżniam znajome zarysy wspólnej kajuty załogi pokładowej. Ale to było tylko przelotne wrażenie. Następny obraz znów był podobny do gorączkowego snu: z nieba wprost ku morzu spadała wstęga ognia i dymu, a z obu jej stron pędziły dwa połyskujące metalowe skrzydła. Wszystko to w odległości kilkunastu metrów runęło w wodę, która chlusnęła w górę i połknęła płonący samolot. Potem nastąpiła cisza tak nagła i niespodziewana, jakby to był istotnie koniec snu, z którego człowiek budzi się zdumiony i jeszcze niezupełnie oprzytomniały. Lecz ja wśród tej ciszy usłyszałem bliski szmer, podobny do ciurkania wody z nie domkniętego kranu, a odszukawszy wzrokiem jego źródło, ujrzałem strugę krwi uchodzącą z mojej poszarpanej ręki. Struga rozlewała się po pokładzie i ciekła wąskim strumykiem coraz dalej, aż połączyła się z inną, u podstawy Oerlikona. Tamta druga wypływała spod zgiętych kolan Rosenfelda. Dopiero wtedy na niego spojrzałem. Klęczał pochylony w przód, trzymając kurczowo uchwyt działka. Głowa opadła mu między wyciągnięte ramiona, więc nie widziałem jego twarzy, tylko całą skurczoną, nieruchomą postać. Mogłoby się zdawać, że odpoczywa w tej dziwnej pozycji, wspierając czoło na zamku, zupełnie wyczerpany przebytą walką, gdyby nie wielka czerwona plama na jego białej koszuli i gdyby nie ta kałuża krwi pod nim. Zawołałem go po imieniu, ale mi nie odpowiedział i nie poruszył się... z tej prostej przyczyny, że już nie żył.

Raźny umilkł i zapatrzył się gdzieś przed siebie, a ja milczałem także, przejęty tą prosta, żołnierską śmiercią Joska Rosenfelda, który w obronie Wisły zginął na Morzu Śródziemnym u brzegów Afryki.

Zadawałem sobie pytanie, czy bardzo się bał. Zmagania z własną słabością, z przerażeniem, którego musiał doświadczyć w czasie alarmu i później na widok rozszarpanej ręki Raźnego, na widok krwi, zmagania ze strachem były dla niego z pewnością trudniejsze i bardziej bohaterskie niż czyny wojenne śmiałków nagradzanych krzyżami za waleczność.

Zestrzelenie włoskiego samolotu za cenę własnego życia w oczach każdego dowódcy kwalifikowałoby go do takiej nagrody. Lecz przecież nie to zwycięstwo i nawet nie śmierć na posterunku stanowiły o jego bohaterstwie...

Cichy brzęk szkła i bulgotanie cydru przerwały te moje rozważania. Raźny nappełnił szklanki i trąciwszy się ze mną spytał:

- Nie wiem, czy pan pamięta, że mieliśmy na pokładzie kobietę lekarza, tak zwaną „doktorzycę”?

Pamiętałem ją oczywiście. Była to doktor Elżbieta Funk, energiczna osoba o krótko przyciętych ciemnych włosach i zawadiackim usposobieniu. Jej drobna postać i rysy twarzy przypominały rezolutnego chłopca, a męski ubiór i nieodstępny papieros w ustach potęgowały

jeszcze to wrażenie.

- Więc ona mnie opatrzyła - mówił dalej bosman - i stwierdziła, że mam całe kości. A wkrótce potem nastąpił drugi atak na Wisłę. Zapomniałem panu powiedzieć, że przy pierwszym nikt prócz Rosenfelda nie zginął i nikt prócz mnie nie był nawet drażnięty. Kapitan Demart zawiadomił przez radio bazę w Aleksandrii o tym, co zaszło, a ponieważ mieliśmy dość cenny ładunek, brytyjskie dowództwo zdecydowało się przysłać nam dla ochrony torpedowiec, który miał nas konwojować aż do Tobruku. Nie czekając na jego przybycie, płynęliśmy dalej, zmieniając tylko nieznacznie kurs, w nadziei, że Włosi zostawią nas w spokoju. Ale ta nadzieja zawiodła. Leżąc w izbie chorych koło godziny drugiej po południu usłyszałem potężny huk i odczułem wstrząs, który omal nie wyrzucił mnie z łóżka. Zerwałem się na nogi i zatchyłem się ku wyjściu na pokład. Zanim zdołałem otworzyć drzwi, zawyła syrena, a gdy się znalazłem na zewnątrz, wpadłem prosto w objęcia „doktorzyca”, która biegła mnie ratować. Z początku nikt nie wiedział, co się właściwie stało, bo morze i niebo były puste, jak wymiotti. Ale drugi oficer wypatrzył wśród fal peryskop okrętu podwodnego, który wkrótce znikł, oddalając się ku północnemu zachodowi i pozostawiając nas własnemu losowi. Pomyślałem, że to była partacka robota: wpakowali nam torpedę w tylną ładownię i uciekli nie przekonawszy się nawet, czy ta dziura wystarczy, aby Wisła zatonała.

Myśleliśmy, że nie zatonie. Nikt nie był ranny, przegrody wodoszczelne trzymały na razie, choć blachy zapewne zostały powyginane i nadwerżone wybuchem; na horyzoncie ukazał się zapowiedziany torpedowiec. Mieliśmy uszkodzony wał śrubowy, ale inne mechanizmy, a także ster działały dobrze. Kapitan kazał uruchomić pompy, które natychmiast zrównoważyły przeciek do maszynowni. Gdy torpedowiec zbliżył się do nas, byliśmy gotowi do przyjęcia holu. Demart domagał się bowiem, żeby nas odholowano do Aleksandrii, gdzie można by jeszcze uratować naszą starą Wisłę. Pertraktacje w tej sprawie trwały pewnie z pół godziny, bo dowódca torpedowca chciał jak najprędzej odpłynąć z tego miejsca i żądał, żebyśmy opuścili statek. Nie miał ochoty narażać się na nowy atak, a nasz „cenny ładunek” obchodził go akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg... w Europie Środkowej, ma się rozumieć. Ale Demart się uparł, że nie porzuci Wisły tak długo, dopóki pokład będzie nad wodą, więc tamten z dwójga złego wybrał mniejsze i podali nam hol, który przyjęliśmy z dziobu.

Dopiero jak się to wszystko odbyło i kiedy okręt, a za nim statek położyły się na kurs wschodni, można było pomyśleć o Rosenfeldzie. Jego zwłoki, ułożone na pokładzie rufy i przykryte płótnem, oczekiwały na pogrzeb. Na pogrzeb marynarski, z honorami ma się rozumieć. Tyle tylko mogliśmy dla niego zrobić i tak właśnie zarządził kapitan.

Lecz nie zdążyliśmy wykonać tego zarządzenia. Ledwie zaszyto ciało Joska w żaglowe płótno obciążone w nogach kilku ogniwami łańcucha kotwicznego, nastąpił trzeci atak, tym razem ostateczny. Widziałem, jak się to stało, bo „doktorzyca” pozwoliła mi zostać na pokładzie. Leżałem pod jej opieką na tym samym leżaku, który Jasek zawsze dla pana rozstawił, i patrzyłem na morze za rufą. Słońce stało nisko nad horyzontem, bardzo czerwone i prawie bezpromienne, jakby stygnące po całym dniu męczącej wędrówki przez niebo usiane barankami⁵³. Lekka bryza pociągała już z południa i wieczorny chłód skraplał rosę na żelaznych poręczach burt. Wtem ktoś krzyknął: „Torpeda z lewej!”, i ten okrzyk jak czarodziej-

⁵³ Bryza - wiatr okresowy wiejący w ciągu, dnia od morza ku lądowi, w nocy zaś od lądu ku morzu; występuje przede wszystkim w ciepłej porze roku przy braku silniejszych wiatrów i przy słonecznej pogodzie.

skie zakłęcie unieruchomił ludzi, zatrzymał ich w miejscu, w pół kroku, w połowie gestu, wśród nie domówionych słów.

Spojrzałem w lewo. Długi pianisty ślad ciągnął się po falach i biegł ku nam. To trwało zaledwie sekundę. Potem nastąpił huk i wstrząs, a olbrzymia fontanna wody strzeliła w górę i opadła ulewą bryzgów na przedni pokład z takim trzaskiem, jakby ktoś tam wychlusnął kocioł ręci. Podniósł się zgiełk i harmider, nad którym zaraz zapanował donośny głos kapitana Demarta wydającego rozkazy. „Doktorzyca” nawet nie bardzo zbladła, a w każdym razie nie straciła głowy. „Zbieraj się, chłopcze - powiada do mnie. - Teraz pewnie będziemy musieli wysiadać”. Ale okazało się, że jeszcze nie. Torpeda rozwaliła dziób statku, lecz tylko częściowo naruszyła grodzień forpiku⁵⁴, tak że woda wdzieriała się do przedniej ładowni niezbyt gwałtownie i Wisła osiadała zgoła niewidocznie.

Tymczasem torpedowiec natychmiast po wybuchu puścił hol i skoczył naprzód jak plotka, którą chybił szczupak. Odsądził się od nas o dobre pół mili i dopiero wtedy zawrócił szerokim półkolem, jakby zawstydzony swoim pośpiechem. Zaczął krążyć, ciągle zresztą w przyzwoitej odległości od miejsca, gdzie mógł się znajdować podwodny korsarz, i walił jedną po drugiej bomby głębinowe, niszcząc zapewne mnóstwo ryb i meduz, bez szkody dla nieprzyjaciela. Zmarnowawszy w ten sposób ze dwie tony pierwszorzędných materiałów wybuchowych, jego dowódca zawiadomił kapitana Demarta, że ma stanowczo dosyć tych gwałtownych wzruszeń i kategorycznie żąda, abyśmy natychmiast opuścili statek, który przecież i tak teraz musi zatonać. Jeśli tego nie uczynimy w ciągu dziesięciu minut, pozostawi nas i odpłynie.

Demart na to się wściekł. Po swojemu, naturalnie. Nos mu zbiełał i mięśnie w szczękach zaczęły chodzić. Powiedział coś do oficera wachtowego, a w chwilę później dostrzegłem, że pod rejką masztu wspinają się trzy małe flagi międzynarodowego kodu sygnalizacyjnego. P-Y-U - odczytałem. Wie pan, co to znaczy?

Potrząsnąłem głową przecząco, a Rażny uśmiechnął się pokazując duże, zdrowe zęby.

- „Szczęśliwej podróży” - wyjaśnił. - Tak mu odpowiedział! No, co tam, jego zdrowie. Morowy chłop; szkoda go do biurka i atramentu w tym GAL-u...

Wypiliśmy więc ponownie za zdrowie Demarta i Rażny ciągnął dalej swoją opowieść, wtajemniczając mnie we wszystkie szczegóły przygotowań do opuszczenia statku, co tak czy owak musiało niebawem nastąpić. Wisła pogrążała się z wolna, torpedowiec krążył z daleka, lecz nie odpływał, oni zaś spokojnie i systematycznie ładowali do łodzi żywność, wodę, przyrządy nawigacyjne, mapy i najcenniejszy sprzęt, a potem ograniczoną ilość osobistego bagażu.

- Kapitan chciał zabrać jak najwięcej - mówił Rażny. - Gdyby mógł, zabrałby z pewnością także naszego Oerlikona, tylko że ten był za ciężki i naturalnie za duży... Potem, jak już wszystko było gotowe, czterej marynarze, starszy oficer i pierwszy mechanik zanieśli Rosenfelda na pomost i położyli na noszach, a Demart okrył go banderą. Wreszcie bosman wciągnął nową banderę na maszt.

Była już zupełna noc, kiedy schodziliśmy do łodzi, ale świecił księżyc i Wisła głęboko zanurzona stała w jego blasku nieruchoma jak jakiś szaniec sterczący z morza z tym białoczerwonym znakiem na szczycie i z trzema zapomnianymi chorągiewkami kodflagu - P-Y-U

⁵⁴ Forpik - przednia wodoszczelna komora na dziobie statku.

- „Szczęśliwej drogi!” - trzepoczącymi na wietrze.

Nie wiem, jak komu, ale mnie wydawało się to wzniosłe, patetyczne i tragiczne zarazem. Statek jest przecież kawałkiem ojczyzny, a ten miał za chwilę zginąć, zapaść się na zawsze w głąb morza wraz z jednym spośród swoich obrońców, który padł i którego uczciliśmy w ten sposób. Szalupy trzymały się mniej więcej razem, dryfując ze słabym wiatrem i podciągając się na wiosłach, bo nie postawiliśmy jeszcze żagli. Od czasu do czasu ruszał silnik łodzi motorowej, klekotał przez chwilę i milkł. Był to jedyny odgłos, jaki mącił spokój i ciszę tej nocy. My milczeliśmy także wpatrzeni w Wisłę, która trwała ciągle nieruchoma. Wtem wielki bąbel powietrza wydobył się z jej wnętrza niby ostatnie przedśmiertne westchnienie i nagle statek poszedł na dno tak cicho, jak duch zstępujący do grobu.

Puściliśmy się w drogę do Mersa Matruh. Ale z torpedowca obserwowano nas widocznie, bo zaraz zjawił się na naszym kursie i kolejno wziął nas na pokład. Rana dokuczała mi bardzo, miałem z pewnością trochę gorączki, więc gdy przybyliśmy do Aleksandrii, ledwie trzymałem się na nogach i „doktorzyca” wpakowała mnie do szpitala.

- No, a potem? - spytałem, gdy Rażny umilkł.

- Potem? Cóż, potem załoga rozproszyła się po różnych statkach, jak to zwykle bywa z rozbitkami. W czasie wojny przez te parę lat rzadko można się było z kimś spotkać. Dopiero teraz ludzie ściągają z całego świata z powrotem do Polski, jak Demart, jak pan, jak ja...

- Wracamy do ruin - powiedział po chwili. - Pan jeszcze ich nie widział... No, ale wracamy także na pięćset kilometrów wybrzeża - dodał podnosząc głowę. - Jak się teraz minie Rugię, to na prawo cały brzeg jest polski! Szkoda, że Jasek nigdy go nie zobaczy...

Zakopane 1954

Kapitan Siedmiu Mórz

Siedzieliśmy we czterech na obszernym tarasie domu, w którym mieszkał dyrektor Calikowski, i piliśmy kawę - znakomitą kawę przyrządzoną osobiście przez gospodarza według dość znanego przepisu: dużo kawy, mało wody i nie gotować, tylko parzyć.

Dyrektor był niegdyś marynarzem, potem konsulem w Nowym Jorku, wreszcie został jednym z filarów Centralnego Zarządu Polskiej Marynarki Handlowej. Jego starokawalerskie gospodarstwo prowadziła dobrodusznia osoba o siwych włosach i niezwykłych zdolnościach kulinarnych. Dzięki tej ostatniej właściwości „skromne przyjęcia” dla wybranych przyjaciół i znajomych dyrektora odznaczały się nie tylko wspaniałą kawą, lecz także bardzo umiejętnie przyprawionymi kilku daniami, które poprzedzały ów finał będący jego osobistym popisem.

Spośród pozostałych współbiedniaków, tylko ja nie byłem marynarzem, a w dodatku moja znajomość z dyrektorem datowała się dopiero od południa tego samego dnia. Przypuszczam, że dostąpiłem tego niezwykłego wyróżnienia tylko dzięki pewnej zażyłości, jaka łączyła mnie z przyjaciółmi gospodarza: kapitanem Demartem i naczelnym inżynierem Polskiego Ratownictwa Okrętowego; Jakusem. Spotkałem ich w biurze dyrektora i właśnie wtedy otrzymałem zaproszenie na tę „skromną kawalerską kolację”.

Z tarasu, poprzez niewielki ogród opadający ku wąskiej plaży, otwierał się widok na morze, którego westchnienia wyścielały ciszę pogodnego wieczoru miękkim, łagodnym poszumem. W sąsiedztwie nie było innych domów, żaden głośnik radiowy nie mącił przyjemnego spokoju, miasto leżało za nami daleko w tyle, już uśpione, i tylko czasem stłumiony łoskot przebiegającego pociągu docierał stamtąd niewyraźnie, jak odległe wspomnienie minionego dnia.

Przyćmione światło lampy padało na stół pośrodku, pozostawiając nasze postacie w cieniu tak, że nie byłem pewien, który z trzech mężczyzn zaczął mówić o katastrofie s/s Kiangay. Dopiero po chwili rozpoznałem głos dyrektora, gdy rzucił krótką uwagę:

- Trzy tysiące ofiar... To było w roku 1948, czwartego grudnia.

Zapytałem, jak się to stało, a on wyjaśnił, że chodziło wtedy o ewakuację Szanghaju przez władze Kuomintangu. Kiangay, flagowy statek⁵⁵ chińskiej marynarki handlowej, obliczony na tysiąc dwustu pasażerów, przeładowany po brzegi, wpadł na minę i zatonął.

Ktoś wspomniał potem o zatopieniu s/s Lusitania przez niemiecki okręt podwodny w roku 1915, a dyrektor znów uzupełnił z pamięci, że ten wypadek pociągnął za sobą śmierć tysiąca stu dziewięćdziesięciu ośmiu osób.

Gdy marynarze raz zaczną mówić o katastrofach okrętowych, zwykle wylania się z tych wspomnień sprawa Titanica, więc i tym razem oczekiwałem, że się tak stanie. Znałem tę historię dość dobrze, ale byłem ciekaw, czy dyrektor Calikowski pamięta ilość ofiar. Pamiętał:

- Titanic? Rok 1912. Zderzenie z pływającą górą lodową. Tysiąc pięciuset siedemnaśtu ludzi.

Był widać rzeczoznawcą w tej dziedzinie, a jego umysł, zarejestrowawszy fakty, daty i liczby, przechowywał je skrzętnie i nieomylnie jak żywa kartoteka.

- Odpowiedzialność za tę tragedię była przez długi czas sprawą sporną - dodał. - Wła-

⁵⁵ Flagowy statek - jednostka, na której znajduje się dowódca grupy operacyjnej.

ściwie nigdy jej nie rozstrzygnięto ostatecznie.

Demart poruszył się w trzcinowym fotelu, który zaskrzypiał, jakby wyrażając lekkie zniecierpliwienie, a my jak na komendę zwróciliśmy głowy w jego stronę.

- Pan jest innego zdania? - spytał Jakus. Roześmieliśmy się. Pytanie w tych okolicznościach wydało nam się zabawne.

- Przeciwnie - powiedział Demart. - Pamiętam noc, może raczej świt, kiedy tylko przypadkiem uniknęliśmy zderzenia z górą lodową. Gdyby wówczas nieliczni świadkowie tego... tej niedosłej katastrofy poszli na dno, to kto wie, czy sąd morski potrafiłby ustalić czyjąkolwiek odpowiedzialność.

Zaciekawiała mnie ta przygoda, a kapitan chętnie zgodził się ją opowiedzieć.

- Byłem wtedy pierwszym oficerem na Batorym - zaczął.

- U Torkowskiego - wtrącił dyrektor.

- U Torkowskiego. Pamiętacie go z pewnością. Pan go chyba także znał? - zwrócił się do mnie.

Owszem, znałem kapitana Torkowskiego, przynajmniej z widzenia. Był to człowiek po pięćdziesiątce, imponującej postawy, o wielkiej łysej czaszce okolonej rudawymi włosami, z potężnym, trochę zaczerwienionym nosem, pod którym sterczały płomienne wiechcie wąsów. Miał jasne, okrągłe oczy pod krzaczastymi brwiami, twarz mięsistą i szerokie usta skłonne do głośnego, rubasznego śmiechu. Lubił się śmiać i z natury był wesoły, choć często przybierał wyraz marsowy, jak przystało na nieustraszonego wilka morskiego, za jakiego powszechnie uchodził.

Tyle o nim wiedziałem, a fama niosła, że istotnie był tęgim marynarzem, jakkolwiek nie zawsze trzeźwym...

Demart orzekł, iż mój opis jest dość obiektywny.

- A co do jego kwalifikacji zawodowych, to dyrektor GAL-u, Jacynicz, zawsze powtarzał, że Torkowski to właściwy człowiek na właściwym stanowisku. „The right man on the right place” - jak mówią Anglicy. Z pewnością dla ówczesnej dyrekcji był idealnym kapitanem. Pasażerowie po prostu przepadali za nim, co w połączeniu z dobrą kuchnią i dużą na owe czasy prędkością czyniło Batorego bardzo popularnym statkiem.

Chodziliśmy z Gdyni do Nowego Jorku wstępując zwykle po drodze do kilku portów zachodnioeuropejskich, a czasem także do Halifaxu w Kanadzie, i z powrotem. Wtedy - to była moja pierwsza podróż - większość pasażerów wsiadła już w Gdyni, a resztę mieliśmy zabrać w Southampton.

Torkowski od samego początku obdarzał mnie szczególną sympatią i zaufaniem. Opiekował się mną po swojemu, zachodził po parę razy dziennie do mojej kajuty albo przysyłał po mnie, żebym wstąpił do jego „salonu”. Każdej takiej wizycie towarzyszyło parę kieliszków, a jeżeli się wzbraniałem, obrażał się i nie odzywał się do mnie przez godzinę lub nawet dwie. Żądał, żebym jadał przy stole kapitańskim, do którego zapraszał najbardziej wpływowe osobistości spośród pasażerów i pasażerek oraz swoją „królową”. „Królową” bywała bądź żona jakiegoś ministra, bądź najbardziej obwieszona biżuterią małżonka bogatego przemysłowca, bądź wreszcie (w braku tego rodzaju kandydatek lub przy ich równych kwalifikacjach) najgrubsza i najwyższa z pasażerek pierwszej klasy. Asystował jej przez całą podróż, a ja musiałem go zastępować, jeżeli był chwilowo nieobecny.

Częściej zresztą zdarzało się, że zastępowałem go na pomoście kapitańskim, i to właśnie miałem na myśli wspominając o zaufaniu, jakim mnie darzył.

Nasi pasażerowie byli to przeważnie obywatele Stanów Zjednoczonych i Kanady, wzbogaceni emigranci i ich potomkowie, którzy udawali się do Europy, aby odwiedzić „stary kraj” i pozostałych w nim krewnych. Polonia amerykańska była wśród nich najliczniej reprezentowana, a w czasie owej pierwszej mojej podróży z Gdyni wracała duża grupa złożona prawie wyłącznie z Polaków amerykańskich. Prócz nich jechał z nami do Nowego Jorku pewien dostojnik duchowny, przedstawiciel kurii biskupiej, ministrowa R. i kilku wyższych urzędników ówczesnego reżimu.

Kapitan Torkowski był w rozterce: którą z wybitnych i okazałych pań mianować „królową”? Odkładał to do wyjścia z Southampton, a tymczasem awansował biskupa na „kapelana morskiego” i obmyślał mowę, jaką zamierzał wygłosić podczas pierwszego oficjalnego obiadu po opuszczeniu lądu starej Europy. Ale tamta sprawa nie dawała mu spokoju: w drodze z Gdyni przez Bałtyk, Kanał Kiloński i Morze Północne do La Manche rozważał wraz ze mną kwestie prestiżowe i protokolarne dotyczące aż trzech kandydatek. Żona ministra była szczupłą, przystojną i złośliwą; mogła mu zaszkodzić, gdyby ją pominął. Mrs. Stanley Walasiewicz reprezentowała potężne wpływy swego męża, głównego akcjonariusza wielkiej fabryki konserw w Chicago. Miss Dodge była córką kongresmana, miała olbrzymi biust i bary jak angielski policjant z Piccadilly Circus. Którą wybrać?... Poradziłem mu, żeby nie wybierał: na Batorym mogły być przecież nawet trzy „królowe”. Ta rada wydała mu się nawet niezła, ale natychmiast wyłoniła się nowa trudność: w jakiej kolejności wymienić ich nazwiska?...

Powiedziałem, że według alfabetu, lecz pokręcił głową. Córka kongresmana była panną, nie można było dawać jej pierwszeństwa przed mężatkami...

Zostawiłem go wśród tych kłopotów, bo sam miałem poważniejsze: pogoda była fatalna, mgła wisiała nad morzem przez dwadzieścia godzin na dobę, a my musieliśmy przybyć do Southampton punktualnie.

Większą część drogi do tego portu spędziłem na pomoście nawigacyjnym i gdy w pobliżu Spithead wzięliśmy pilota, który miał nas przeprowadzić przez zatokę, ledwie trzymałem się na nogach.

W czasie krótkiego postoju w Southampton spałem zaledwie parę godzin, po czym, koło północy, trzeba było dopilnować wyjścia w morze. Nazajutrz pogoda nieco się poprawiła, ale znów miałem mnóstwo roboty i dopiero po południu poszedłem do swojej kajuty, żeby wreszcie odpocząć. Łudziłem się, że kapitan tym razem zwolni mnie od udziału w reprezentacyjnym obiedzie, ale ta nadzieja zawiodła. Ledwie zamknąłem oczy, zjawił się w drzwiach wyświeżony, pachnący wodą kolońską, w olśniewająco białym, nakrochmalonym kołnierzyku i wyprasowanym nowym mundurze, błyskając złotymi galonami na rękawach i takimiz zębami w górnej szczęce. Był trochę obrażony i natychmiast rozpoczął atak, zmierzający zresztą do zawarcia ze mną ugody. „Nie chcesz pan już znać swojego starego kapitana - powiedział nieco płaczliwym tonem, kiwając głową. - Przez cały dzień nie raczyłeś pan do mnie zajrzeć. Mogłem nawet umrzeć, a pan byś się o to nie zatroszczył... No cóż, trudno: nie chciałeś pan przyjść do mnie, to ja, stary, przyszedłem do pana. Masz pan tam jaką brandy albo whisky? Bo mi strasznie w gardle zasycha...”

Wstałem, żeby go poczęstować i oczywiście sam też musiałem z nim wypić, po czym

oświadczył, że nie wyjdzie stąd beze mnie, więc żebym się ubierał, i to prędko. „Na statku pasażerskim obowiązki towarzyskie należą do zajęć służbowych” dodał, posługując się swoim zdumiewającym stylem.

Cóż było robić? Ubrałem się, aby uczynić zadość tej niezbyt logicznej tezie i we dwóch pod ramię wkroczyliśmy do jadalni pierwszej klasy. Zostałem oficjalnie przedstawiony pasażerom przybyłym w Southampton, złożyłem trzy pocałunki na rękach ministrowej R., pani Walasiewicz i panny Dodge, skłoniłem się głęboko księdzu biskupowi i zasiadłem za kapitańskim stołem.

Podano przekąski i wódki, potem jakąś zupę, potem ryby i pieczyście. Rozmawiałem po angielsku z miss Dodge, która po polsku mówiła słabo, i spoglądałem w fiołkowe oczy pani ministrowej, która uwodziła biskupa, ale uśmiechała się zachęcająco także do mnie. Obie zresztą były nudne i dość ograniczone. Pani R. opowiadała stare dowcipy, panna Dodge wypytywała mnie, kogo przedstawiają portrety wiszące na ścianie obok naszego stołu i ustawicznie myliła Rydza-Śmigłego z Mościckim czy też ze Sławkiem. Co się tyczy mrs. Walasiewicz, to nie było z nią kłopotu, bo przez cały czas pochłaniała ogromne ilości jadła i trunków, co z kolei całkowicie pochłaniało jej uwagę. Tak dotrwaliśmy do indyka z borówkami, przy czym stewardzi napełnili kielichy rubinowym burgundem. Wtedy po raz pierwszy (ale nie ostatni) dane mi było zapoznać się z krasomówstwem mego kapitana.

Już od paru minut zauważyłem, że nos mu czerwienieje, a na wysokie czoło występują krople potu. Ruszał przy tym wąsiskami i straszliwie marszczył brwi rozglądając się po sali, jakby w poszukiwaniu ofiary, którą zamierzał schrupać zamiast indyczej nogi spoczywającej przed nim na talerzu wśród wzgórz borówek i frytek. Nagle wstał, ujął łyżeczkę i energicznie zadzwonił w szklankę od wody mineralnej. Raz, drugi, trzeci! Gwar przycichł, wszyscy spoglądali ku nam, a on zadzwonił jeszcze, dłużej i donośniej, jakby chcąc zagłuszyć szmer powstały wskutek odsuwania krzeseł przez tych, którzy odwracali się, aby go lepiej widzieć. Wreszcie, gdy już nic nie mąciło napiętej ciszy, ogarnął władczym spojrzeniem biesiadników, stewardów, stoły, ściany i sufit, po czym przenosząc kolejno wzrok na osoby, do których się zwracał, zagrzmiął potężnym głosem:

„Przewielebny księżę biskupie, kapelanie morski, zastępco Chrystusa Pana tu, na tym pokładzie! My queens, pani ministrowo R., mrs. Stanley Walasiewicz i miss Mary Dodge! Moi kochani panowie oficerowie! Piękne panie (tu wznosił oczy ku sufitowi przybierając na twarz wyraz nieopisanej błogości), cudowny bukietcie kwiatów tak starannie pielęgnowanych na tym wspaniałym statku-pałacu pływającym, i moi kochani pasażerowie!” Skłonił się dokoła, nabrał tchu i wypinając pierś mówił dalej: „Jeżeli Linia Gdynia - Ameryka pozwala nam powinszować was i podziękować was za to, że na tym pięknym pływającym statku-pałacu przysparzacie nam pracy i opieki, to, proszę kochanych państwa, jest to zaszczyt jedności i miłości Boga!”

Wygłosiwszy to zdumiewające zdanie, łypnął ku mnie swymi okrągłymi oczyma, z widocznym zadowoleniem i dumą podkreślił węża i zwracając się to na lewo, to na prawo, zadudnił, wytrzymując pauzy:

„Wy - moja kochana załogo, wy - panowie oficerowie, wy - marynarze, stewardzi, strażacy, stewardesy i wy - innej płci! I ty - kochany mój dyrektorze Jacyniczu, i ty - dostojna ściano z portretami naszych wodzów, i ja - Kapitan Siedmiu Mórz, jesteśmy szczęśliwi, że

możemy was, kochani pasażerowie, przewieźć wygodnie i bezpiecznie z powrotem ze starego do nowego kraju!”

Na sali rozległ się szmer uznania, obfite łono miss Dodge zafalowało wzruszeniem jak Zatoka Biskajska podczas sztormu, mrs. Walasiewicz oderwała wzrok od talerza z indyczą piersią i uśmiechnęła się rzewnie, a pani ministrowa trąciła kolanem biskupa, który miał łzy w oczach. Tymczasem Kapitan Siedmiu Mórz przechodził sam siebie. Głos jego podnosił się i opadał, zdania toczyły się coraz wspanialsze i coraz bardziej pozbawione sensu, a dramatyczne pauzy wywoływały dreszcz wśród oczarowanych słuchaczy. On zaś, upojony własną retoryką, tokował jak głuszcę na wiosnę, póki przypadkiem nie spotkał mego zdumionego spojrzenia. Musiałem mieć niesłychanie głupią minę, bo utknął na chwilę, a potem z wyrazem politowania potrząsnął głową i zaraz znów zwrócił się ku sali.

„Bóg i ojczyzna patrzają na nas! - zawołał i natychmiast uzasadnił to twierdzenie: - Bo jeśli kula ziemiska w dwóch trzecich jest pokryta wodą, a tylko w jednej trzeciej lądem, to przecież żaden z kapitanów na tych wszystkich oceanach nie może być tak szczęśliwy jak ja, ponieważ żaden nie ma tak pięknego bukietu pięknych pań, jak właśnie ja, Captain of Seven Seas!”

Sypnęły się brawa, miss Dodge ścisnęła mnie za rękę i szepnęła: „He is wonderfull”, biskup wycierał nos... Gdy ten gwar ucichł, mówca ujął kielich i przystąpił do finału. „W imieniu mego kochanego rządu i mego ukochanego zarządu Linii Gdynia-Ameryka składam wam, kochani pasażerowie i wszyscy wymienieni, serdeczne życzenia wesolej zabawy podczas podróży na tym pływającym statku-pałacu, który pod opieką Boga i naszej bandery świadczy o mocarstwowym stanowisku Rzeczypospolitej w drodze błękitnej wstęgi Atlantyku. Niech żyje!”

Nie wiedziałem, kto mianowicie ma żyć, ale wrzeszczałem wraz z innymi i biłem brawo, aż trzeszczało. Mój zapal tak go ujął, że wstał i obszedł stół dookoła, żeby trącić się ze mną kielichem, po czym przycisnął mnie do piersi lub, ściślej mówiąc, do brzucha, bo głową nie sięgałem mu nawet ramion. Ten gest wywołał nową burzę oklasków, po której w podniosłym nastroju spożyliśmy indyka, deser i kawę. Była już noc, gdy zaczął się dansing. Przewidywałem, że nie wymigam się od przetańczenia przynajmniej po jednym fokstrocie z każdą „królową”, lecz niespodzianie przyszedł mi w sukurs ksiądz biskup. Nie tańczył, rzecz prosta, tylko czuł się nieszczególnie, może z powodu dość silnego kołysania się statku, a może dlatego, że wypił sporo i był senny. Trzeba było odprowadzić go do kajuty. Skorzystałem z tego i zaofiarowałem mu się na przewodnika, a następnie wyszedłem na pokład, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, Rzeźwy, chłodny wiatr przejął mnie na wskroś. Morze szumiało długą, atlantycką falą, a statek kołysał się miarowo pod niebem, po którym płynęły gęste obłoki. Nie zanosilo się na sztorm, ale postanowiłem zajrzeć do sterowni, żeby mieć czyste sumienie.

Wachtę pełnił trzeci oficer, Wojdyło. Poinformował mnie, gdzie jesteśmy i jaką mamy prędkość, po czym dodał, że nasz radiotelegrafista przejął depezę o pojawieniu się kilku czy nawet kilkunastu gór lodowych na południowy zachód od Islandii.

Nie przejąłem się tym ostrzeżeniem, bo nie mogło ono dotyczyć naszej trasy: południowe wybrzeża Islandii nie sięgają nawet sześćdziesiątego trzeciego równoleżnika, a my nie mieliśmy przekroczyć pięćdziesięciu stopni szerokości północnej. Powiedziałem to Wojdyłe, który zgodził się ze mną, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, jakkolwiek owe

góry dość szybko spływają ku południowi. Według ostrzeżenia, były widziane przez załogi kutrów rybackich na pozycji 59°30'N i 25° W. Rozmawialiśmy jeszcze o tym, gdy z mroku wyłoniła się potężna postać Torkowskiego. „Aha, tu pan uciekłeś - powiedział kładąc mi rękę na ramieniu. ^ Samego mnie pan zostawiłeś... To nieładnie. Ale obowiązek przede wszystkim - westchnął, No co, panie Wojdyło?”

Wojdyło zameldował mu o stanie *rzeczy* i znów wspomniał o ostrzeżeniu przed górami lodowymi, podając ich pozycję. Torkowski uśmiechnął się, pogładził łysinę i ujął mnie pod rękę. „Właściwie powinieneś pan iść spać - oświadczył ni z tego, ni z owego. - Chodźmy”.

Pozwoliłem uprowadzić się z pomostu, ale podejrzewałem, że Captain of Seven Seas nie puści mnie tak łatwo. Jakoż, pod pozorem, że musi jeszcze ze mną załatwić jakąś pilną sprawę, zaciągnął mnie do swojej kajuty i zadzwonił na stewarda. „Nie będę już nic pił, panie kapitanie” powiedziałem stanowczo. „Słusznie - odrzekł. - Na dzisiaj dosyć. Nie będziemy pili, ale musimy jeszcze zrobić coś niecoś dla dobra GAL-u. Ma pan płaszcz sztormowy?”

Nie zdążyłem odpowiedzieć na to nieoczekiwane pytanie, gdy zjawił się steward, który nas zwykle obsługiwał. Torkowski kazał mu przynieść płaszcz nieprzemakalny i gumowe buty z mojej kajuty, po czym zakomenderował: „Ubieraj się pan!” Nie pytałem po co, bo nie było warto. Wciągnąłem buty i płaszcz, zapiąłem ceratowy kaptur pod szyją i czekałem, aż mój zwierzchnik upora się ze swoim ekwipunkiem. Gdy tego dokonał, musiałem przyznać w duchu, że wygląda imponująco: jeśli nie jak sam Neptun, to przynajmniej jak pierwszy jego zastępca.

„Chodź pan do łazienki - rozkazał. - A pan, panie Siemieniec - zwrócił się do oniemiałego stewarda - weź no pan wiadro i oblej pan porządnie kapitana Demarta i mnie”. Siemieniec tyleż zrozumiał z tego wariackiego postępowania, co i ja, ale - idąc za moim przykładem - posłusznie wykonał, co mu kazano. Strumienie wody spływały po nas i rozlewały się po podłodze, gdy szliśmy przez kapitański salon i puste korytarze do sali dansingowej, gdzie kilkadziesiąt par tańczyło przy dźwiękach jazz-bandu. Weszliśmy tam i stanęliśmy obok orkiestry, która umilkła na nasz widok, jak nożem ciął. Kilka kobiet pisnęło ze strachu, zobaczyłem pobladłe twarze mężczyzn, oczy rozszerzone lękiem, zdumione spojrzenia. Wydało mi się, że wśród ciszy, która nagle zaległa, czai się panika, że lada chwila buchnie krzyk, wrzawa, rozlegną się spazmy i tłum w dzikim popłochu rzuci się do wyjścia. Przeleciało mi przez głowę, że Torkowski naprawdę zwariował, a ja - jego zastępca - biorę udział w tym wybryku szaleńca... Spojrzałem na niego przerażony tą myślą i już niemal otwierałem usta, żeby zawołać, że to tylko niemądry żart, gdy mnie uprzedził. Uniósł dłoń w górę gestem cyrkowego akrobata, który wykonał efektowny numer programu i czeka na aplauz publiczności, uśmiechnął się ukazując garnitur złotych zębów i powiedział: „Bawcie się dalej, moi kochani pasażerowie. Bawcie się wesoło, bo wasz kapitan i pierwszy oficer stoją na straży waszego bezpieczeństwa. Nic wam nie grozi na tym pływającym statku-pałacu, który zwycięża wichry i burze. Orkiestra - grać! My wracamy na posterunek!”

Przez chwilę zwątpiłem, czy uda się nam wrócić, taki entuzjazm ogarnął podchmielonych pasażerów. Mrs. Walasiewicz i miss Dodge zawisły u ramion bohaterskiego kapitana, a trzecia „królowa” dosłownie wzięła mnie za kark w celach choreograficznych. Pewnie bym uległ temu atakowi, gdyby nie gumowe buciska i ociekający wodą płaszcz, które nie sprzyjały

popisom tanecznym. Pani ministrowa też chyba doszła do wniosku, że szkoda wieczorowej sukni, bo pozwoliła porwać się w płasy mniej wilgotnemu ode mnie oficerowi nawigacyjnemu, który miał wolną wachtę. Drugi mechanik zaatakował tymczasem pannę Dodge, a mrs. Stanley Walasiewicz opuściła Torkowskiego dla jakiegoś wątlego bruneta w rogowych okularach. Dzięki tej odsieczyci zdołaliśmy się wycofać.

Kapitan sapał i pomrukiwał, bardzo z siebie zadowolony, a ja idąc za nim zadawałem sobie w duchu pytanie, czy na tę noc zrobiliśmy już dosyć dla dobra GAL-u i kiedy wreszcie będę mógł się przespać. Okazało się, że jeszcze nie zaraz, ponieważ Linia Gdynia-Ameryka spodziewa się więcej od swoich oficerów... Gdy mijaliśmy skrzyżowanie korytarza, za którym były pomieszczenia oficerskie, Torkowski zatrzymał się nagle i chwyciwszy mnie za rękaw szepnął: „Czekaj pan. Góry lodowe!” „Góry lodowe? - powtórzyłem zdziwiony. - Góry lodowe są o sześćset pięćdziesiąt mil na północ od naszego kursu, panie kapitanie...” „To nic nie szkodzi - odrzekł niecierpliwie. - Gdzie pan odprowadziłeś biskupa?”

Zdażyłem już przywyknąć do jego nieoczekiwanych pytań, więc bez namysłu wskazałem mu kajutę, którą zajmował wysłannik kurii, on zaś energicznie zapukał do drzwi i usunął się nieco, po czym, łypnąwszy oczyma na prawo i na lewo, przybrał korną postawę dobrego chrześcijanina składając dłonie jak do modlitwy.

Ksiądz biskup nie od razu nam otworzył, zapewne już spał. Dopiero na powtórne pukanie drzwi uchyliły się nieco i ukazała się spoza nich jego biała, nalana twarz z frędzlem szlafmicy dyndającym nad uchem. Dostojnik kościoła w długiej nocnej koszuli, na pół tylko obudzony, mrugał obrzękłymi powiekami trzymając się kurczowo framugi, aby zachować równowagę na rozkołysanym pokładzie. „Co się stało?” zapytał. Zastępca Neptuna dramatycznym gestem rozłożył ramiona i runął przed nim na kolana. „Księżu biskupie, kapelanie morski! - zawołał. - Pobłogosław mnie i ten statek, bo tylko moc boska może nas uratować! Burza szaleje, mgła dokoła, a na naszej drodze góry lodowe...”

„Kapelan morski” przeraził się nie na żarty i omal nie zemdłał, ale pojawiwszy, że nasze losy zależą teraz wyłącznie od jego fachowego wstawiennictwa u opatrności, natychmiast zabrał się do dzieła. Łacińskie słowa posypały się z jego zbielejących warg, a wypielegnowana dłoń spoczęła na łysinie Kapitana Siedmiu Mórz i... kołysanie statku znacznie złagodniało!

„Burza ucicha - szepnął Torkowski, a głos drżał mu wzruszeniem. - Burza ucicha - powtórzył głośniejszym głosem, żeby ksiądz na pewno usłyszał. - Chodźmy, kapitanie - zwrócił się do mnie. - A ty, czcigodny księżu biskupie, módl się za nami”. Powstał, przeżegnał się, podkręcił wąsa i gdy minęliśmy zakręt korytarza, powiedział ujmując mnie pod ramię: „Ucz się pan ode mnie. Na statku pasażerskim nie wystarczy być marynarzem. Trzeba być politykiem i artystą!”

- Nie zdawałem sobie sprawy ze znaczenia tych słów - ciągnął dalej kapitan Demart, podczas gdy gospodarz dolewał nam kawy. - Nie chciało mi się o tym wszystkim myśleć i dopiero później odkryłem, na czym polegała „polityka” Torkowskiego i jego „artyzm”. Na razie wzruszyłem ramionami i poszedłem spać.

O świcie, na krótko przed wschodem słońca obudził mnie marynarz z wachty służbowej. „Komendant prosi, żeby pan kapitan zaraz przyszedł do sterowni”. „Bo co się stało?” spytałem. „Stać, to się nic nie stało - odrzekł - tylko mgła taka, że nic nie widać”.

Ubrałem się i poszedłem na pomost. Była prawie zupełna cisza i tylko od czasu do

czasu lekki powiew przeciągał to z lewej, to znów z prawej burty. Mgła istotnie leżała nisko nad morzem, kłębiła się i falowała jak gęsta zasłona z tiulu, lecz w górze błękitniało i różowiło się jasne niebo. Pomyślałem, że słońce poradzi sobie z tym w ciągu godziny i uspokojony zapytałem oficera wachtowego, gdzie jest kapitan. „Na prawym skrzydle - odrzekł. - Czeka na pana”.

Zastałem go tam istotnie, ze szklami przy oczach. „Wyspałeś się pan? - spytał nie odkładając lornety, i nie czekając na moją odpowiedź po omacku sięgnął ręką za siebie, aby mnie ująć za ramię. - Patrz pan tam, pół rumba w prawo. Widzisz pan co? - Wyteżyłem wzrok patrząc we wskazanym kierunku. - Coś się tam błyska” dodał niepewnie. W tej chwili mgła uniosła się nieco pod tchnieniem zabłąkanego powiewu, a pierwszy promień słońca wstającego za nami prześliznął się pomiędzy jej strzępami i nagle... „Ster lewo na burtę!” wrzasnąłem w stronę sterowni. „Lewo na burtę” powtórzył sterujący marynarz. „Zwariowałeś pan?! - huknął mi nad uchem kapitan. - Co u diabła...” „Niech pan patrzy - przerwałem. - Tam!” Umilkł i tylko ścisnął mi ramię jak w kleszczach. Patrzyliśmy obaj: biaława, lekko zaróżowiona olbrzymia zjawa przesuwiała się przed nami połyskując raz po raz odbiciem słońca. Była kilkakrotnie wyższa od Batorego, ale dopiero gdy dziób statku ją wyminął, tak że została z prawej burty, mogliśmy podziwiać jej ogrom. Wznosiła się przed nami jak katedra z białego marmuru i kryształu. Wiało od niej chłodem, aż szyby sterowni pokryły się kropelkami wilgoci. Musiała mieć ze trzysta metrów średnicy na linii wodnej i co najmniej tyle samo zanurzała się pod powierzchnię morza. Gdybyśmy się z nią zderzyli przy pełnej prędkości - no, możecie sobie wyobrazić, co by się działo...

- Diabli wiedzą, skąd się wzięła akurat na naszej drodze - mówił dalej Demart odstawwszy filiżankę i zapalając nowego papierosa. - W każdym razie nie mogła należeć do grupy tych, o których ostrzegały islandzkie stacje radiowe, bo żaden prąd nie płynie z taką prędkością. Zapewne minęła Islandię o wiele wcześniej, wcale nie zauważona. Co się tyczy kapitana, to stracił humor na całą godzinę i naturalnie kazał zmniejszyć prędkość oraz przedsięwziął wszelkie środki ostrożności konieczne w takich okolicznościach. Ale gdy widoczność się poprawiła, a na spokojnym morzu nie ukazywało się nic podejrzanego, obaj niemal zaczęliśmy wątpić, czy to, co ujrzeliśmy o świcie, było rzeczywistością...

Gdyby nie świadectwo sternika, oficera wachtowego i kilkunastu marynarzy, uwierzyłbym, że mi się to wszystko przywidziało...

Koło jedenastej zszedłem do bufetu, żeby coś przekąsić. Zastałem tam zaledwie kilku pasażerów, a między innymi panią Walasiewicz z jej wymokłym brunetem. Rozmawiano o nocnej „burzy”, której przebieg opisał „kapelan morski” podczas kazania w okrętowej kaplicy (była niedziela). Zdaniem mrs. Walasiewicz było to bardzo piękne kazanie, a cud, którego dokonał dostojny duszpasterz, uspakajając rozpetane żywioły na prośbę naszego kapitana, powinien był nawrócić nawet najbardziej zatwardziały niedowiarków, jakich dziś spotyka się na każdym kroku. To ostatnie zdanie było - jak mi się wydało - pociskiem wymierzonym wprost w bladoliciego bruneta, który ironicznie połyskiwał szklami okularów, wyrażając mniemanie, że wielebny ksiądz biskup nieco przesadził. Zaczęto się sprzeczać o tę „burzę”, przy czym niektórzy z obecnych przyznali się do przebytej choroby morskiej, co ich zdaniem było wystarczającym dowodem straszliwego sztormu. „Ale lodowych gór nie było”, upierał się sceptyczny brunet.

Chciałem się wynieść cichaczem, żeby uniknąć ambarasujących pytań w tej materii, ale pani Walasiewicz właśnie mnie dostrzegła, więc musiałem odpowiadać jako naoczny świadek i zgodnie z prawdą zeznałem, że o wschodzie słońca minęliśmy górę lodową, którą w sam czas dostrzegł nieoceniony Kapitan Siedmiu Mórz.

- I oto, moi drodzy, morał tej opowieści - powiedział kapitan Demart wyciągając dłoń pod światło lampy, jakby nam chciał pokazać ów „morał” wśród pięciu rozstawionych palców. - Oto tajemnica, w jaki sposób Torkowski zdobył sobie niegdyś opinię najlepszego z kapitanów Linii Gdynia-Ameryka. Nie umiał przecież więcej niż inni, nie był ani bardziej sumienny, ani bystrzejszy. Był raczej ograniczony, ale za to sprytny. No i... w sam raz pasował do ówczesnych dygnitarzy oraz do tych wypchanych dolarami kołtunów, którzy jeździli tam i z powrotem przez Atlantyki. Biskup, który za jego sprawą dokonał cudu, pasażerowie, których ocaliła jego przezorność i wytrwałość, „królowe” z jego nominacji, które uważały się za najponętniejsze z kobiet, nie mówiąc już o raportach z podróży, w których spotykało się takie czyny, jak uratowanie statku przed zderzeniem z górą lodową!

- Cóż się teraz dzieje z tym genialnym człowiekiem? - zapytałem, gdy Demart skończył i zapadło milczenie. - O ile wiem, nie dowodzi żadnym z naszych statków.

- Ja myślę - mruknął inżynier, który dotychczas nie odzywał się wcale.

- Co się z nim dzieje? - powtórzył Demart. - Opowiadał mi ktoś wiosną czterdziestego pierwszego na Morzu Śródziemnym, że Torkowski zaraz po wybuchu wojny zaofiarował Batorę (i swoje usługi, jako kapitana, oczywiście) rządowi Stanów Zjednoczonych. Ale to już zupełnie inna historia. W każdym razie wtrąciła się w tę sprawę ambasada polska w Waszyngtonie i Kapitan Siedmiu Mórz stracił dowództwo. Podobno przez pewien czas dowodził jakimś amerykańskim transportowcem, ale podziękowano mu wkrótce, bo o każdej podróży i dacie jej rozpoczęcia wiedzieli wszyscy jego znajomi. Zastępca Neptuna zapraszał ich na statek, aby się z nimi pożegnać i podejmował ich w swoim salonie kapitańskim, nie bacząc na zachowanie tajemnicy wojennej. Ostatecznie założył sklep z dewocjonaliami w Nowym Jorku.

- I nieźle mu się powodzi - dodał dyrektor Calikowski. - Co prawda przyjaciele i znajomi sprzed wojny nie poznają go teraz, bo stracił dawne znaczenie, ale ma innych, którym opowiada o dniach minionej chwały.

W tej chwili z oddali doszedł nas basowy ryk syreny okrętowej. Spojrzeliśmy ku morzu. U wyjścia z portu ukazał się duży, jasno oświetlony statek o siedmiu pokładach i dwóch kominach.

- Batory wychodzi w morze - powiedział Demart. - To dzieci polskich górników z Francji wracają do Cherbourga po wakacjach w Polsce.

Zakopane 1954

Niezwykła awaria s/s Kastora

Piękny, nowoczesny, olśniewająco biały motorowiec z szerokim zielonym pasem na kominie wszedł do basenu przy pomocy małego holownika, który spychał go ku nabrzeżu, dymiąc i sapiąc z wysiłku. Z wyniosłego dziobu i z rufy śmignęły rzutki, jak dwa węże wyskakujące na brzeg, wprost do rąk cumowników, za nimi zaś popęzły spieszenie stalowe liny zaplecione u końców w pętle i po chwili zwisły luźno na żelaznych polerach. Oficer z tubą przy ustach krzyknął coś do załogi holownika, który nagle przestał młócić wodę, natomiast na motorowcu ruszyły windy i cumy zaczęły się podnosić, aż wyprężyły się skośnie, a wysoka biała burta statku, obwieszona odbijaczami, dotknęła betonowej ściany basenu.

Na brzegu tłum, w większości złożony z kobiet i dzieci, drgnął, zafalował, zakłębił się jak pod wpływem pełnego wirów prądu, który go przeniknął w tej chwili, i parł naprzód, ku trapom przerzuconym z dolnego pokładu. Rodziny marynarzy cisnęły się na statek, ludzie szukali się wzrokiem, nawoływali po imieniu, śmieli się, pozdrawiali gestami, jak zwykle po długim rozstaniu.

Stałem nieco dalej, za owym tłumem, czekając na dyrektora Calikowskiego, który miał przyjechać z miasta, aby odebrać od kapitana jakieś pilne raporty i pocztę. Przy okazji chciałem też przywitać się na statku ze znajomym lekarzem i oddać mu listy od jego matki i żony, o co mnie proszono w Warszawie.

Dyrektor się spóźnił, a ponieważ miał dla mnie przepustkę, nie mogłem dostać się na pokład bez niego. Tymczasem prawie wszyscy już tam weszli, a na brzeg zaczęli schodzić nieliczni pasażerowie po odprawie celnej. Było ich zaledwie kilkunastu, ponieważ statek miał niewiele kajut pasażerskich. Jego ładunek stanowiły głównie owoce, wina i drobnica oraz trochę bawełny w belach. Grupka przybyłych przeszła poza mną i skierowała się do oczekującego autobusu, który zaraz potem odjechał.

Wtedy zauważyłem, że prócz mnie czeka tu na kogoś młoda kobieta o niezwyklej urodzie. Podobnie jak ja, przechadzała się tam i z powrotem wzdłuż nabrzeża, z dala od statku, przystając od czasu do czasu i spoglądając w górę na jego kształtną, wysoko wzniesioną sterownię, która przypominała podany naprzód tors posągu wykutego w marmurze. Ale w oknach sterowni i na skrzydłach pomostu nie było nikogo widać; piękna dziewczyna opuszczała głowę, jakby zawiedziona, i szła dalej, aby po chwili zawrócić i znów przystanąć.

Dwa czy trzy razy wyminąłem ją, gdy się zatrzymywała, nie udało mi się jednak spostrzec jej wzroku; była zajęta własnymi myślami i z pewnością wcale nie dostrzegła mego zainteresowania. Miała wspaniałe jasnozłote włosy, cerę jak dojrzała brzoskwinia i ładne, dość pełne usta. Letnia sukienka w kwiaty trzepotała na wietrze, który owijał barwną tkaninę dokoła wysmukłych, zgrabnych nóg dziewczyny obutych w czerwone sandały. W rękę trzymała duży słomkowy kapelusz z czerwoną wstążką.

Ten kapelusz i wiatr sprzymierzyły się, aby mi pomóc: dzięki nim zobaczyłem jej oczy, które były zielone jak morze nad jasnym, piaszczystym dnem.

Odbyło się to w sposób prosty i w czasie bardzo krótkim. Wiatr powiał nagle z innego kierunku, a kapelusz potoczył się w moją stronę, co pozwoliło mi pochwycić go, kiedy mnie mijał.

Powiedziała „Dziękuję”, uśmiechnęła się i... nadjechał samochód dyrektora.

Teraz! - pomyślałem zniecierpliwiony. Wolałbym, żeby się spóźnił jeszcze o kwadrans; dowiedziałbym się przynajmniej, kim jest ta urzekająca piękność i na kogo czeka.

Ale i tak się dowiedziałem.

Dyrektor wysiadł, lub raczej wytoczył się z wozu, spojrzął na nas ponad szklami okularów i powiedział:

- Dzień dobry, pani Marysiu. Mąż jeszcze na pokładzie?

Pani... Mąż... No, trudno - pomyślałem zrezygnowany. - Skoro mąż...

Ukloniłem się, otrzymałem jeszcze jeden uśmiech i spojrzenie zielonych oczu i poszliśmy z dyrektorem na statek.

- Kto to jest? - spytałem wchodząc na trap.

Dyrektor rzucił mi ironiczne spojrzenie.

- Marysia? Żona radiooficera Ślęzaka. Ładna, co?

- Ładna - potwierdziłem, robiąc obojętną minę.

- Zakochana w tym chłopcu... no! - pokiwał głową i znów spojrzął na mnie zezem.

Nie odezwałem się, ale irytowały mnie te znaczące spojrzenia.

- Ona zatopiła Kastora - rzucił dyrektor w powietrze, wprost przed siebie, nie patrząc tym razem na mnie.

- Co zrobiła?! - spytałem zdumiony.

- Zatopiła holownik. S/s Kastor. W Szczecinie, w zeszłym roku - sprecyzował.

- No, wie pan! - roześmiałem się. - Wcale na to nie wygląda. Jak zdołała tego dokonać?

- Przypadkiem - odrzekł. - Opowiem to panu później - dodał spiesźnie, zniżając głos. - To jest jej mąż.

Ostatnie zdanie dotyczyło dwumetrowego dryblasa o chudej, gładko wygolonej, trochę zbójcekiej gębie i dziecinnych niebieskich oczach, który szedł w stronę trapu. Z chmurą na szerokim czole patrzył na brzeg, szukając wzrokiem swej pięknej żony, jakby ją zamierzał natychmiast zamordować, i omal nas nie stratował w wąskim przejściu między poręczami. Zobaczywszy Calikowskiego, cofnął się o pół kroku i wymamrotał jakieś przeproszenie, po czym dopiero oprzytomniał całkowicie, zasalutował i przywitał go z uśmiechem zakłopotania, który od razu zmienił rysy tej posępnej twarzy, nadając jej zgoła inny, szczerzy i sympatyczny wyraz.

Dyrektor przedstawił mnie, a Ślęzak zamknął moją dłoń w swojej potężnej, twardej łapie jak w żelaznym imadle i potrząsnął nią tak, że omal nie podskoczyłem. Oświadczył przy tym, że czytał to i owo, „właściwie chyba wszystko” i że „bardzo! bardzo!... No i w ogóle, taki zaszczyt...”

Przyjąłem to jako komplement, ponieważ patrzył mi prosto w oczy tym swoim szczerym, dziecinnym spojrzeniem i uśmiechał się nadal, coraz bardziej zmieszany, nie umiejąc wypowiedzieć się jaśniej.

- Żona czeka na pana - powiedziałem, gdy mi wreszcie przestał miażdżyć rękę. - Wdzieliśmy ją na nabrzeżu.

- Czekaj? - ucieszył się. - Nie chce teraz wejść na żaden statek - powiedział do Calikowskiego, jakby ją przed nim usprawiedliwiał. - Nie może zapomnieć...

Twarz znów mu stężała, padł na nią cień.

- Pan też się zanadto tym przejmuję - zauważył dyrektor. - Izba Morska orzekła, że nikt nie ponosi winy, więc...

- Orzekła dzięki panu - przerwał porywczo Ślęzak.

- Wcale nie - zaprzeczył Calikowski. - Zresztą to sprawa przesądzona. Nie będziemy jej ponownie roztrząsać. Niechże pan idzie do żony. Czeka tam od godziny i pewnie się niecierpliwi. Dostanie pan burę, a potem pan powie, że to ja pana zatrzymałem.

Ślęzak roześmiał się.

- To by mi wybaczyła - odrzekł. - I panu dyrektorowi także.

Uściskał nam kolejno dłonie, chwycił ciężką walizkę, uniósł ją bez najmniejszego wysiłku i odszedł wielkimi krokami, od których trap zdrzął i zadudnił.

- No, co? Podobał się panu? - spytał dyrektor.

Skinałem głową. Ślęzak istotnie mi się podobał z tego przelotnego spotkania. Zapewne można go było polubić, a już z całą pewnością musiał wywierać duże wrażenie na kobietach. Nie miałem wątpliwości, że Marysia, „która zatopiła holownik”, jest zakochana w tym Ali Babie.

Historia z holownikiem zaprzętała moją nie zaspokojoną ciekawość jeszcze przez dwie godziny, to jest do czasu, kiedy ją usłyszałem z ust dyrektora po obiedzie w opustoszałej jadalni statku. Tymczasem zdołałem uporać się z poleceniami i porozmawiać chwilę z doktorem, który musiał zaraz pojechać do szpitala, aby tam odtransportować jakiegoś chorego marynarza. Calikowski zaś przejrzał pocztę i ów pilny raport, co do którego wydał stosowne zarządzenia.

Dowiedziałem się na wstępie, że dyrektor zasiadał jako ławnik Izby Morskiej i stąd znał bardzo dokładnie przebieg owej niezwyklej sprawy. „Jedynej w swoim rodzaju w dziejach Polskiej Marynarki Handlowej”, jak mnie zapewnił. Dowiedziałem się również, że holownik Kastor zatonął w porcie szczecińskim, zupełnie nie uszkodzony, dnia dwudziestego drugiego września ubiegłego roku (to jest akurat w dniu imienin Tomasza Ślęzaka, który był jego radiotelegrafista) i że w dodatku była to rocznica zaręczyn Ślęzaka z jego obecną żoną, Marią Łobodzińską.

Maria pracowała podówczas w Szczecinie, we wzorowym sierocińcu, jako wykwalifikowana higienistka i wychowawczyni, a Tomasz Ślęzak od niedawna objął pierwsze samodzielne stanowisko na Kastorze.

Co się tyczy holownika, to należy on do PRO⁵⁶, a jego macierzystym portem jest Gdynia, lecz podówczas często zachodził do Szczecina po pontony i sprzęt ratowniczy.

Dyrektor Calikowski rozwodził się szeroko i szczegółowo nad danymi dotyczącymi s/ s Kastora. Był to dwustupięćdziesięcotonowy parowiec o wysokim dziobie i niskiej rufie, przy czym pod jego pokładem w części dziobowej mieściły się dwie kajuty: lewa - radiotelegrafisty, prawa - komendanta statku, kapitana Chmielewskiego. Każda z tych kajut miała po jednym iluminatorze poniżej szerokiej, wystającej listwy odbojowej, która przebiega wzdłuż całego kadłuba na metr ponad linią wodną. Wszystkie inne pomieszczenia pod pokładem przeznaczone dla ludzi, a także maszynownia i kotłownia były oświetlone przez skylighty,

⁵⁶ PRO - Polskie Ratownictwo Okrętowe, przedsiębiorstwo państwowe zajmujące się ratowaniem statków i podnoszeniem wraków.

a magazyny nie miały innego oświetlenia dziennego poza tym, jakie stwarzało otwarcie luków.

Do takich nie oświetlonych pomieszczeń należały dwie zasobnie węgla, zajmujące całą szerokość statku, otwierane z pokładu przy każdej burcie, co zawsze sprawiało pewne kłopoty z bunkrowaniem. Nie można było mianowicie napelnić od razu całej zasobni, bo statek mógłby się wywrócić. Ładowano więc z jednej burty koło dwudziestu ton, następnie Kastor odwracał się, stawał drugą burtą u nabrzeża, przyjmował czterdzieści pięć ton węgla do przeciwległej zasobni i znów wykonywał zwrot, aby uzupełnić zapas w pierwszej.

Przy takiej metodzie załadunku pochylał się znacznie to na jedną, to znów na drugą stronę, póki ciężar nie został wyrównany, a granicę dopuszczalnego przechyłu wskazywała listwa odbojowa, która przy jednostronnym obciążeniu dotykała powierzchni wody dolną krawędzią.

Owego dnia, dwudziestego drugiego września rano, Kastor zaszedł do portu, aby wziąć węgiel, i przycumował przy Wałach Chrobrego, a przed wieczorem miał wyruszyć do Gdyni. Kapitan zszedł na ląd i zwolnił część załogi, między innymi także Ślęzaka, który naturalnie pojechał prosto do narzeczonej. Na statku pozostał pierwszy oficer Bander, porucznik żeglugi wielkiej, młody, niezbyt jeszcze doświadczony, ale bardzo sumienny marynarz, drugi maszynista Dworecki, kucharz Ferko i kilku ludzi z załogi pokładowej, których rodziny wpuszczono na pokład, jak zwykle podczas krótszych postojów w Szczecinie.

Tymczasem Marysia, dowiedziawszy się poprzedniego dnia, że Kastor przybędzie z samego rana, zwolniła się z pracy i postanowiła zrobić narzeczonemu niespodziankę. Wstała wcześniej, kupiła trochę kwiatów i wyruszyła do portu, tak że minęli się ze Ślęzakiem w drodze. Na statku wszyscy ją znali, a kucharz Ferko kochał się w niej beznadziejnie, czego dowodem były między innymi przesolone potrawy, jak to zeznało kilku świadków. Ów Ferko, kawaler, którego w Szczecinie nikt nie odwiedzał, powitał piękną Marysię i powiadomił ją, że Ślęzak jest w mieście, ale z pewnością zostawił klucz od swojej kajuty na zwykłym miejscu, to jest na aparacie głośnikowym. Z wrodzoną galanterią znalazł ten klucz, otworzył przed nią drzwi i przyniósł wody do wazonika, aby mogła w nim ułożyć kwiaty. Wzdychał przy tym nader wymownie, ale zupełnie bezskutecznie, po czym odszedł do kuchni, aby przesolic kolejną zupę na obiad.

Marysia po raz pierwszy znalazła się w kajucie narzeczonego sama i - może dzięki jego nieobecności - zauważyła, że atmosfera tego pomieszczenia, w którym jej wybrany przebywa i zapewne marzy o bliskim już szczęściu małżeńskim, niezupełnie sprzyja takim właśnie marzeniom. Powietrze kajuty, przesycone dymem tytoniowym i przenikającym z pobliskiej kuchni zapachem smażonej cebuli, istotnie było duszne i w niczym nie przypominało świeżego powiewu szerokich mórz. Poza tym panował tam zapewne istic „kawalerski” porządek, choć akta sprawy szczegółowo o tym nie wspominają, a jedyną poszlakę stanowi bezsporny fakt, że „świadek Maria Łobodzińska” pożyczła od kucharza szczotkę do zamiatania i ścierkę do kurzu.

W każdym razie późniejsze śledztwo ustaliło, że po dwudziestu minutach Marysia wyszła z kajuty, zamknęła drzwi i odłożyła klucz z powrotem na miejsce, po czym powiedziała kucharzowi, że wraca do siebie i jeśli nie zostanie tam Tomasza, to będzie na niego czekała w domu.

Zastała go jednak: wartował na ulicy pod jej oknami z miną skazańca i wiechciem kwiatów pod pachą, jak przystało na stęsknionego narzeczonego w rocznicę zaręczyn. Przez jakąś godzinę boczyli się wzajemnie na siebie, lecz potem doszło do zgody, a po południu Ślęzak zaprowadził ją do swoich rodziców na obiad. Stamtąd miał pojechać już wprost na statek.

Mniej więcej o tej samej porze, lub niewiele później, porucznik Bander, zgodnie z otrzymanym uprzednio poleceniem, wydał rozkaz odcumowania, a gdy holownik odbił skierował go do Kanału Przemysłowego. Cały ten manewr trwał zaledwie czterdzieści minut, licząc w to założenie cum i dociągnięcie statku do nabrzeża stacji bunkrowej, przy której stanęli lewą burzą.

To nabrzeże jest dość wysokie, tak aby przy bunkrowaniu dużych statków transporter mógł być ustawiony pod niewielkim kątem. Lecz pokład holownika sięgał zaledwie trzech czwartych kamiennego obmurowania i tylko dziób wystawał nieco ponad nie, Banderowi zaś chodziło o to, żeby węgiel nie sypał się z wysoka, bo wówczas tumany pyłu osiadają nie tylko na pokładzie, ale dostają się również do pomieszczeń załogi. Dlatego sam wdrapał się z dziobu na brzeg, a na pokładzie zostawił drugiego maszynistę Dworeckiego; w ten sposób mogli obaj najlepiej dopilnować ustawiania transportera nad lukiem lewej zasobni.

Po tych przygotowaniach pierwszy oficer przeszedł jeszcze wzdłuż statku od dzioba do rufy, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku, a następnie zajrzał do dolnych pomieszczeń, z wyjątkiem obu kabin dziobowych, których drzwi zastał zamknięte.

Tymczasem ruszył transporter i bryły węgla zaczęły staczać się do zasobni z głośnym łoskotem i dudnieniem.

Bander słusznie obliczył, że załadunek pierwszych dwudziestu ton potrwa około pół godziny. Po upływie tego czasu wstrzymał bunkrowanie i stwierdził, że istotnie listwa odbojowa dotyka już powierzchni wody.

Jak dotąd, wszystko szło sprawnie, ale podczas przygotowań do zwrotu statku i przerwania transportera trzeba było odkręcić zawadzające wanty. Zanim dwaj marynarze pokładowi uporali się z tą robotą, Bander spostrzegł, że listwa odbojowa zanurzyła się do połowy swej szerokości, to jest na jakieś piętnaście centymetrów, a na pokład dostaje się przez szpiगतy woda. Pomyślał, że musiał się omylić: lewa zasobnia została zapewne nieco przeładowana albo też węgiel, pozostały jeszcze w prawej, przesypał się na lewo wskutek przechyłu.

Nie byłoby to groźne, gdyby holownik nie pochylał się coraz bardziej. Ale ten jego przechył wzrastał z każdą minutą, a woda lała się do wnętrza. Bander tak był tym zaniepokojony, że wstrzymał przygotowania do zwrotu i podzielił się swymi obawami z Dworeckim.

Drugi maszynista poradził mu, żeby przede wszystkim kazał zrzucić na brzeg zwal węgiel, jaki się utworzył przy lewej burcie pod transporterem, poza tym zaś wyraził przypuszczenie, że w kanałach zenzowych na dnie zebrało się dużo wody, która teraz spływa na lewą stronę, przyczyniając się do nadmiernego przechyłu.

Brzmiało to dość przekonująco. Bander wywołał ludzi na pokład i opanowując podniecenie, spokojnym głosem wydawał rozkazy, a Dworecki ze swoim pomocnikiem poszedł uruchomić pompę zenzową, która zaraz zaczęła działać.

Lecz gdy mimo wszystko Kastor przechylał się nadal, pierwszy oficer zrozumiał, że musi w tym tkwić inna jakaś przyczyna, której jednak nie umiał dociec. Po raz pierwszy

w życiu poczuł brzemień odpowiedzialności, jakie jest udziałem każdego dowódcy. A przecież otrzymał zaledwie drobną cząstkę owego dowództwa, o którym marzył, okrucich władzy, i to nie na morzu, lecz w basenie portowym, na kilka godzin postoju, pod chwilową nieobecność kapitana!

Pomyślał, że jeśli teraz nie poradzi sobie z tą zagadkową awarią, to raz na zawsze straci dobrą opinię, a w każdym razie na długo może się pożegnać z awansem.

Zaklął pod nosem. Nie czas było myśleć o awansie i o sobie: Kastor tonął! Tonął u nabrzeża! Nie uszkodzony! Nie wiadomo dlaczego!

- Wyobraża pan to sobie? - spytał dyrektor Calikowski błyskając ku mnie okularami. - Pewnie się pan domyśla, co zaszło, ale Bander nie mógł tego pojąć; najprostsze wyjaśnienie w ogóle nie przychodziło mu do głowy.

- Niech pan weźmie pod uwagę - dodał, jakby chcąc usprawiedliwić przede mną pierwszego oficera - że nawet nie widział Marysi, a przy tym Kastor, jak wspomniałem, stał przez cały czas lewą burtą u nabrzeża.

- Rozumiem - mruknąłem.

Byłem trochę zniecierpliwiony tym ciągłym podkreślaniami szczegółów, niemniej jednak dopiero teraz cała ta historia podziała na moją wyobraźnię. Ujrzałem ją tak, jakbym sam brał w niej udział; jakbym tam stał obok porucznika Bandera, który gubił się w domysłach w obliczu owej odpowiedzialności.

Nie zawadziliśmy przecież o nic w drodze od Wałów Chrobrego! - myślał. W basenach i kanałach nie ma już wraków. Więc co się stało?

- Co u diabła mogło się stać? - powiedział głośno. Spojrzał po ludziach, którzy stali beczynnie w oczekiwaniu na jego decyzję.

- Wy trzej - powiedział do pierwszych z brzegu - obejdziecie wszystkie pomieszczenia pod pokładem. Wszystkie - podkreślił. - Zasobnie także, τ , lewej i z prawej burty. Jeżeli któryś zauważy przeciek, zaraz mnie zawiadomić. Będę albo tu, na pokładzie, albo na pomoście.

- Aha! - przypomniał sobie. - Jeden z was wyprowadzi kobiety i dzieci i odstawi je na brzeg. Czyje rodziny są na statku, ręka do góry.

Uniosły się tylko dwie ręce. Większość gości zeszła już przed rozpoczęciem bunkrowania. Pozostały trzy kobiety i dwoje dzieci.

- No więc - zwrócił się Bander do jednego z marynarzy, który nadal trzymał dłoń wzniesioną nad głową - wy się tym zajmiecie, Żmuda. Już, ruszać się, ludzie! Reszta - przygotować pompę balastową. Wężę są w magazynie na dziobie. Pięć odcinków. Nie zapomnijcie o nakrętkach i sworzniach; powinny być w wiadrze obok wężów! - zawołał za nimi.

Potem podszedł do luku maszynowni i wywołał Dworeckiego, aby mu powtórzyć swoje zarządzenia co do pompy balastowej. Wtedy usłyszał płacz i krzyki dochodzące, jak mu się wydało, z głębi statku. f

Zbiegł do korytarza pod pokładem i wyniósł stamtąd zabłąkane dzieciaki, po czym spieszenie wrócił na dół. Z przeciwnej strony korytarza, od dzioba, napływała woda...

Namacał przełącznik i zapalił światło. Wtedy zobaczył, że woda sączy się przez zamknięte, lecz niezupełnie szczelne drzwi kajuty Ślęzaka. Nie wiedział, gdzie jest klucz, przypuszczał, że radiotelegrafista zabrał go z sobą, więc pobiegł po topór i wyłamawszy górną część drzwi, zajrzał do środka.

Panowała tam zupełna ciemność, tak że mógł tylko stwierdzić, iż woda przy ścianie burtowej sięga sufitu, a przy wewnętrznej - poziomowi klamki i że ciągle jej przybywa.

W tej chwili usłyszał, że na pokładzie wołają go po nazwisku, więc w kilku susach wypadł po schodach na górę.

Kobiety i dzieci były już na brzegu, a wśród nich stał blady jak ściana Tomasz Ślęzak i tarmosił przerażonego kucharza, chcąc widocznie dowiedzieć się od niego, co zaszło. Natomiast na pokładzie drugi maszynista pieklił się na marynarzy, którzy wydobyli węże z magazynu dziobowego, lecz nie zabrali wiadra z pakunkami i nakrętkami, skutkiem czego pompy balastowej nie można było uruchomić.

- Tam jest ponad metr wody! - odrzekł jeden z nich. - Sam diabeł tego wiadra teraz nie znajdzie.

Bander w duchu przyznał mu rację, a głośno zarządził zamknięcie luku. Potem zawołał na Ślęzaka, żeby wreszcie otworzył swoją zalaną kabinę.

Zeszli obaj na dół i Tomasz właśnie sięgał po klucz leżący na zwykłym miejscu, gdy wtem rozległ się przeciągły trask i pisk pękających desek, a następnie łoskot i szum wody, która wyważyła cienką ściankę oddzielającą kajutę od korytarza.

Obaj instynktownie cofnęli się ku schodom, w obawie, że woda odetnie im odwrót, lecz Ślęzak zdążył zauważyć otwarty iluminator. Natychmiast domyślił się, kto go otworzył: Marysia robiła tu porządki... To była ta „niespodzianka”, o której tajemniczo wspomniała przy pożegnaniu! Rozsypana wiązanka kwiatów, które płynęły teraz z prądem mijając schody, upewniła go w tym domyśle.

Nie zważając już na nic, rzucił się naprzód. Brnął w rwącym potoku wody po pas, po szyję, czepiając się sprzętów, spychany w tył, tracąc grunt pod nogami. Dopłynął do zewnętrznej ściany, ale nie mając żadnego oparcia, nie mógł zamknąć iluminatora. Woda wdzieriała się przez otwór, tryskała z taką siłą, jakby ją tłoczyła dwunasto-calowa pompa mechaniczna, a statek pochylał się coraz bardziej, skutkiem czego ciśnienie ustawicznie wzrastało.

Bander pobiegł na pokład, aby sprowadzić kilku ludzi do pomocy, ale wobec sytuacji, jaką tam zastał, zmienił ten zamiar. Pokład od strony nabrzeża był już częściowo zanurzony i woda lała się do zasobni bunkrowej z lewej burty; drewniane pacholki, do których statek został przycumowany; wyłaziły z gruntu pod jego ciężarem, a napięte liny cumownicze mogły lada chwila pęknąć.

- Zawołajcie Ślęzaka! - krzyknął do pierwszego napotkanego marynarza. - Niech wyjdzie na pokład, bo Kastor może się wywrócić.

Potem kazał zamknąć luki obu zasobni i wysłał Żmudę do biura stacji bunkrowej, aby zatelefonował stamtąd o pomoc do miejscowego oddziału PRO, gdzie, jak przypuszczał, powinien jeszcze znajdować się kapitan Chmielewski.

- Niech nam przyślą holownik ratowniczy - dodał. - Nasze pompy są niezdatne do użytku...

Dworecki i dwaj palacze ukazali się w drzwiach prowadzących do maszynowni. Z ich rozszerzonych oczu i pobladłych twarzy wyzierał strach. Widać było, że chcieliby jak najprędzej znaleźć się na lądzie.

Pierwszy oficer zastąpił im drogę.

- Dokąd?

Zawstydzili się.

- W maszynie jest już z pół metra wody - powiedział Dworecki. - Chlusnęło tak nagle, że myślałem...

- Zawory bezpieczeństwa otwarte? - przerwał mu Bander.

- Nie.

- I jakże to tak? Chcecie, żeby kocioł diabli wzięli? Chodźcie z powrotem!

Sam wszedł pierwszy i opuścił się w dół po żelaznych stopniach, a oni za nim. Dworecki otworzył zawór, para buchnęła z szumem i sykiem, a strzałka manometru zachwiała się i zaczęła powoli opadać. Palacze wygarniali żar z paleniska. Dym i czad napełniły kotłownię, cuchnący opar uniósł się z mokrego żużla i drapał gardła.

- Teraz drzwi - powiedział Bander zanosząc się kaszlem. - Aha, tę pompę zenzową można wyłączyć. Tyle ona pomoże, co kot napłakał..

Zaryglowali drzwi wodoszczelne i wreszcie wyszli na pokład. Wysoki pióropusz pary strzelał obok szczytu komina prosto w górę, jak rozpaczliwy sygnał zagłady. Kastor zapadał się dziobem i lewą burtą coraz głębiej w wodę, która sięgała już skylightów na pokładzie.

Bander kazał je zamknąć i poszedł dopilnować zamknięcia wszystkich iluminatorów w nadbudówkach, choć w duchu powtarzał sobie, że to przecież nic nie pomoże; prędzej czy później pękną cumy lub pachołki zostaną wyrwane z nabrzeża i Kastor musi się wywrócić do góry dnem.

Wtem przyszło mu na myśl, że można by uwiązać rufę grubą stalówką do brzegu i w ten sposób zapobiec ostatecznej katastrofie. Mieli na pokładzie taką linę holowniczą. Gdyby im się to udało...

Zwołał ludzi, wyjaśnił im, o co mu chodzi: trzeba opuścić tę stalówkę z prawej burty i przewlec ją pod rufą, a potem koniec z pętlą wyciągnąć na brzeg i umocować.

- Umocować? Do czego? - spytał Dworecki.

Pierwszy oficer spojrział po nabrzeżu. Nie było tam więcej pachołków poza tymi dwoma, na pół już wyrwanymi przez cumy.

- Pójdę zobaczyć - powiedział i ruszył w stronę dziobu, aby wydrapać się na ląd.

Było to teraz o wiele trudniejsze niż przedtem; przechył statku wynosił około dwudziestu stopni, a dziób sięgał zaledwie do połowy wysokości nabrzeża. Lecz nie to zatrzymało Bandera. Między prostopadłą ścianą basenu a na pół zatopioną burtą Kastora ujrzał małą łódkę, a w niej skulonego, drżącego ze strachu kucharza.

- Co wy tu robicie?! - wrzasnął. - Przygniecie was!

Ferko z trudem przełknął ślinę. Był tak przerażony, że ledwie mógł mówić.

- Powiedziałem mu to... to samo... - wymamrotał. - Ale on...

Nie dokończył rozpoczętego zdania. Czyjaś ręka wynurzyła się z wody, chwyciła brzeg łódki i przechyliła ją gwałtownie.

- Kto tam jest? - spytał Bander jeszcze bardziej zdumiony.

Ale kucharz nie odpowiedział tym razem. Ze wszystkich sił mocował się z długą rękocięcią bosaka, przy którego pomocy utrzymywał łódkę w miejscu.

- Chodźcie tu, panie Bander - jęknął. - Nie dam rady!...

Pierwszy oficer nie wahał się ani chwili: przełożył nogi przez burtę, opuścił się na ręk-

kach i skoczył. Łódka zakołysała się gwałtownie pod jego ciężarem, a Ferko omal z niej nie wypadł, lecz nie wypuścił z rąk bosaka, póki Bander mu go nie odebrał.

Wtem nad ich głowami rozległ się głośny trzask, a statek drgnął i osunął się głębiej, pociągając za sobą bosak i łódkę.

Przygniecie nas - pomyślał Bander, odpychając się nieco. - Kto u diabła tam jest pod wodą?! - spytał po raz drugi, tłumiąc ogarniającą go wściekłość.

W tej samej chwili głowa Ślężaka, a potem nagie jego ramiona ukazały się na powierzchni. Był siny z zimna i dyszał ciężko, gwałtownie chwytając powietrze.

- Upuściłem go - wytchnął szcękając zębami. - Jasna cholera! Już prawie siedział...

Bander przestał zadawać pytania. Nie było na to czasu: wciągając skostniałego radiotelegrafistę do chwiejącej się łodzi, chwycił lewą ręką stalową cumę, która drgała tuż nad nim jak napięta struna, i nagle coś ukłuło go w dłoń. Zwolnił chwyt i spojrzał wzdłuż liny. Stalowe włókna pękały tu i ówdzie i odwijały się ze splotu. Na pokładzie za nadbudówkami śródo-kręcia raz po raz rozlegał się jakiś zgrzyt i trzask podobny do stokrotnie spotęgowanego odgłosu, jaki wydaje skorupa miążdżonego orzecha.

Szalupa ratunkowa - pomyślał. - Pogruhocze ją na drzazgi.

Sięgnął po bosak, wparł go w szczelinę kamiennej ściany i odepchnął się z całej siły. Łódź otarła się o pochyloną burtę statku, skoczyła przed dziób. Prawie jednocześnie przednia cuma pękła z metalicznym jękiem i smagneła wodę skręcając się spiralnie jak przydeptana żmija, a przód holownika odsądził się nieco w prawo i zapadł głębiej, wznosząc szac drobną falę, która z pluskiem uderzyła o nabrzeże.

- W sam czas - mruknął Bander kierując łódkę ku rufie Kastora i spoglądając na dygoczącego Ślężaka. - Teraz mogłoby już być po was. Czegoście tam szukali, u diabła?

Ślężak przezwyciężył skurcz mięśni w szczękach i w paru zdaniach wyjaśnił wreszcie, co zamierzał uczynić przy pomocy Ferki.

Przyszło mu to do głowy, jak tylko został sam w swojej kajucie, w chwili gdy na próżno usiłował zamknąć otwarty iluminator. Skoro od wewnątrz nie można było pokonać naporu wody, to od strony zewnętrznej ten napór dopomógłby tylko w założeniu i dociśnięciu pakunku lub plastra.

Tknięty tą myślą, postanowił natychmiast wprowadzić ją w czyn, ale zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło każdemu, kto by odważył się dostać pomiędzy burtę statku a ścianę basenu - chciał tego dokonać jedynie przy pomocy kucharza, któremu przypisywał część winy; Ferko bowiem przyznał mu się, że sam wpuścił Marysię do jego kajuty i nie zajrzał tam, gdy odeszła.

We dwóch tedy opuścili z prawej burty małą łódkę, tak zwanego bączka, a Ślężak zdjął przemoczone ubranie i zaopatrzywszy się w bryłę węgla owiniętą pakułami i szmatami, powiosłował dokoła dziobu Kastora.

Bączek ledwie się mieścił w ciasnej, zwężającej się przestrzeni między pochylonym kadłubem holownika a nabrzeżem. Głos dudnił tam jak w beczce, a skrzywienie i trzeszczenie statku ocierającego się o ścianę wydawało się jeszcze groźniejsze niż na pokładzie.

Ferko chciał zaraz zawrócić, ale Ślężak zagroził mu, że go udusi albo utopi, i na wszelki wypadek wyrzucił wiosła, pozostawiając w łodzi tylko bosak, który zahaczył o krawędź otwartego iluminatora, namacawszy go pod wodą.

Kazał kucharzowi trzymać ów bosak, a sam opuścił się po drzewcu i nurkując usiłował wtłoczyć prowizoryczny pakunek w otwór okienka.

Udałoby mu się zapewne dokazać tej sztuki, gdyby nie nagłe obsunięcie się Kastora, spowodowane zmiążdżeniem szalupy ratunkowej, umocowanej na pokładzie tuż za nadbudówkami. Ten niespodziewany wstrząs pozbawił go na chwilę oparcia, bryła węgla wysliznęła mu się ze zgrabiałej dłoni i oczywiście opadła na dno.

Pierwszy oficer wysłuchał tego już na pokładzie statku, na który wydostali się przy pomocy załogi. Dopiero teraz pojął, jak się to stało, że iluminator był otwarty. Nikt go przecież nigdy nie otwierał...

Rozumiał, że to ostatnie go nie usprawiedliwia: powinien był sprawdzić szczelność kadłuba przez rozpoczęciem bunkrowania, a nawet jeszcze nim odcumowali od Wałów Chrobrego, aby przejść tutaj. Ale Kastor zarówno tam, jak i tu stał lewą burtą u nabrzeża; ani z ładunku, ani z pokładu nie można było dojrzeć tego przeklętego iluminatora!

Głupia historia - pomyślał rozgorączony. - Że też akurat mnie musiało się to zdarzyć...

Pomysł z uwiązaniem rufy nie został już zrealizowany, ponieważ istotnie na brzegu nie było odpowiedniego do tego celu pachołka, a zresztą przechył statku osiągnąwszy dwadzieścia stopni przestał się powiększać. Natomiast jego zanurzenie wzrastało nieustannie i gdy po upływie pół godziny przybył holownik ratowniczy, woda na pokładzie dochodziła do skylightów maszynowni.

Na holowniku przypląnął kapitan Chmielewski, a także pierwszy mechanik. Natychmiast przerzucono węże i wprowadzono je do przednich pomieszczeń Kastora, po czym ruszyły pompy. Ale cała ta akcja była już spóźniona. Woda lała się teraz nie tylko przez otwarty iluminator, lecz także przez nieszczelne pokrywy luków i przez skylighty na rufie; przybywało jej coraz więcej i statek pogrążał się nadal. O zachodzie słońca stało się jasne, że Kastor musi zatonać, wobec czego zniesiono na ląd dokumenty i cenniejsze przedmioty z kabiny nawigacyjnej, po czym akcję ratowniczą przerwano. Wkrótce potem statek poszedł na dno i osiadł na mulistym gruncie z przechyłem piętnastu stopni na lewą burtę, tak że tylko górna część sterówki wystawała na powierzchnię wody.

- Oto cała historia - powiedział dyrektor Calikowski, podnosząc się od stołu. - Teraz obie kajuty na Kastorze mają odwietrzniki wystające na pokład, a iluminatory zostały zanitowane. W ten sposób stało się zadość higienie i zarazem bezpieczeństwu.

- A jak się odbyła rozprawa w Izbie Morskiej? - zapytałem, trochę rozczarowany brakiem pointy tego opowiadania.

Dyrektor wydał wargi.

- Rozprawa? - powtórzył ujmując mnie pod ramię, podczas gdy szliśmy ku wyjściu. - Ja osobiście nie mogłem doszukać się czyjejkolwiek wyraźnej winy, a zespół orzekający podzielił moje zdanie. Kastor został podniesiony w kilka dni po zatonięciu, niewielkim kosztem; straty okazały się nieznaczne; ofiar w ludziach nie było...

Wyszliśmy na pokład, a następnie, po załatwieniu formalności z przepustkami, na opustoszałe nabrzeże. Słońce już zaszło i wieczorny cień legł na wodzie, a w górze zapalały się pierwsze gwiazdy.

- Przejdzie się pan trochę? - spytał Calikowski.

Skinąłem głową i ruszyliśmy wolno w stronę miasta.

- Byłem na ich ślubie - powiedział ni stąd, ni zowąd. - A zaraz potem przenieśli go na ten statek.

- Ślężaka? - upewniłem się.

- Tak, naturalnie - odrzekł z roztargnieniem. - To bardzo porządny chłopak. A Marysia... Ach tak, mówiłem panu: ona to bardzo przecierpiała. Mówię o zatonięciu Kastora, rzecz prosta. Ma uraz na punkcie statków: nigdy nie odwiedza męża na pokładzie; ani razu nie była w jego kabinie tutaj - wskazał ruchem głowy biały motorowiec. - Kobiety miewają takie dziwactwa!

Zatrzymał się i pociągnął mnie za rękaw.

- Patrz pan, ta kabina jest tam! Zaraz za sterownią, drugi iluminator licząc od strony rufy, na najwyższym pokładzie. Ślężak mówił mi, że ona pyta go zawsze, czy pamiętał o zamknięciu okna! Jakby to mogło mieć jakieś znaczenie dla bezpieczeństwa takiego statku!

Wzruszyłem ramionami.

- Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha - powiedziałem sentencjonalnie.

Zakopane 1954

Goram Jorhat

IM/s⁵⁷ Traugutt jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych i najbardziej nowoczesnych naszych statków. Z pewnością był najpiękniejszy z tych, jakimi dowodziłem, zanim zostałem jego kapitanem.

Dowództwo spadło na mnie dość niespodzianie. Poprzedni komendant Traugutta, znacznie ode mnie starszy marynarz, złamał nogę. Wypadek zdarzył się w przeddzień wyjścia statku z Gdyni, ja zaś byłem jedynym bodaj kapitanem żeglugi wielkiej z jaką taką praktyką na morzach południowych, jakiego dyrekcja miała pod ręką.

Mój statek, wcale niezły rudowęglowiec, na którym w ciągu ostatniego roku odbywałem dość monotonne podróże po Bałtyku i Morzu Północnym, przechodził właśnie okresowy remont w stoczni, a ja miałem otrzymać urlop i zastanawiałem się, gdzie mam go spędzić. Prawdę mówiąc, nie chciało mi się nigdzie wyjeżdżać, lecz jeszcze bardziej nie miałem ochoty pozostać na wybrzeżu. Powodem tego nastroju, nacechowanego całkowitym brakiem logiki, była pewna rudowłosa Szwedka, która podówczas zawładnęła moim sercem i wkrótce potem puściła mnie w trąbę dla sekretarza konsulatu włoskiego w Gdańsku. Widywałem ją niemal codziennie na ulicy bądź pod rękę z tym Włochem o urzekającej urodzie i manierach tenora z podrzędnej opery, bądź gdy wchodziła do Skandynawskiej Agencji Okrętowej, gdzie pracowała jako sekretarka.

Owa agencja mieściła się akurat na wprost moich okien, co było szczególnie irytujące, bo Włoch ustawicznie się tam kręcił. Spogląda! na mnie ironicznie i wyniośle, ja zaś, aby im obojgu pokazać, że mnie to nic nie obchodzi, asystowałem młodej gąsce z „dobrej rodziny”, która była tyleż anielsko ładna, ile rozczulająco głupia.

Ciągle jeszcze miałem niejaką nadzieję, że ta „zimna wojna” zakończy się powrotem i ekspiacją miedzianowłosej Beatrycze, ponieważ Włoch był zazdrosny jak Otello i o byle co robił jej piekielne sceny. Ta nadzieja trzymała mnie na miejscu. Ale z drugiej strony przedłużający się flirt z „parafialnym aniołem” zaczynał zagrażać mojej kawalerskiej wolności, której wcale nie zamierzałem zamienić na kajdany małżeńskie... Czułem, że muszę stąd uciec i że to będzie najrozsądniejsze wyjście z tej sytuacji.

Toteż gdy kapitan Demart z Centralnego Zarządu Polskiej Marynarki Handlowej zapytał mnie, czybym się zgodził objąć natychmiast dowództwo m/s Traugutta i nazajutrz wyjść w morze z przeznaczeniem do Rangun, nie wahałem się ani przez chwilę. Jeszcze tego samego dnia zapakowałem rzeczy i wieczorem przenieśliśmy się na statek.

Załadunek został ukończony i luki zamknięte. Były tam przeważnie materiały bawełniane i drobnica dla Chittagongu oraz szyny kolejowe i jakieś instrumenty dla Rangun. Ładunek powrotny miała stanowić juta i surowa bawełna. Czekaliśmy jeszcze na pocztę i kilku pasażerów do Southampton, skąd mieliśmy zabrać innych - do Port Saidu i Bombaju, a dwóch z nich nawet do Chittagongu.

Wiedziałem oczywiście o tym wszystkim, zanim jeszcze wszedłem na pokład. Znałem także nazwiska moich oficerów pokładowych i mechaników, ludzi, z którymi miałem się zetknąć po raz pierwszy jako ich przełożony. Nic mi one nie mówiły, a na zasięgnięcie informacji w tej sprawie zabrakło mi czasu.

⁵⁷ M/s (ang. motorship) - skrót używany w żegludze na oznaczenie statku motorowego.

Kapitan Demart wspominał tylko o pierwszym oficerze, który nazywał się Emil Fra-
der.

- Starszy człowiek, z dużą rutyną morską, bardzo sumienny, ale nie orzeł - powiedział, unikając mego wzroku, jak mi się wydało. - Formalnie ma dostateczne kwalifikacje na kapita-
na, ale nie bardzo się nadaje na komendanta takiego statku jak Traugutt, a chwilowo nie
mamy dla niego odpowiedniejszego stanowiska. Jako pierwszy oficer jest zresztą bez zarzutu.
Między innymi mam tę szczególną zaletę, że nigdy nie schodzi na ląd dla własnej przyjemno-
ści. Spodziewam się, że nie będzie pan miał z nim żadnych kłopotów.

Nie podobała mi się ta uwaga, ale w danych okolicznościach nie mogłem przecież
wszczynać dyskusji na temat załogi, zwłaszcza że jeszcze nie miałem z nią do czynienia. Przy
tym zanadto byłem przejęty moim dowództwem, pierwszym poza Bałtykiem, i czekającą
mnie podróżą, przecież nie byle jaką, bo aż do Rangunu!

Moje doświadczenia w tym zakresie ograniczały się do dwóch rejsów odbytych na Ba-
torym w charakterze oficera nawigacyjnego; lecz Batory docierał tylko do Karaczi i Bombaju,
a zresztą czuwali tam nade mną starsi, wytrawniejsi marynarze, w osobach kapitana i jego za-
stępcy, nie mówiąc już o tym, że obowiązki, które pełniłem, nie dawały pola do popisu mojej
samodzielności.

Teraz sam miałem dowodzić bardzo pięknym statkiem, a choć poznałem już smak
władzy na morzu i ciężar odpowiedzialności nierozłącznie z tą władzą związany, to przecież
wydawało mi się, że dopiero ta wielka podróż zadecyduje o mojej dojrzałości w zawodzie,
któremu się poświęciłem na całe życie.

Myślałem o tym wysiadłszy z taksówki i taszcząc ciężką walizkę wzdłuż nabrzeża,
gdzie w samym końcu basenu stał na cumach mój statek.

Widywałem go nieraz, lecz nigdy nie byłem na jego pokładzie i wiedziałem o nim za-
ledwie tyle, ile można wyczytać ze specyfikacji: dwuśrubowy motorowiec o dwóch silnikach
Diesla, mocy dwu tysięcy trzystu koni mechanicznych każdy; szybkość osiemnaście węzłów;
długość sto dziesięć metrów, szerokość szesnaście i pół metra; tonaż trzy tysiące siedemset
BRT; prócz ładowni, chłodni itp. - osiem luksusowych kabin pierwszej klasy dla dwunastu
pasażerów; osiem bomów przeładunkowych, dwa dwutonowe dźwigi elektryczne, elektro-
pneumatyczne urządzenia sterowe itd.

Jak to wszystko jest rozmieszczone, jak działa, czy Traugutt jest sterowny, jak się za-
chowuje na dużej fali, w jaki sposób reaguje na zmiany obrotów swoich śrub i na ich wstecz-
ny bieg, wszystko to było dla mnie tajemnicą, którą dopiero miałem przeniknąć w niewiado-
mych warunkach.

Przyglądałem mu się stojąc w cieniu jakiegoś magazynu, za którym płonęły oślepiają-
ce latarnie na wysokich słupach. Stał nieruchomy, biały, z dumnie wzniesionym dziobem. Po-
środku półkuliście wyrastały oszklone trzypiętrowe nadbudówki, uwieńczone pomostem i ni-
ską balustradą. Tuż za nią był komin z szerokim zielonym pasem, dalej luk świetlny maszy-
nowni i jeszcze jakieś pomieszczenia, a wreszcie o wiele niższy tylny pokład i znów nieco
wzniesiona rufa z niewielkimi nadbudówkami.

Szyby prostokątnych okien i okrągłe iluminatory połyskiwały w blasku księżyca; lecz
wewnątrz panowała ciemność. Tylko pomieszczenia za lukiem maszynowni i na rufie były
oświetlone. Domyśliłem się, że tam są kajuty oficerów i załogi.

Wszedłem na pokład po przerzuconym trapie, który widocznie pozostawiono w oczekiwaniu na moje przybycie. Wartownik poznał mnie i nie żądając okazania książeczki żeglarskiej usunął się na bok, aby mnie przepuścić. Natomiast w przejściu wzdłuż lewej burty natknąłem się na jakiegoś niepozornego człowieka w białej kurtce, który zastąpił mi drogę.

- Pan do kogo? - spytał.

Poczułem się nieco dotknięty. Nie było tak ciemno, żeby nie mógł dostrzec mojej czapki ze złotymi galonami. Jeżeli należał do załogi, powinien był wiedzieć, że kapitan przybędzie tu wieczorem. Spojrzałem mu z bliska w oczy i w tej chwili owionął mnie lekki odór alkoholu.

- Jestem waszym kapitanem - powiedziałem. - A wy?...

Zmieszał się widocznie i natychmiast usłużnie pochwycił moją walizkę. Oświadczył, że jest stewardem i że właśnie na mnie czeka. Nazywał się Zduleczy.

- Zdaje mi się, że skracaliście sobie to oczekiwanie butelczyną gorzałki - zauważyłem idąc za nim.

- Byłem na lądzie, panie kapitanie - odrzekł. - Nigdy nie piję na statku, ale przecież...

- Już dobrze - przerwałem. - Gdzie jest moja kajuta?

- Nad salonem pasażerskim, panie kapitanie. Bardzo ładna kajuta z łazienką, a także gabinet; cały apartament, panie kapitanie.

W każdym zdaniu częstował mnie tym „panem kapitanem”, zapewne aby mi zrobić przyjemność.

Szliśmy przez długi korytarz i dwie kondygnacje schodów. Po drodze wskazywał na lewo i na prawo: „Jadalnia pasażerska, kabiny jedno - i dwuosobowe, przejście do biura okrętowego, a tam, schody do sterowni i nawigacyjnej”. (Za każdym razem - „panie kapitanie”.)

Wreszcie otworzył przede mną drzwi, sięgnął za ich framugę i przekreślił wyłącznik, po czym odsunął się, aby mnie puścić przodem.

Światło zalało wnętrze. Ujrzałem ściany szalowane od dołu mahoniem, od góry zaś wypolerowanymi klepkami z lipowego drzewa, gruby popielaty dywan wyściełający podłogę, wygodne fotele, okrągły stolik, biurko, półki z książkami. Nad biurkiem, po lewej stronie, między dwoma oknami, wpuszczony był w ścianę zegar elektryczny w mosiężnej oprawie, z dużą czerwoną wskazówką sekundnika; naprzeciw jakiś miedzioryt przedstawiający fragment portu ze spichrzem zbożowym na pierwszym planie.

- Gabinet, panie kapitanie - poinformował mnie Zduleczy. - Sypialnia jest na prawo, panie kapitanie, a te drzwi do łazienki.

- Dobrze. Możecie tu zostawić tę walizkę - odrzekłem. - Sam ją rozpakuję. I poproście do mnie pierwszego oficera. Mam nadzieję, że jeszcze nie śpi?

- Na pewno nie śpi, panie kapitanie. Czy pan kapitan będzie coś jadł?

Powiedziałem, że nie; byłem już po kolacji. Podziękowałem mu i wreszcie się go pozbyłem.

Zajrzałem do sypialni, urządzonej równie wspaniale jak gabinet, i do łazienki wykładanej lazurowymi kafelkami. Nie byłem przyzwyczajony do takich luksusów. Nawet na Bato-rym pomieszczenie kapitańskie nie było aż tak wykwintne, nie mówiąc już o moim rudowęgłowcu.

Przejrzałem się w lustrze nad umywalnią. Ten poważny, choć jeszcze zupełnie młody

człowiek, który spoglądał na mnie z głębi lustrzanej tafli, jest kapitanem m/s Traugutta. Wydał mi się sympatyczny; jego postawa i pogodny spokój w rysach twarzy wzbudzały zaufanie. Z pewnością da sobie radę, czemuż by nie? Ci, co przedtem zajmowali tę kajutę, nie byli przecież lepsi od niego, kierowali się tą samą wiedzą, tymi samymi prawami i zasadami, przeżywali podobne chwile rozterki przed powzięciem trudnych decyzji, stawiali czoła przeciwnościom, walczyli z podobnymi przeszkodami, jakie go zapewne czekają na morzu; patrzyli w oczy wichrom i burzom jak zaciekłym przeciwnikom, z którymi i jemu przyjdzie walczyć - jak on samotni i zdani wyłącznie na siebie samych, w momentach gdy taki czy inny rozkaz może przesądzić o losach statku; taka jest bowiem władza kapitana i tego wymaga się od dowódcy załogi.

Myślałem tak, przyglądając się swemu odbiciu jak komuś bliskiemu, kogo się zna dobrze i komu chciałoby się powiedzieć, że się na niego liczy w potrzebie. Upewniałem się o własnej wartości nie dlatego, abym był zarozumiały i zachwycony zaletami swego charakteru, lecz na odwrót, aby dodać sobie otuchy, gdyż prawdę mówiąc obok dumy i radości z otrzymanego stanowiska nurtowała mnie ukryta niepewność, czy sprostim pokładanym we mnie nadziejom.

Nie targowałem się z „przeznaczeniem”, w które nie wierzyłem; nie wypraszałem poślazania od losu; nie żądałem szczególnych przywilejów. Przeciwnie, oczekiwałem, że ta próba nie będzie łatwa, że czeka mnie ciężka praca i niejedno rozczarowanie. W owej chwili, znalazłszy się po raz pierwszy na pokładzie mego statku, chciałem zmobilizować wszystkie siły, aby z góry przeciwstawić się wszelkim trudnościom i niepowodzeniom.

Fakt, że ta mobilizacja nastąpiła w łazience przed lustrem, które zazwyczaj służyło raczej do golenia niż za świadka wzniosłych rozmyślań, nie miał najmniejszego wpływu na mój ówczesny nastrój i bynajmniej nie ośmieszał mnie we własnych oczach, jakkolwiek z dalszej perspektywy mógłby wzbudzić ironiczny uśmiech.

Taki właśnie uśmiech lub może raczej grymas ujrzałem na twarzy pierwszego oficera, który zapukał do drzwi mojej kajuty. Wymknąłem się z łazienki jak złodziej,- którego omal nie przyłapano na gorącym uczynku, i przybrawszy swobodną postawę powiedziałem „proszę”.

Wszedł i zatrzymał się w progu, wpijając we mnie przenikliwe spojrzenie, ja zaś postąpiłem krok naprzód i uścisnąwszy jego zimną, kościstą dłoń, wskazałem mu jeden z foteli, a sam usiadłem naprzeciw, tak aby widzieć go w pełnym świetle.

Był średniego wzrostu, chuderławy, nieco przygarbiony, jakby dźwigał znacznie więcej lat życia, niż miał ich istotnie. Jego twarz przypominała suszoną gruszkę, tak była pomarszczona, a przy tym spalona słońcem i wiatrem. Rzadkie siwe włosy sterczały na jego czaszce jak szczecina wyrosła na starym, pożółkłym pergaminie, a nieduże ciemne oczy spoglądały nieufnie spod nastroszonych kępek brwi, które ustawicznie wznosiły się w górę z wyrazem nieprzychylnego zdziwienia czy też zgorszenia.

Ten wyraz przebijał zresztą z całego zachowania się kapitana Fradera i jak się miałem przekonać, wynikał z jego usposobienia. Na razie jednak przypisywałem go wyłącznie okolicznościom, jakie towarzyszyły naszemu spotkaniu: pierwszy oficer Traugutta znów został pominięty w awansie; okazja objęcia dowództwa umknęła przed nim dzięki mojej przypadkowej obecności na wybrzeżu. Nic dziwnego, że witał mnie bez cienia przychylności, oddając

się rozgoryczeniu i niechęci.

Mimo to odpowiadał rzeczowo i dość skwapliwie na moje pytania, przyjmując bez wyraźnego protestu polecenia, jakie mu przy tym wydawałem.

Chciałem go sobie ująć w jakiś sposób, dać mu poznać, że liczę na jego pomoc, nie rezygnując zresztą ani na jotę z własnego autorytetu i uprawnień komendanta, zapytałem więc między innymi o jego opinię o pozostałych oficerach pokładowych.

Natychmiast przejrzał tę moją dyplomację i ustosunkował się do niej opornie. Zbył mnie ogólnikową uwagą o przeciętnych kwalifikacjach „młodego narybku” bez żadnego doświadczenia fachowego, robiąc jedyne ustępstwo na rzecz drugiego oficera, który „być może umie coś niecoś”. Trzeci, Warczewski, był według jego zdania zupełnym osłem, a czwarty, Bielak, zarozumiałym smarkaczem. Spoglądał na mnie przy tym prowokacyjnie i wyczekująco, jakby dając mi do zrozumienia, że i mnie zalicza do tej samej kategorii.

Mój poprzednik, kapitan Rogoziński, znalazł nieco więcej łaski w jego oczach, lecz z uwag i napomknień, jakie usłyszałem w odpowiedzi na pytanie o ostatnią podróż m/s Traugutta, można było wysnuć wniosek, że jedynie zdrowy rozsądek i doświadczenie pierwszego oficera zapobiegły licznym nieszczęśliwym wypadkom, przestojom w portach i opóźnieniom, którym uległby statek pozbawiony jego troskliwej opieki.

Oświeciwszy mnie pod tym względem, Frader znów utkwiał swój zgorszony wzrok w mojej twarzy, jakby się dziwił, że po tym wszystkim nie zabieram się stąd jeszcze, aby pozostawić komendę w jego o ileż godniejszych rękach. Ja jednak nie miałem najlżejszego zamiaru spełnić tego niemego żądania, natomiast podniosłem się i powiedziałem, że chciałbym obejrzeć statek.

- Teraz? - zdumiał się. - Po ciemku?

- Przypuszczam, że oświetlenie jest w porządku, skoro pan dotychczas zastępował kapitana Rogozińskiego - odrzekłem nie bez złośliwości.

- Naturalnie - mruknął. - Jeżeli pan sobie życzy..;

- Życzę sobie - powiedziałem z lodowatym spokojem.

Oprowadzał mnie po wszystkich pomieszczeniach, poczynając od pomostu pelengowego⁵⁸ nad sterownią, gdzie znajdowały się główny kompas, antena radarowa i goniometryczna, poprzez coraz niższe kondygnacje nadbudówek aż na przedni pokład, by stamtąd zejść wraz ze mną do maszynowni.

Zastaliśmy tam starszego mechanika Stępnia, tegiego, rumianego mężczyznę o ciemnej kędzierzawej czuprynie i wesołych oczach, który spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, co znów widocznie zgorszyło Fradera.

Stępień, w przeciwieństwie do tego ostatniego, był rozmowny i towarzyski, a widząc moje zainteresowanie, objął rolę przewodnika po swoim „folwarku”, jak nazywał przestronną halę maszyn wraz z przyległymi pomieszczeniami i urządzeniami, gadając przy tym bez przerwy i wyjaśniając mi ich przeznaczenie i działanie.

Przez cały ten czas Frader nie ruszał się z miejsca, czekając z obrażoną miną na koniec owego przeglądu, który zapewne jego zdaniem był zupełnie zbyteczny. Gdy wreszcie wyszliśmy a powrotem na pokład, tym razem przez kuchnię kierując się w stronę rufy, zapytał nieco ironicznym tonem, czy zamierzam także obejrzeć ładownie.

⁵⁸ Pomost pelengowy - najwyższy pomost na statku, gdzie dokonuje się namiarów ustalających położenie statku.

Powiedziałem, że zrobię to jutro, jakkolwiek ufam, że sam doglądał rozmieszczenia ładunku; natomiast dziś chciałbym jeszcze tylko zobaczyć windy i elektryczne dźwigi, o których słyszałem wiele pochwał.

- Ba - odrzekł z nie ukrywaną dumą. - Te dźwigi warte są obejrzenia w czasie pracy! A co się tyczy statku... No, sam się pan przekona!

To zdanie wyrwało mu się jak gdyby wbrew woli, ale były to pierwsze słowa pochwały dla Traugutta, pochwały, jeśli sądzić z tonu, jakim zostały wypowiedziane.

A więc Frader lubił ten statek; może nawet więcej, niż „lubił”? W każdym razie było to uczucie, o jakie go nie posądzałem. Zdradził się przede mną tym głośnym wykrzyknikiem, który pragnąłem usłyszeć, i skutkiem tego zyskał w mojej opinii tyleż, ile zdołał stracić przez całą pierwszą godzinę naszej znajomości. Poczułem dla niego nawet coś w rodzaju sympatii, z pewnym odcieniem współczucia, z powodu pominięcia go w awansie i rozczarowania, jakiego przy tym doznał.

Pochwaliłem porządek na statku i widoczną dbałość o konserwację wszystkich jego urządzeń. Przyjął to chrząknięciem, które mogło wyrażać zarówno pokwitowanie należnego mu uznania, jak odruch zniecierpliwienia wobec niestosownego zachowania się młokosa, za jakiego mnie z pewnością uważał, po czym rozstaliśmy się, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy.

2.

Nazajutrz otrzymaliśmy prowiant, wzięliśmy ropę i przyjąwszy pasażerów wyszliśmy w morze. Wszystko to odbyło się sprawnie i punktualnie, bez żadnych kłopotów. M/s Traugutt podczas manewrów zachowywał się wzorowo, a spojrzenia, jakie pierwszy oficer rzucał mi z dziobu, podkreślały tylko zalety statku, oczywiście dla każdego marynarza.

Oddaliśmy pilota, holownik ryknął przeraźliwie i odszedł w bok, ja zaś podałem pierwszy kurs sternikowi, który powtórzył moje słowa jak echo, i „Całą naprzód” ruszyliśmy przez zatokę.

Aż do Kielu nie zdarzyło się nic, o czym warto by wspominać. Pogoda była pomyślna, oficerowie i marynarze na pomoście zmieniali się zgodnie z kolejnością wacht, a moje lądowe rozterki i niepokoje rozwiały się ostatecznie, zanim jeszcze minęliśmy cypel Helu.

Wchodząc do Kanału Kilońskiego otrzymałem od agencji „Stelp & Crighton” depezę z żądaniem, aby Traugutt przybył do Southampton dnia następnego, to jest w niedzielę o dziewiątej, czyli prawie o trzy godziny wcześniej, niż przewidywał plan podróży. Przyspieszenie to pozostawało w związku z ograniczoną ilością pociągów porannych i brakiem miejsca w hotelach dla pasażerów przybywających do portu.

Odpowiedziałem, że będę się starał, ale ponieważ zaraz po wyjściu z Kanału spotkaliśmy silny wiatr zachodni, zawiadomiłem agentów, że wątpię, abyśmy zdążyli przed dwunastą.

Moje obliczenia okazały się słuszne aż do chwili wejścia na wody La Manche. Lecz gdy mijaliśmy wybrzeże belgijskie, siła wiatru wzrosła do siedmiu, a pomiędzy Calais i Dovrem zaczął się sztorm.

Od tej chwili przez dziewięć godzin nie schodziłem z pomostu, co zresztą nie miało żadnego wpływu na powiększenie szybkości statku: dwanaście węzłów, to było wszystko, co

starszy mechanik mógł wycisnąć z motorów...

Wysłałem oczywiście o tym depeszę do Southampton, a w południe porozumiałem się ze stacją pilotową co do miejsca, w którym będzie nas oczekiwał statek pilotowy.

Zjawił się istotnie u wejścia do zatoki częściowo osłoniętej przez wyspę Wight, lecz wobec bardzo wysokiej fali wszelkie próby wzięcia pilota na pokład zawiodły. Zdecydowałem się więc minąć Portsmouth i podszedłem ostrożnie aż do Stourbridge, gdzie było nieco spokojniej. W godzinę później dogonił nas statek pilotowy i wreszcie pilot wszedł do sterowni, aby nas wprowadzić do portu z czterdziesto-minutowym opóźnieniem w stosunku do rozkładu.

Pożegnałem naszych pasażerów z Gdyni i niecierpliwie oczekiwałem nowych, którzy powinni tu być od dawna. Nie było ich jednak. Natomiast przyjechał młody człowiek od „Stelpa i Crightona”, aby mnie zawiadomić, że nie mógł już odwołać robotników zamówionych na godzinę dziesiątą i że pasażerowie przyjadą pociągiem o czternastej.

Byłem niewyspany i rozdrażniony tym brakiem organizacji, więc całą złość wyładowałem na nim, po czym, pozostawiwszy go na pastwę Fradera, poszedłem do swojej kajuty, aby się ogolić i wykapać.

Zaledwie zdążyłem namydlić twarz, u drzwi rozległo się pukanie.

- Wejść! - wrzasnąłem z łazienki i w przekonaniu, że to steward, zarządziłem, żeby mi przygotowano filiżankę mocnej kawy.

- Za dwadzieścia minut będę gotów! - dodałem podniesionym głosem.

Ale to nie był Zduleczny, tylko trzeci oficer, Warczewski, ten, o którym Frader tak niepochlebnie się wyraził, nazywając go zwykłym osłem. Nie podzielałem bynajmniej tego zdania; Warczewski zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie, lecz w tej chwili jego wtargnięcie do mojej kajuty wydało mi się zbyt natarczywe i zapewne dlatego zapytałem opryskliwie, co się znów, u diabła, stało, że nie zostawiają mi ani chwili spokoju.

Warczewski chciał się cofnąć, spłoszony takim przyjęciem, ale zawołałem, żeby zaczekał, skoro już tu jest, po czym, odłożywszy pędzel, powtórzyłem pytanie w uprzejmiejszej formie.

Okazało się, że to Frader go do mnie przysłał. Chodziło

mu o moją decyzję w sprawie przyjęcia nadliczbowego pasażera, który by miał odbyć z nami podróż aż do Rangun.

- A gdzież ja go umieszczę? - zachnąłem się znowu. - Przecież kapitan Frader wie równie dobrze jak ja, że wszystkie miejsca są zajęte!

- Kapitan Frader powiedział to samo - odrzekł Warczewski. - Ale urzędnik od „Stelpa i Crightona” upiera się, żeby pan kapitan sam zdecydował. Mówi, że ten człowiek mógłby przez cały czas leżeć w szpitalu okrętowym.

- W szpitalu?! - omal się nie zaciąłem. - Czy im się zdaje, że mamy tu sanatorium? A poza tym nie mogę przecież zabierać chorych na statek! Przepisy portowe... Co mu jest, temu pasażerowi?

- Zdaje się, że to rak, a może paraliż... Coś w tym rodzaju, ale nic zaraźliwego.

- Jeszcze by tego brakowało - mruknąłem. - Któż to jest?

- Hindus, a raczej Birmańczyk z Rangun. Nazywa się... zaraz... nazywa się Goram Jorhat. Może to jakiś radza...

- Radza! - prychnąłem ironicznie. - Skąd to panu przyszło do głowy?

Warczewski zamilkł, zmieszany.

- Ten urzędnik ma polecenie od naszych agentów, żeby pana kapitana przekonać... to znaczy uprosić o wyświadczenie im przysługi w sprawie tego pasażera - wyjaśnił po chwili. - Widocznie bardzo im zależy, żebyśmy go zabrali.

Teraz ja z kolei umilkłem na dłuższą chwilę. Wiedziałem, że dobre stosunki z agencją okrętową w Southampton bardzo leżały na sercu naszej dyrekcji. Skoro więc „Stelp & Crighton” prosili o coś, co mogłem załatwić nie przekraczając moich osobistych uprawnień i przepisów prawa, należało to uczynić. Ale z drugiej strony była to prośba dość niezwykła i kłopotliwa.

Nie byłem pewien, jak mam postąpić, a na porozumienie się z Gdynią nie miałem już czasu. Trzeba było decydować samemu, na własną odpowiedzialność.

W tej sytuacji mogłem się oprzeć jedynie na zdaniu lekarza okrętowego, którym był mój dobry znajomy, człowiek o dużym doświadczeniu, znacznie ode mnie starszy i bardziej kompetentny, jeśli chodziło o przyjęcie chorego „radży” na statek i umieszczenie go w szpitalu okrętowym na cały czas podróży. Chwyciłem się tej myśli jak przysłowiowej deski ratunku.

- A cóż na to doktor Herget? - zapytałem.

Doktor Herget był już o wszystkim powiadomiony przez obrotnego młodzieńca, którego nie zbił z tropu ani mój wybuch irytacji, ani pełne dezaprobaty spojrzenia i pomruki pierwszego oficera. Warczewski widział, że lekarz wraz z urzędnikiem zeszli na ląd i udali się na podjazd, gdzie oczekiwała karetka szpitalna.

- Ach, więc ten pański „radza” jest już tutaj? - zauważyłem niechętnie. - W takim razie niech kapitan Frader porozumie się z doktorem i jeżeli nic innego nie stoi na przeszkodzie, to ja się zgadzam. Z tym oczywiście, że „Stelp & Crighton” załatwią wszelkie formalności, a Herget zajmie się chorym. No i - pozwólcie mi się wreszcie wykapać!

To ostatnie moje życzenie zostało uszanowane, a pocziwy Warczewski pamiętał także, iż prosiłem o filiżankę kawy, i przysłał mi ją przez Zdulecznego, który zjawił się, gdy wyszedłem z wanny.

Ubrałem się i odświeżony podążyłem na pokład, w sam czas, aby ujrzeć przybyłych pasażerów. Było ich dwunastu lub raczej dwanaścioro, gdyż do Port Saidu jechało jakieś małżeństwo z dzieckiem.

Jak się później dowiedziałem, Goram Jorhat właśnie tej okoliczności zawdzięczał możliwość przejazdu: dzieci nie zaliczano do pasażerów i w ten sposób ilość osób wraz z nim nie przekraczała dwunastu.

Po odprawie celnej i paszportowej załadowano bagaż, pocztę i jeszcze jakieś skrzynie do Gibraltaru. Urzędnik od „Crightona” z wylaniem uściskał moją dłoń na pożegnanie, pilot wszedł na pomost, pierwszy oficer zajął swój posterunek manewrowy na dziobie i oddaliśmy cumy, aby z dwugodzinnym opóźnieniem wyruszyć w dalszą drogę.

Nie było mi sądzone zaznać spokoju i wypoczynku również i teraz: w Kanale sztorm trwał przez całą noc, a gdy wreszcie ucichł, na rozkołysane morze opadła mgła. My zaś mieliśmy odrobić opóźnienie, które wzrastało, zamiast się zmniejszać.

Nie wiem, czy przez kolejne dwie doby spałem w sumie więcej niż sześć godzin, nie opuszczając zresztą sterowni. Przestrzeń otaczająca statek, podobna do wody zmieszanej z mlekiem, rozjaśniała się za rufą o wschodzie słońca, które wznosiło się niepostrzeżenie, mijając nas z lewej strony i gasło na prawo od dziobu, ukryte za grubą, nieprzenikliwą powłoką chmur. Wtedy następowała ciemność tak gęsta, że - zdawało się - wystarczy sięgnąć ręką za reling pomostu, aby jej dotknąć. Rzedła o świcie i znów mdłe światło - raczej półmrok - towarzyszyło nam wśród mgły aż do wieczora.

Straciłem poczucie, czasu w tej niezmiernej monotonii, na którą składały się wszelkie odcienie szarości oraz ostrzegawcze, basowe pomruki syreny okrętowej. Wiedziałem oczywiście, że posuwamy się naprzód, mijając kolejno Plymouth, a potem Ouessant, aby zmienić kurs na południowo-zachodni; notowałem pozycje według otrzymywanych namiarów radiowych i wykreślałem przebytą drogę, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że stoimy w miejscu, a nużące oczekiwanie na jakąś zmianę zdawało się trwać już od wieków.

W tych warunkach zapomniałem o istnieniu pasażerów w ogóle, a „radży” w szczególności. Opiekę nad nim sprawowali pierwszy oficer i doktor Herget.

Wreszcie jednak mgła opuściła nas i ukazał się czysty błękit nieba, a wraz z nim wspaniałe, rozpalone słońce. Nastąpiło to już w pobliżu północno-zachodniego cypla Hiszpanii, który dostrzegłem przez szkła po naszej lewej stronie przed dziobem.

Była wtedy godzina szesnasta; od Gibraltaru dzieliło nas jeszcze ponad sześćset mil, a więc około czterdziestu godzin podróży. Mogłem się wypaść za wszystkie czasy, ale wydawało mi się, że nie zmruję oka.

Zszedłem do swojej kabiny, położyłem się i natychmiast zapadłem w głęboki sen.

3.

Obudziło mnie głośnie pukanie do drzwi. Otworzyłem oczy i natychmiast musiałem je zmrużyć: potok słonecznego blasku wpadał przez okno; był dzień.

- Proszę wejść - powiedziałem głośno. - Drzwi są otwarte.

Był to doktor Herget.

- Aha, żyje pan? - zagadnął wesoło, zaglądając do mojej sypialni.

- Jak najbardziej - odrzekłem. - Czy zachodziły jakieś wątpliwości pod tym względem?

Skinął głową. Zduleczny zawiadomił go, że nie może się ze mną porozumieć i że wczoraj nie jadłem kolacji.

- Ach, więc to już jest rano? - zdziwiłem się.

- Jak najbardziej - roześmiał się lekarz. - Spał pan szesnaście godzin, co zresztą jest zupełnie naturalne po takim wysiłku. Apetyt pan ma?

W tej chwili poczułem, że jestem głodny jak wilk.

- To doskonale - powiedział. - Mogę panu zaordynować tylko obfite śniadanie. Niech pan nie wstaje - powstrzymał mój ruch. - Zadzwoń na stewarda i napiję się z panem kawy. Tam na pokładzie radzą sobie bez pana: jest śliczna pogoda, a pasażerowie przeszli już najgorsze podczas tej huśtawki w Kanale. Z wyjątkiem mego pacjenta w szpitalu - dodał.

Przez krótką chwilę czułem się nieco urażony jego mniemaniem, że statek może się obejść bez mojej obecności na pokładzie, lecz nie podjąłem tej kwestii. Z pewnością nie miał

zamiaru mnie dotknąć, a moja drażliwość na tym punkcie mogłaby mu się wydać dziecinna. Może istotnie zanadto przejmowałem się swoim dowództwem...

Ale pacjent w szpitalu? Nie od razu zrozumiałem, kogo miał na myśli. Dopiero po chwili przypomniałem sobie o chorym Birmańczyku.

- Aha, ten „radża”... jakże on się nazywa?

- Nazywa się Goram Jorhat - odrzekł Herget siadając obok mojej koi. - Ale bynajmniej nie jest radżą. Raczej wprost przeciwnie. Zresztą czuje się nieźle, jak na człowieka* któremu przed dziesięciu dniami wycięto trzy czwarte żołądka.

- Więc to taka sprawa - mruknąłem. - Rak?

- Rak - potwierdził. - W dodatku za późno operowany. Szkoda chłopca; nie ma jeszcze trzydziestu lat...

- I wie, co go czeka?

- Jeżeli pan ma na myśli, że wkrótce umrze - to wie. Właśnie dlatego jedzie do Rangun. Chce być tam pochowany. Tylko że...

Urwał w połowie, zapewne dlatego, że wszedł Zduleczy z tacą i obrzuciwszy mnie niepewnym spojrzeniem, po stawił ją na stoliku.

- Kapitan jest zdrow - powiedział do niego Herget.

- To ja niepotrzebnie... - zająknął się. - Bardzo przepraszam, panie kapitanie, ale myślałem...

- Myśleliście zupełnie słusznie, Zduleczy - przerwałem żywo. - Powinienem od dawna wstać. Czy dla doktora znajdzie się druga filiżanka?

- Tak jest, panie kapitanie - odrzekł skwapliwie. - Są dwie, panie kapitanie.

- Dobrze, dziękuję. Powiedźcie pierwszemu oficerowi, że za pół godziny przyjdę do sterowni. Kąpiel sam sobie przygotowuję, a potem możecie tu posprzątać.

Powtórzył raz jeszcze swoje „tak jest, panie kapitanie” i wyszedł.

- Tylko że co? - zwróciłem się do Hergeta. - Mówił pan o tym Jorhacie...

- To niewesoła historia - powiedział napelniając obie filiżanki. - On ma przed sobą najwyżej miesiąc, może półtora miesiąca życia.

Potem zaczął opowiadać.

Goram Jorhat nie był radżą, jak to już zaznaczył poprzednio; nie należał nawet do kasty waishya - mieszczan i rolników, ani też do shudra - uprawiających rzemiosła i handel. Był pariasem jak jego ojciec, robotnik portowy, ale spotkało go niezwykle szczęście: mając lat trzynaście został służącym jednego z dyrektorów filii „Stelp & Crighton” w Rangunie.

- Teraz rozumiem! - wykrzyknąłem, przełknąwszy potężny kęs bułki z szynką.

- Nic pan nie rozumie - zaprzeczył Herget unosząc dłoń. - Proszę mi nie przerywać.

Umilkłem posłusznie, on zaś mówił dalej:

- Fakt, o którym wspominałem, uratował być może Jorhata od śmierci głodowej, jaką zginęło w parę lat później, wiele tysięcy jego współziomków, a także ojciec i kilkoro rodzeństwa. Mówiło się wtedy o epidemii w Indiach i w Birmie. Nie przeczę, że panowały tam również epidemie, ale ich podłożem był po prostu głód spowodowany nieurodzajem, no i niedbalstwem władz kolonialnych. Te władze nigdy zanadto nie przejmowały się losem miejscowej ludności, a wówczas była przecież wojna; mieli tam dość kłopotów z poborem rekruta, nie mogli zajmować się takimi drobiazgami jak głodujący pariasi. Ale Goram Jorhat nie głodo-

wał, ponieważ od dawna nie było go w Rangunie: przed samym wybuchem wojny wraz ze swymi chlebodawcami wyjechał do Europy.

Dyrektor, u którego służył jako boy, przywiązał się do niego. Tak przynajmniej utrzymuje Jorhat. Osobiście podejrzewam, że był bogatym snobem i przyszła mu fantazja pochwalić się przed znajomymi w Londynie posiadaniem birmańskiego boya.

Nie będę panu szczegółowo wyjaśniał, dlaczego tak myślę. Przypuszczam, że gdyby pan wysłuchał opowiadania samego Jorhata, doszedłby pan do podobnego wniosku. Popisywali się tym chłopcem jak egzotycznym zwierzątkiem – dyrektor jego żona i córki. Ubierano go w jaskrawe „wschodnie” liberie czy też kostiumy, jakich nigdy przedtem nie nosił ani on, ani w ogóle żaden Birmańczyk. Jeździł samochodem obok kierowcy, otwierał przed nimi drzwi wozu i zatrząskiwiał je, gdy wsiedli, podawał futra, kapelusze i laski w łóżach teatrów, a cygara i trunki na przyjęciach i stale „był na planie”, jak powiedziałyby reżyser filmowy. Mam wrażenie, że dyrektor osiągnął swój cel: jego znajomi i koledzy klubowi z pewnością zazdrościli mu takiego nabytku.

A Jorhat... Jemu też z początku bardzo się to wszystko podobało; włącznie z nauką pisanie i czytania, które „to umiejętności posiadał nie tyle dzięki ofiarnej, lecz dość sporadycznej pracy pedagogicznej córeczek dyrektora, ile dzięki własnym zdolnościom i pomocy kucharki. Ale wkrótce zateśknił za matką i ojczyznę, a życie we wspólnym domu na Belgrave Square wydało mu się o wiele mniej ponętne niż w nędznym szałasie nad Irawadi, gdzie spędził lata dziecięce. W dodatku umiarkowany, mdły klimat Wielkiej Brytanii wcale mu nie służył; raz po raz zapadał na gripę, co prócz innych złych stron miało i tę, że niecierpliwio dyrektora, jego żonę i córki. Cóż bowiem wart jest birmański boy, który ma temperaturę podwyższoną do 38,7° i kaszle jak suchotnik?

Nie chcę, aby pan myślał, że ta ostatnia moja uwaga pochodzi od Jorhata - powiedział doktor Herget, spoglądając z zadowoleniem na opróżnione przeze mnie talerze. - Jest to moja własna dygresja, wypływająca zresztą ze znajomości natury ludzkiej w ogóle, a przedstawicieli wzbogaconej middle class w szczególności. Jeśli chodzi o pogląd Gorama Jorhata na tę sprawę, to był on raczej zgodny z ich poglądami: nie przyszło mu do głowy obarczać tych ludzi odpowiedzialnością za wyrwanie go z rodzinnej gleby dla zadowolenia ich próżności; wcale ich o to nie posądzał; przeciwnie, wydawało mu się, że jest im winien wdzięczność za wszystko, co dla niego uczynili, a oto przysparza im kłopotu swoją chorobą...

No, ale - tak czy owak - musiało się to skończyć. Dyrektor otrzymał nominację na jakieś ważne stanowisko rządowe, w Portugalii, jak mi się zdaje, i przy tej okazji postanowił rozstać się ze swym boyem. Rozstawał się także ze „Stelpem i Crightonem”, a ostatnim jego posunięciem w tej firmie było wyjednanie jakiejś pracy dla Gorama Jorhata.

- U „Stelpe i Crightona”? - zdziwiłem się. - Przecież o wiele prościej byłoby polecić tego pańskiego Jorhata komuś z przyjaciół jako służącego. Mówił pan, że chłopak stanowił przedmiot zazdrości tamtych snobów. Doktor potrząsnął głową.

- Nie zna ich pan - powiedział wyrozumiale. - Żaden z nich nie przyjąłby takiej propozycji, a dyrektor z pewnością uważał, że byłoby po prostu nieprzyzwoicie ją uczynić.

- Dlaczego?

- Dla tego samego powodu, dla którego nie wypada w tamtych sferach proponować komuś kupna lub przyjęcia używanego fraka, choćby zupełnie świeżego i uszytego przez naj-

lepszego krawca z najdroższego materiału. Rozumie pan? Boy pana dyrektora był „używany”! Gdyby dyrektor zaofiarował go komuś ze swych znajomych zaraz po przybyciu do Londynu - a, to co innego! Goram Jorhat zostałby przyjęty z otwartymi ramionami, jako niezwykle prezent. Ale po trzech latach?! Kiedy już miano go dosyć?! Nie! To nie wchodziło w rachubę.

- Musi pan ich lubić, tych Anglików - zauważyłem z ironicznym uśmiechem.

- Anglików? Niektórych bardzo lubię - odrzekł poważnie. - Ale nie „tych”.

Poczęstował mnie papierosem i sam zapalił, a potem mówił dalej.

- Więc u „Stelpa i Crightona” przyrzekli dyrektorowi, że się jego protegowanym zajmą; że „uczynią, co będą mogli najlepszego”; zna pan ten angielski zwrot, powściągliwy i obiecujący zarazem... Ale w biurach roilo się tam od niższych funkcjonariuszy, którym nie spieszo było do szeregów Army and Navy, bo trzeba panu wiedzieć, że była to praca for victory, zwalniana od służby wojskowej; natomiast w oddziale spedycyjnym brakowało pracowników fizycznych: tragarzy, sztauerów, winczmenów⁵⁹, trymerów i jak się tam ci wszyscy robotnicy nazywają. Dlatego Jorhat został tragarzem. Mając szesnaście lat! Podobnie zresztą jak niegdyś jego ojciec w Rangunie... Okazuje się, że szerokość i długość geograficzna nie odgrywają tu żadnej roli.

Wie pan równie dobrze jak ja, co to za harówka. Musiał pan nieraz asystować przy załadunku, a ja... No, cóż, przez dziesięć - lat mieszkałem w pobliżu Albert Docks i usiłowałem ich leczyć...

Ale ostatecznie Jorhatowi nie wiodło się gorzej niż innym; był silny i zręczny, wkrótce przywykł do tej pracy i bodaj zaczął ją uważać za bardziej godną mężczyzny niż otwieranie drzwi i podawanie okryć na Belgrave Square. Być może przyczyniły się do tych początków uświadomienia klasowego jego stosunki z towarzyszami ze związku dokerów. Lubiano go tam i okazywano mu sympatię oraz pomoc w sposób zgoła różny od sposobów praktykowanych przez dawnych chlebobawców.

Mimo to nadal tęsknił i nieustannie myślał o powrocie do Rangunu. Tylko że nigdy nie miał dość pieniędzy na opłacenie przejazdu. Ze swoich zarobków posyłał znaczną część matce, a na birmańskie stosunki były to duże kwoty. Lecz z tego, co zostawiał sobie, prawie nic już nie mógł zaoszczędzić. Toteż gdy zachorował, znalazł się niemal W nędzy.

Naturalnie był ubezpieczony; prawodawstwo brytyjskie uczyniło już ten krok naprzód, zapewniając mu nawet na pewien czas opiekę lekarską. Ale ponieważ choroba okazała się nieuleczalna pomimo dokonanej operacji, zwolniono go z pracy jeszcze przed upływem terminu przewidzianego w umowie zbiorowej.

Zapewne umarłby z głodu w Londynie, zanim by go powaliła śmierć od raka, gdyby nie interwencja związku. Przyjaciele i towarzysze pracy zaprotestowali przeciw decyzji dyrekcji. W City, w potężnym gmachu zarządu firmy „Stelp & Crighton” zjawiła się delegacja, która wymogła to, o czyni Goram Jorhat daremnie marzył przez lat dziesięć: obiecano odesłać go pierwszym statkiem do Rangunu.

Niech pan nie sądzi, że to był wspaniałomyślny gest ze strony naszych agentów - zastrzegł się doktor Herget. - Takie rozwiązanie sprawy kosztowało ich mniej niż wszelkie od-

⁵⁹ Sztauer (niem.) - robotnik portowy rozkładający równomiernie opakowane ładunki drobnicowe w ładowniach statku. Winczmen (ang.) - robotnik portowy, specjalista obsługujący kołowrót lub dźwig.

szkodowania lub odprawa po dziesięcioletniej pracy Jorhata. Pozbywali się za jednym zamachem wszystkich kłopotów, a po niedawnych strajkach dokerów wcale ich sobie nie życzyli. Przy tym zyskiwali w oczach opinii publicznej, co się też przecież opłaca. Teraz pan rozumie, dlaczego im tak zależało na miejscu dla tego „nadliczbowego pasażera” - dodał jeszcze, wstając.

Powiedziałem, że rozumiem, i podziękowałem mu za odwiedzin.

- Jeszcze dziś postaram się pana rewizytować, doktorze - oświadczyłem na pożegnanie. - Jeżeli pan nie będzie miał nic przeciw temu, wstąpię za jaką godzinę i może pójdziemy razem odwiedzić Gorama Jorhata.

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

- Właśnie o to chciałem pana prosić. Powinniśmy okazać mu trochę względów, żeby odczuł, że jest na polskim statku; że traktujemy go na równi z innymi pasażerami. Pan wie, o co mi chodzi?

Skinąłem głową i oddałem mu uścisk dłoni, po czym przeprowadziłem go wzrokiem do drzwi. W chwili gdy je otwierał, wydało mi się, że dostrzegłem niepozorną figurkę stewarda, który szybko znikł w głębi korytarza.

W sterowni zastałem Fradera i drugiego oficera, który miał wachtę. Przyjąłem ich kolejne meldunki, przejrzałem zapisy w dzienniku okrętowym, a na mapie wykres przebytej drogi. Przekonałem się, że istotnie mimo mojej szesnastogodzinnej nieobecności „dawali sobie radę”. Traugutt odrabiał opóźnienie, rozwijając największą szybkość - prawie siedemnaście węzłów, o czym Frader poinformował mnie z taką dumą, jakby był konstruktorem tego statku. Zauważyłem, że kabina nawigacyjna została uporządkowana po owej chwiejbie w kanale La Manche, podczas której mapy, cyrkle, ekierki i ołówki uciekały mi spod rąk.

Wyglądało tam teraz jak w solidnym, pedantycznie prowadzonym sklepie z materiałami piśmiennymi, co niewątpliwie było dziełem sumiennego Fradera. Gdy wskutek roztargnienia dopuściłem do tego, że szczypta popiołu z mego papierosa upadła na stół, podsunął mi popielniczkę, unosząc swoim zwyczajem brwi w górę i spoglądając na mnie z wyrazem niezmiernego zgorzsenia.

Udałem, że nie widzę tych jego min, i zapytałem, na kiedy przewiduje przybycie do Gibraltaru.

- Zgodnie z planem - odrzekł. - Będziemy tam jutro koło godziny ósmej. Zabieramy tylko pocztę, więc właściwie moglibyśmy załatwić wszystko przez statek pilotowy.

Była to słuszna uwaga. Gdybym poszedł za jego radą, uniknęlibyśmy straty czasu. Ale wahałem się, czy ją przyjąć, ze względu na pasażerów, którzy zapewne chcieliby zejść na ląd bodaj na godzinę lub dwie. Następny postój, w Port Saidzie, przewidziany był na noc, zatem aż do Adenu lub nawet do Bombaju byłiby pozbawieni tej przyjemności.

Nieoceniony Frader rozstrzygnął te moje wątpliwości.

- Rozmawiałem z pasażerami - oświadczył. - Są bardzo zadowoleni i żaden z nich na ląd się nie wybiera. To zupełnie rozsądni ludzie - dodał z uznaniem.

Ubawiła mnie ta opinia, oparta zapewne na jego osobistej pogardzie dla wszystkich lądów. Powiedziałem, że w takim razie trzeba będzie wysłać odpowiednią depeszę do-Gibraltaru, on zaś odrzekł, że właśnie przygotował tekst i czeka tylko na moją zgodę.

- Więc dobrze - mruknąłem. - Niech pan każe wysłać tę wiadomość.

Byłem trochę podrażniony tą jego zapobiegliwością, oczywiście niesłusznie, bo świadczyła tylko o gorliwości w pełnieniu obowiązków na stanowisku pierwszego oficera, mego zastępcy. Ale wówczas wydawało mi się, że uprzedza moje decyzje, aby mi pokazać, że z powodzeniem mógłby mnie zastąpić całkowicie i na stałe: że w ogóle nie jestem tu potrzebny. Miałem ochotę przeciwstawić się tej metodzie, ale na razie nie znajdowałem po temu żadnych rozsądnych racji i to mnie najbardziej gniewało.

Odwróciłem się i za plecami sterującego marynarza przeszedłem na skrzydło pomostu, aby ogarnąć wzrokiem statek i morze dokoła. Prawie wszyscy nasi pasażerowie wylegiwali się w leżakach ustawionych na pokładzie. Któryś z młodszych stewardów roznosił oranżadę z lodem. Był niski i krępy, a biała kurtka opinała się na jego obfitych kształtach. Przyszło mi na myśl, jak też wygląda Goram Jorhat; czy jest podobny z postaci do tego tłustego chłopaka? Ależ skąd! - pomyślałem. - Jest przecież chory na raka; zostawili biedakowi czwartą część żołądka. Musi być chudy jak kościotrup.

Nie powiem, żebym miał wielką ochotę go odwiedzić. Widok człowieka skazanego na śmierć nie należy przecież do przyjemności, we mnie zaś budził instynktowną niechęć. Cóż mogłem mu powiedzieć i w jaki sposób go pocieszyć czy też dodać mu odwagi, skoro wiedział o swoim stanie? Ale należało to do moich obowiązków kapitana, a doktor Herget przypominał mi o nich z całą delikatnością.

Spojrzałem po niebie, w którego szafirowej głębi tkwiło pyszne, roześmiane słońce, i objąłem wzrokiem rozległy horyzont. Długa łagodna fala ścieliła się miękko podbiegając pod wyniosły dziób statku, który sunął naprzód z szelestem i cichym pluskiem. Dwie wstęgi piany wykwitwały po bokach i uciekały w tył, rozchodząc się szeroko za rufą. Pod nogami czułem lekką wibrację pokładu od wytężonej pracy motorów, a słaby powiew wiatru muskał mi twarz.

Osiemnaście węzłów - pomyślałem. - Idziemy szybciej niż Batory, a ja dowodzę tym statkiem i prowadzę go do Rangun! Zaiste, na całym Atlantyku nie było zapewne w tej chwili szczęśliwszego ode mnie kapitana.

Dwukrotne chrząknięcie rozległo się za moimi plecami. Obejrzałem się. Zduleczny przestępował z nogi na „nogę, obciążając na sobie śnieżnobiałą kurtkę.

- Doktor Herget jest w szpitalu okrętowym; panie kapitanie - powiedział przybierając postawę pełną służbistości i szacunku. - Prosił, żeby pan kapitan przyszedł tam wprost do separatki.

Goram Jorhat istotnie przypominał kościotrupa. Kościotrupa o dwumetrowym wzroście! Jego wychudzona twarz z sinymi ustami i głęboko zapadniętymi oczodołami robiła wrażenie maski pośmiertnej odlanej w wosku. Lecz gdy otworzył oczy, aby na mnie spojrzeć zupełnie przytomnie, ujrzałem w nich wyraz jakiegoś niezłomnego postanowienia, którego zresztą nie wyraził przez cały czas ani słowami, ani nawet gestem.

- Nie może już przetykać - powiedział do mnie Herget po polsku. - Trzeba będzie wykonać drobny zabieg chirurgiczny, aby umożliwić sztuczne odżywianie. To jest nasz kapitan - zwrócił się do chorego po angielsku.

Jorhat wyciągnął ku mnie rękę okrytą ciemną zwiotczałą skórą. Miał długie, cienkie palce, jak szpony. Zacisnął je na mojej dłoni z niespodziewaną siłą.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział. - Dziękuję za wszystko. Jesteście dla mnie bardzo dobrzy, wy, Polacy. Przykro mi, że sprawiam wam tyle kłopotu.

Wyrażał się w poprawnej angielszczyźnie, nabytej zapewne w domu przy Belgrave Square.

Odrzekłem, że w miarę możliwości chcielibyśmy uprzyjemnić mu podróż, i zapytałem, czy lubi czytać.

- Mam parę powieści Howarda Fasta - dodałem. - Mógłbym je panu pożyczyć.

Nie wiedział, kim jest Howard Fast, więc w kilku zdaniach opowiedziałem mu o tym pisarzu i jego twórczości. Widocznie go to zaciękało. Prosił, żeby mu przysłać przez stewarda „Ostatnią granicę”, o której wspomniałem między innymi.

Zauważyłem, że na stoliku przy jego łóżku stoi odbiornik radiowy. Natychmiast pochwycił moje spojrzenie.

- To jeden z waszych mechaników przyniósł mi radio. Nazywa się... - bezradnie poruszył dłońmi i spojrzał na doktora, jakby odwołując się do jego pomocy.

- Szczerbiński - uśmiechnął się Herget. - Trudne nazwisko. To nasz starszy elektryk - wyjaśnił na mój użytek.

- He is a wonderfull man - westchnął Jorhat. - Co za człowiek! Wszyscy, wszyscy na tym statku...

Głos mu się załamał; był bardzo wzruszony, a to jego wzruszenie udzieliło mi się wbrew mojej woli. Taka bowiem jest właściwość tego uczucia, że między innymi wzrusza nas własna bezinteresowna dobroć lub to, co nam za dobroć poczytują.

Zacząłem odwiedzać go prawie codziennie, już bez tego przymusu, jaki mnie skłonił do pierwszej wizyty. Często zastawałem w separacie Szczerbińskiego, który - jak mi się zdaje - spędzał tam wszystkie chwile wolne od służby.

Niewiele rozmawiałem z Jorhatem: przeważnie przysłuchiwałem się ich rozmowom. Szczerbiński mówił o Polsce, Jorhat zaś opowiadał o Birmie lub raczej o niewielkim jej skrawku nad ujściem Irawadi, który pamiętał z lat dziecięcych. O całej bowiem jego ojczyźnie, przeszło dwukrotnie większej od Polski, ja wiedziałem więcej niż on.

Struktura polityczna Rzeczypospolitej budziła jego zdumienie i podziw. Trudno mu było uwierzyć w istnienie ludowego rządu i zrozumieć zupełny brak wielkiej własności prywatnej przy dużym uprzemysłowieniu kraju. Powszechne nauczanie, opieka społeczna, rolnicze spółdzielnie produkcyjne i inne zdobycze socjalistyczne, nad którymi szeroko rozwodził się Szczerbiński, musiały mu się wydawać czymś niezwykłym i nieomal cudownym.

- Świat jest o wiele ciekawszy i wspanialszy, niż sobie wyobrażałem - powiedział do mnie któregoś dnia. - Gdybym przed dwunastu laty został marynarzem, nie dokerem, może bym to wszystko zobaczył na własne oczy...

W tonie, jakim wypowiedział te słowa, było tyle żalu, że usiłowałem go pocieszyć. Uczyniłem tę próbę najniezdarniej, jak tylko można to sobie wyobrazić.

- Jest pan jeszcze młody - wykrztusiłem. - Gdy pan wyzdrowieje...

- Ja przecież nie wyzdrowieję, sir - przerwał mi, jakby zdziwiony, że tego nie rozumiem. - Angielski lekarz wyciął mi żołądek, a teraz już nie mogę niczego przełknąć, pan wie. Nie można żyć bez żołądka; nie można odżywiać się ryżem przez rurkę, którą mi założył doktor Herget. Będę jadł tylko do Rangunu. Potem... - zrobił nieznaczny ruch dłonią i zamknął

oczy.

Skorzystałem z tego, że ich nie otwierał przez dłuższą chwilę, i... po prostu uciekłem. Stchórzyłem. Nie starczyło mi odwagi, aby zostać i spotkać spojrzenie tych oczu. Nie zdobyłem się na dalsze kłamstwa, a tym bardziej na prawdę.

4.

Tymczasem m/s Traugutt minął Gibraltar, przeciął wzdłuż Morze Śródziemne i po nocnym postoju w Port Saidzie przeszedł w rekordowym czasie (trzydzieści i pół godziny!) Kanał Sueski, aby wydostać się na czyste jak kryształ wody Morza Czerwonego. W trzy dni później minęliśmy cieśninę Bab-el-Mandeb i znów położyliśmy się na kurs wschodni, do Adenu, gdzie mieliśmy uzupełnić zapas ropy do motorów.

Chciałem skrócić postój w tym porcie do koniecznego minimum, więc odwołałem się do talentów towarzyskich Fradera, który podjął się wyperswadować pasażerom zejście na ląd.

Staliśmy przy rurociągu bunkrowym na beczkach i na kotwicy. Wolno tam pozostawać tylko tak długo, jak długo trwa napełnienie zbiorników, co sprzyjało moim zamiarom. Byliśmy gotowi, zanim zmienił się prąd zależny od przyływów i odpływów i zanim pasażerowie skończyli jeść obiad.

Wyprowadziłem statek bez użycia holownika, tylko przy pomocy pilota, po czym, wykreśliwszy nowy kurs i pozostawiwszy na pomoście czwartego oficera, zszedłem na dół z zamiarem schronienia się przed upałem w mojej przewiewnej kajucie.

W korytarzu dogonił mnie doktor Herget. Z wyrazu jego twarzy poznałem od razu, że ma dla mnie jakąś niepomyślną nowinę.

- Mam do pana pewną sprawę - powiedział.

Wpuściłem go do gabinetu i gdy usiadł naprzeciw mnie, sięgnąłem po oranżadę, którą mi przygotował Zduleczny.

- Nie, dziękuję - odrzekł w odpowiedzi na mój gest.

Zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami.

- Zachorował kto? - spytałem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Chciałem pana zapytać, czy mamy na statku trumnę - powiedział nagle.

- Trumnę?! - powtórzyłem.

- Trumnę. Jeszcze nikt nie umarł, ale...

- Jorhat?

- Tak. Jego stan bardzo się pogorszył. Wątpię, czy przeżyje do końca tygodnia, a przecież bez trumny, i to takiej, którą można zamknąć hermetycznie, musielibyśmy pochować go w morzu.

Niespodziewanie dla samego siebie byłem tak poruszony tą wiadomością, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. Wstałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem od ściany do ściany. W ciągu dwóch ostatnich dni nie widziałem Jorhata; miałem do załatwienia sporo korespondencji służbowej, jakieś wykazy i raporty, parę zebrań załogi i coś tam jeszcze. A on tymczasem zbliżał się do progu śmierci...

Ostatecznie tak się to musiało skończyć - pomyślałem. - Prędzej czy później...

Nie wiedziałem, czy mamy jaką trumnę na taki wypadek. Trzeba by zapytać Fradera.

Zadzwońnię na stewarda, który prawie natychmiast ukazał się w drzwiach, jakby tylko na to czekał.

- Poproście do mnie pierwszego oficera - powiedziałem. - Niech tu zaraz przyjdzie.

Nie omieszkał rzucić swego „Tak jest, panie kapitanie” i znikł, zamknąwszy za sobą bezszelestnie drzwi, jak duch.

- Zauważył pan, jak on się objawia? - mruknąłem. - Po prostu wyrasta spod pokładu, a potem się rozwiewa.

- Kto? - zdziwił się Herget.

- Zdumiewający. Czasem mam wrażenie, że jest tu nieustannie, tylko niewidzialny. Materializuje się za pociśnięciem dzwonka i w dodatku robi to systemem bezszmerowym.

- Pan jest do niego uprzedzony - odrzekł. - To przecież bardzo dobry steward.

- Wolałbym, żeby robił trochę hałasu, gdy wchodzi i wychodzi - powiedziałem. - Stała jak kot.

- No, to jeszcze nie jest największa wada - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Zresztą przynajmniej w połowie należy zawdzięczać ten bezszmerowy system” pańskiemu poprzednikowi. To kapitan Rogoziński sprawił wszystkim stewardom obuwie na wołokowych podszwach.

Wzruszyłem ramionami. Też pomysł!

- Żeby nie niszczyli chodników i dywanów podkutymi butami - wyjaśnił lekarz.

- Aha - mruknąłem, wcale nie przekonany. - Ciekawe, czy sam także chodził w nocnych pantoflach.

Herget nie odpowiedział, bo drzwi otworzyły się (tym razem z umiarkowanym szczękiem zamka) i wszedł Frader.

Naturalnie o wszystkim już wiedział i nawet oglądał trumny. Były dwie - jedna mniejsza, druga większa, ale i ta stanowczo za mała.

- Trumny dla nieboszczyków normalnego wzrostu, nie dla wielkoludów - oświadczył unosząc brwi w górę.

Świdrował mnie oczyma, w których oprócz zwykłego zgorszenia dostrzegałem błyski tryumfu. Od początku nie pochwalał mojej decyzji w sprawie przyjęcia na pokład „tego Malaja”. Miał mi za złe, że w Southampton nie zapytałem go o radę. Gdybym wówczas wysłuchał jego zdania, uniknęlibyśmy obecnych kłopotów.

Nie powiedział tego wszystkiego, ale czułem, że tak myśli. Natomiast głośno wyraził mniemanie, że najlepiej byłoby pochować Gorama Jorhata w nocy albo wcześniej rano, kiedy pasażerowie śpią.

- Ależ on jeszcze żyje! - wykrzyknąłem. A poza tym przedsięwziął tę podróż jedynie po to, aby być pochowany w ojczyźnie, w Birmie. Frader spojrzał na mnie karcąco.

- Jeżeli umrze w tych dniach - odrzekł - no, powiedzmy w końcu tygodnia, to znaczy jeszcze przed Bombajem, będziemy musieli pozbyć się go w jakiś sposób. Przy tym upale... Chyba pan doktor się ze mną zgodzi? A w żadnej z naszych trumien zwłoki się nie zmieszczą. Zresztą pasażerowie... Musimy także mieć na uwadze uczucia pasażerów...

Uczucia! Było to powiedziane z delikatnością sytego krokodyla, który nie chce zmarwić stada głodnych szakali.

- Pasażerowie naturalnie już wiedzą, kogo nam narzucili „Stelp & Crighton” - ciągnął

dalej z miną zgorzszą i surową, jak cnotliwy zakonnik, który odkrył, że za wiedzą przeora w klasztorze przebywa nierządnicą. - To się musiało wydać: połowa załogi opiekuje się tym... tym kolorowym i naturalnie...

- Szkoda, że pan tych uwag nie wygłosił na ostatnim zebraniu - przerwałem. - Może by to zapobiegło niezadowoleniu wśród „białych” pasażerów - dodałem drwiąco.

- O, ja nie zabierani głosu na zebraniach załogi - odciął się. - Nie jestem partyjny!

- I ja nie jestem partyjny, kapitanie Frader - odrzekłem z naciskiem. - Mimo to muszę panu przypomnieć, że płyniemy pod polską banderą. Na tym statku nie ma różnicy między „białymi” a „kolorowymi”. Chciałbym, żeby pan o tym pamiętał.

Zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale nie dopuściłem do tego. Byłem wściekły.

- Dziękuję panu tymczasem. Może pan odejść - odprawiłem go.

Wyniósł się jak zmyty.

- No i co? - spojrzałem na lekarza.

- Powinien pan więcej sypiać i zażywać trochę bromu - odpowiedział bez krzty ironii.

- Niepotrzebnie się pan uniósł. To wskutek upału i zmęczenia.

Zdążyłem już ochłonać.

- Ach, wiem o tym - machnąłem ręką. - Ale co będzie z Jorhatem?

- W ostateczności, to znaczy, jeżeli umrze w drodze, będziemy musieli postąpić według rady pierwszego oficera. Pójdzie pan tam ze mną? - zapytał.

Skinąłem głową. Chciałem zobaczyć Gorama Jorhata, przemówić do niego, przekonać się naocznie, że jeszcze żyje.

Porywczo ruszyłem ku drzwiom, otworzyłem je gwałtownie i natknąłem się na Zdulcznego.

- Co wy tu robicie? - zapytałem ostro.

Podniósł na mnie wzrok pełen niewinnego zdumienia.

- Przyniosłem bieliznę, panie kapitanie - wyjąkał.

Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma cały stos moich

koszul i chustek do nosa. Wyminąłem go bez słowa, a doktor Herget podążył za mną.

Po drodze musiałem załatwić jeszcze to i owo, tak że do szpitala dotarliśmy dopiero w jakieś pół godziny później.

Zastaliśmy Jorhata leżącego na wznak, z oczyma utkwionymi w sufit. Już teraz” robił wrażenie trupa, tak był wychudły i nieruchomy. Jego odsłonięta szyja z wystającą grdyką i ciemna głowa osadzona na tej szyi przypominała zwiędłą łodygę słonecznika, z którego korony oberwano płatki.

Mimo woli zmierzyłem wzrokiem długość tej wyciągniętej postaci. Tak, z pewnością miał ponad dwa metry wzrostu. Jego stopy wystawały poza krawędź łóżka.

Wtem poruszył się i spojrzał na nas.

- Czuję się znacznie lepiej, doktorze - wyszeptał fioletowymi wargami.

Potem przeniósł wzrok na mnie.

- Bardzo mi przykro, sir - powiedział głośnie. - Pan ma ze mną tyle utrapienia...

Oświadczyłem tonem swobodnym (niech лихо porwie taką „swobodę”), że nie przyczynia mi żadnych trosk.

- Jesteśmy już na Morzu Arabskim - wysiłałem się dalej - i mniej więcej za pięć dni

staniemy w Bombaju. A stamtąd do Rangunu mamy jeszcze tylko tydzień podróży, nie licząc oczywiście postoju w Chittagong. Tak, za jakieś dwa tygodnie będzie pan w domu.

Uśmiechał się łagodnie, lecz w jego czarnych, przepastnych oczach ujrzałem znów uporczywy twardy wyraz, który mnie tak uderzył, gdy tu byłem po raz pierwszy, i który pojawia się w nich zawsze, ilekroć była mowa o celu tej podróży.

- Chciałbym pana zapewnić - odezwał się po chwili - że wytrzymam do Rangunu. To znaczy, że nie umrę tutaj, na statku. Niepotrzebnie się pan o to kłopotuje.

Herget i ja spojrzeliśmy po sobie. Skąd u licha wiedział o naszych kłopotach?! Kto mu to zdradził?

Zaiste - pomyślałem - najbardziej poufne wiadomości przenikają tu przez ściany i rozchodzą się z błyskawiczną szybkością! Herget z pewnością nikomu nie wspomniał o tej sprawie. Więc?...

Zduleczy - naturalnie! Od dawna podejrzewałem, że podsłuchuje pod drzwiami.

Rzuciłem okiem na stolik przy łóżku. Od dziesięciu dni leżała na nim książka w niebieskiej płócienniej okładce - „Ostatnia granica”. Jorhat czytał wolno, najwyżej godzinę dziennie, bo go to męczyło. Ale czytał z wielkim zainteresowaniem, a ja miałem możliwość śledzić postępy tej lektury, ponieważ często rozmawialiśmy o dziejach owego plemienia Indian w Stanach Zjednoczonych, którego ponurą rzeź opisał Howard Fast. Wiedziałem więc, że Jorhat jest blisko zakończenia. Obliczyłem, że właśnie dziś mógł doczytać do końca.

Zagadnałem go o to, Wpadając w pół zdania Hergetowi, który tymczasem rozmawiał z nim o czymś innym.

Tak, właśnie dziś skończył tę książkę i odesłał mi ją przez niego stewarda.

- On pana także odwiedza? - spytałem niewinnie.

- Owszem. Od czasu do czasu - odrzekł powściągliwie i umilkł.

Zrozumiałem, że niczego więcej się nie dowiem, ale to milczenie wydało mi się znaczące. Goram Jorhat zwykle mówił więcej o odwiedzających go członkach załogi; o Zduleczy nie powiedział ani słowa.

Postanowiłem zgłębić tę sprawę do dna, ale nie wspomniałem o tym Hergetowi. Wyszedłem razem z nim po chwili i odprowadziłem go do jego kajuty.

- Co pan o tym myśli? - zapytałem. - Widział pan wyraz jego oczu? On się uparł, że dopłynie do Rangunu! Czy to istotnie możliwe, żeby żył jeszcze przez dwa tygodnie?

- Możliwe - odrzekł. - Ale mało prawdopodobne. Jest bardzo wyczerpany, a choroba postępuje. To przecież widoczne. Jednak, kto wie... Medycyna zna takie wypadki.

Oto odpowiedź eksperta - pomyślałem. - Może tak, może nie. Diabli wiedzą, czego się trzymać!

Pożegnałem go i wracałem wolno ku przodowi statku, mijając liczne zakręty korytarza. Byłem tak pogrążony we własnych myślach, że zmyliłem drogę i zamiast u wyjścia, znalazłem się między kajutami oficerów. Spostrzegłem to, gdy mój roztargniony wzrok padł na mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Warczewskiego, umieszczoną na jakichś drzwiach. Przystanąłem, aby się zorientować w tym labiryncie, i w tej chwili doszedł mnie szmer rozmowy prowadzonej za następnym zakretem. Usłyszałem tylko jedno zdanie, wypowiedziane wzburzone głosem, ale poznałem ten głos i zapewne dlatego słowa doszły do mojej świadomości.

„Był zwyczajnym boyem, służącym, a tutaj tak się z nim cackają, jakby nie wiedzieć

co!”

Machinalnie zrobiłem, jeszcze dwa kroki i zobaczyłem Zdulecznego, a za nim Fradera. Ten ostatni stał przodem do mnie i ujrzawszy mnie nagle, po prostu zgłupiał, Zduleczny zaś odwrócił się gwałtownie i zbladł jak papier.

Doznałem pewnej satysfakcji: tym razem ja wyrosłem za jego plecami jak spod ziemi, co dotąd było jego wyłącznym przywilejem w stosunku do mnie.

Nie odezwałem się wcale. Spojrzałem im tylko w twarze i poszedłem dalej.

Tego samego dnia miałem krótką poufną rozmowę z sekretarzem podstawowej organizacji Szczerbińskim. Lubiałem go i ceniłem za wzorową pracowitość i rozsądek oraz bezstronność przy sprawowaniu funkcji partyjnych. Zdaje się, że odwzajemniał mi się sympatią i miał do mnie zaufanie. Prędko doszliśmy do porozumienia.

Dowiedziałem się, że Zduleczny do niedawna był magazynierem na jednym ze statków polsko-chińskich, a oprócz tego pełnił tam społecznie jakieś funkcje powierzone mu przez partię. Dopiero przed rokiem został przeniesiony na Traugutta i usunięty czy też zawieszony w prawach członka partii.

Wyjaśniło mi to jego pogardliwy i zarazem nienawistny stosunek do Jorhata, który niegdyś był „zwyczajnym służącym”. Usunięcie z organizacji i degradacja ze stanowiska magazyniera na stewarda-służącego musiały zadrasnąć jego ambicję. Zapewne uważał się za pokrzywdzonego, a gorycz niepowodzenia przerodziła się w nim w złość i zawiść.

Z niektórych uwag Szczerbińskiego wywnioskowałem, że mój poprzednik, kapitan Rogoziński, miał o Zdulecznym jak najlepsze mniemanie. Zdaje się, że nawet wyróżniał go w raportach, co zresztą nie starczyło do jego rehabilitacji.

Może ten fakt przepełnił czarę goryczy i zniechęcił go do wytrwania na trudnej drodze „pokuty”. Zmazanie win okazało się trudniejsze, niż przypuszczał, a sprytna metoda, jaką w tym celu obrał - zawodna.

Nie pytałem, co to były za przewinienia; nie chciałem w to wnikać. Nie wspominałem także ani słowem o jego konfidencji z pierwszym oficerem. Natomiast prosiłem Szczerbińskiego, aby mi doradził, któremu ze stewardów mógłbym zaufać.

Odrzekł, że „rozejrzy się między nimi”, a ja zdałem się całkowicie na jego wybór.

Wynikiem tej konferencji było zjawienie się w mojej kajucie nazajutrz owego przysadzistego chłopca, którego zauważyłem kiedyś na pokładzie, jak uwijał się między pasażerami, roznosząc oranżadę. Nazywał się Kalikst. Franciszek Kalikst. Okazał się zręczny i miły. W każdym razie nie podsłuchiwał pod drzwiami.

Co się tyczy Zdulecznego, to za radą Szczerbińskiego przenieśliśmy go do obsługi jadalni pasażerskiej. Szczerbiński oświadczył mi, że będą tam na niego uważać.

Natomiast sprawa z pierwszym oficerem pozostawała, że tak powiem, otwarta. Nadal nie wspominałem ani słowem o nieoczekiwanym spotkaniu w korytarzu i trzymałem go w niepewności, co o tym myślę. On zaś był wyraźnie zaniepokojony moim milczeniem: unikał teraz mego wzroku i - o dziwo! - przestał unosić w górę z wyrazem zgorszenia kępki swoich brwi, gdy otrzymywał ode mnie jakieś polecenie w sprawach służbowych.

Bardzo mi to dogadzało. Poczuję się znacznie spokojniejszy, wróciła mi pogoda ducha i pewność siebie. Doktor Herget zauważył to z zadowoleniem. Przepisał mi jakąś obrzydliwą miksturę z bromem i był przekonany, że wykurował moje poprzednie rozdrażnienie.

Nie mógł się domyślać, że całą flaszkę tego paskudztwa wylałem do umywalni...

Tymczasem minęliśmy siedemdziesiąty południk i zbliżaliśmy się do Bombaju, a Goram Jorhat żył! Zdawał się nawet odzyskiwać siły pomimo wściekłego upału, który teraz wszystkim dawał się we znaki. Wszystkim, z wyjątkiem jego jednego!

- Może go to uleczy? - powiedziałem któregoś dnia, wyszedłszy wraz z lekarzem z separatki.

Ale Herget potrząsnął głową.

- Lampa, która się dopala - mruknął.

Mimo tej jego pesymistycznej przenośni stan chorego nie pogarszał się widocznie; przynajmniej w sposób dla mnie widoczny.

Większość naszych pasażerów wysiadła w Bombaju i ruszyliśmy dalej, na południe. Horyzont zdawał się ugiąć pod brzemieniem ciężkich obłoków. Zbliżała się pora deszczowa i od czasu do czasu chwytaly nas gwałtowne ulewy, po których powietrze stawało się jeszcze bardziej duszne i parne. Kleisty upał leżał na morzu, wciskał się do kajut, wisiał nieruchomo w sterowni. Jeśli zaś zrywał się wiatr, to gorące jego powiewy niosły z sobą tyle wilgoci, że nasze tropikalne ubrania przylepiały się nam do grzbietów.

Na szczęście urządzenia chłodnicze Traugutta działały znakomicie dzięki sumiennej opiece Szczerbińskiego, więc pochłanialiśmy fantastyczne ilości mrożonych napojów, a temperatura pomieszczeń wyposażonych w radiatory nie przekraczała dwudziestu kilku stopni.

Pewnego dnia, gdy statek znajdował się już na wodach Zatoki Bengalskiej zmierzając ku jej północno-wschodniemu krańcowi, do Chittagongu, Goram Jorhat zapytał, czy mógłbym określić z dokładnością do jednej doby, kiedy spodziewam się przybyć do Rangun. Było to jego pierwsze pytanie w tej sprawie. Dotychczas wystarczały mu moje dość pobieżne obliczenia, wahające się w granicach paru dni.

Niestety nie mogłem przewidzieć, jak długo potrwa postój w Chittagongu. Mieliśmy tam wylądować znaczną część drobnicy, a na jej miejsce wziąć jutę. Ale w Chittagongu nie ma urządzeń przeladunkowych; trzeba się tam posługiwać własnymi bomami i dźwigami, w dodatku stojąc o dobre parę metrów od brzegu, przy żelaznych pontonach zastępujących nabrzeże. Nie wiedziałem także, czy prędko dostaniemy miejsce przy owych pontonach i jak długo będziemy czekali na redzie. W najlepszym wypadku mogło to potrwać dwie doby; w najgorszym - cztery, pięć lub nawet sześć.

Goram Jorhat słuchał moich głośnych rozważań z wyraźnym zaniepokojeniem, ale za późno to zauważyłem, aby mu ich oszczędzić.

- Będziemy się śpieszyli - powiedziałem, żeby zatrzeć wrażenie. - Najdalej za tydzień chciałbym być w Rangunie.

- To by mi wystarczyło - szepnął.

Wydało mi się, że mój optymizm go uspokoił. Ale wiedziałem przecież, że do Rangun przybędziemy najwcześniej za dziesięć dni.

5.

Weszliśmy na redę Chittagongu późnym wieczorem, wśród mgły ciągnącej od lądu.

Nie bardzo dowierzałem miejscowemu pilotowi, który nalegał, abym podszedł bliżej brzegu, omijając małą wysepkę po prawej stronie. Zdecydowałem się rzucić kotwicę tuż za ową wysepką, odkładając wybór dogodniejszego miejsca do następnego dnia.

Frader zdawał się pochwalać tę ostrożność, lecz w pół godziny później przysłał po mnie praktykanta z nocnej wachty, żebym przyszedł na pomost.

- O cóż tam chodzi? - zapytałem wciągając z powrotem bluzę.

- Zdaje się, żeśmy źle stanęli, panie kapitanie - odrzekł chłopak. - Sygnalizują do nas światłem z jakiegoś statku.

W sterowni zastałem pierwszego oficera i Warczewskie-go. Odczytywali te sygnały. Nadawał je francuski parowiec Madelon, ostrzegając nas, że stoimy nad dnem skalistym, gdzie kotwica nie trzyma w czasie odpływów i przypływów.

„Podciągnijcie się ku nam, mniej więcej o jedną milę” - doradzał nam kapitan.

Usłuchałem tej rady. Wybraliśmy kotwicę i „bardzo wolno” ruszyliśmy w kierunku uprzejmej Madelon, która wskazywała nam drogę. Gdy stanęliśmy po raz drugi, wypuściwszy dla pewności nieco więcej łańcucha, dochodziła pierwsza po północy, a mgła stała się tak gęsta, że ledwie można było dostrzec światła kotwiczne naszego francuskiego sąsiada.

Nasz radiooficer nadał jeszcze „Dziękujemy”, a z parowca odpowiedziano „Dobranoc” i poszliśmy wreszcie spać, pozostawiając służbową wachtę na pokładzie.

Mimo zmęczenia długo nie mogłem usnąć. Złożyły się na to dwie przyczyny. Pierwszą, można by rzec wewnętrzną, była moja podniecona wyobraźnia. Nigdy jeszcze nie widziałem tak egzotycznego portu jak Chittagong, leżący u skraju niemal dziewiczej puszczy. Nie mogłem nawet rzucić na nią okiem, bo noc i mgła ukryły przede mną wybrzeże, ale ciemny pas lądu, który ujrzałem z dala przed zachodem słońca, i wznoszące się nad nim bardzo odległe grzbiety górskie, jak blade zjawy pod łukiem wspaniałej tęczy, pobudziły moją fantazję i ciekawość. Mimo woli nasłuchiwałem, czy od strony brzegu nie dojdzie mnie ryk tygrysa i zawodzenie hien. Ale ów brzeg, niewidzialny i tajemniczy, spowity w mgłę i zasłonięty czarną powieką nocy, milczał jak zaklęty, wysyłając ku nam tylko roje brzęczących owadów - i to była druga, zewnętrzna przyczyna mojej bezsenności. Komary, moskity, maleńkie kłujące muszki, olbrzymie żuki, szarańcze i ćmy bzykały, jęczały, buczały i trzepotały mi nad głową, przenikając sobie tylko wiadomymi sposobami przez muślinową siatkę zawieszoną dokoła koi.

Nieustanny śliski szelest i szmer ich skrzydeł czy też pełzających nóg i chitynowych pancerzy napelniał kabinę, przyprawiając mnie o dreszcz obrzydzenia. Musiały ich być setki, może nawet tysiące! Miałem wrażenie, że obsiadają całą moją pościel, wślazą pod prześcierało, którym byłem okryty, dobierają się do mojej spoconej skóry...

Usnąłem wreszcie, a gdy się obudziłem, okazało się, że istotnie paręset tych nieproszonych, ale już martwych gości zaściela podłogę kajuty. Jak się później dowiedziałem, był to skutek azotoksu, którym Kalikst posypał dywan. Zmiotł owady, zanim wstałem, i pocieszył mnie, że więcej nie będę narażony na ich najście: cieśla dopasuje dziś do okien ramki z gęstą siatką drucianą.

Wyszedłem na pokład w chwili, gdy wspaniałe, oślepiające słońce nagle wzbilo się nad ciemnozielonym lądem, rzucając głęboki jego cień na wodę. Rozejrzałem się po rozległej redzie. Stało tam na kotwicach ze dwadzieścia statków, zapewne w oczekiwaniu na miejsce

u nabrzeża i przeladunek. Wcale mi się to nie podobało. Nie spodziewałem się aż takiego tłoku.

Doktor Herget, który miał zwyczaj przed śniadaniem przechadzać się wzdłuż burt, powitał mnie widocznie zatroskany.

- Co pan o tym sądzi, kapitanie? - wskazał okrągłym ruchem ręki zatokę. - Jak długo tu postoiemy? Dwa? Trzy dni?

- Myślę, że dłużej - odrzekłem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- A niech to licho!... - zaklął.

Odwrócił się, przeszedł parę kroków w stronę dziobu i znów się zatrzymał.

- Z Jorhatem jest źle - powiedział. - Obawiam się, że pochowamy go tutaj. A może... Ciekaw jestem, czy który z tych statków płynie do Rangun.

- Aha! - domyśliłem się. - Można by się postarać o wcześniejsze wysłanie tego biedaka. To dobry pomysł. Spróbuję. Tylko czy go zechcą przyjąć?

- Właśnie o to chodzi - mruknął. - Może „Willis” mógłby to załatwić?

- „Willis”... - powtórzyłem bez przekonania. - Może. Będę próbował.

Przewidywałem, że niełatwo mi przyjdzie podołać wszystkim trudnościom, jakie zdawały się spiętrzać przede mną w tym egzotycznym Chittagongu. Mój wzrok błądził po zatoce; raz jeszcze przeliczyłem statki. Było ich dwadzieścia dwa...

Obok nas, w odległości jednego kabla kołysała się niewielka, zgrabna Madelon. Przyszło mi na myśl, że powinienem złożyć wizytę jej kapitanowi, aby mu osobiście podziękować za okazaną uprzejmość. Przypuszczałem, że zna dobrze tutejsze stosunki, nie tylko miejsca dogodnie do kotwiczenia, i zechce mi udzielić paru cennych wskazówek. Wprawdzie mieli tu zaopiekować się nami - agenci „Willis & Willis”, ale pamiętałem, że dyrektor Demart uprzedził mnie w Gdyni, abym nie liczył zanadto na ich pomoc.

- Mają mnóstwo klientów, na których bardziej im zależy - powiedział. - Niech pan nie pozwoli się wykiwać.

Mniej więcej to samo usłyszałem w wydziale eksploatacyjnym, a Frader zdawał się być podobnego zdania.

Łatwo to powiedzieć, siedząc za biurkiem - pomyślałem z westchnieniem. „Nie daj się wykiwać”... No, ale zobaczymy.

Kazałem przygotować bardzo „szykowną” motorówkę, której dotychczas ani razu nie miałem jeszcze sposobności użyć, i zjadłszy śniadanie udałem się na Madelon.

Kapitan Valentin (Raymond Lefevre Valentin, jak brzmiało pełne jego imię i nazwisko wygrawerowane na tabliczce nad drzwiami kajuty) okazał się bardzo miłym starszym jegomościem o niebieskich oczach, siwych wąsach i czerstwych, mocno zaczerwienionych policzkach. Te trzy francuskie barwy doskonale harmonizowały z jego pogodnym usposobieniem i wrodzoną gadatliwością. Poczęstował mnie cygarem, ale ponieważ wyznałem, że palę tylko papierosy, wyciągnął butelkę doskonałego wina.

- Jakkolwiek wy, Polacy, wolicie mocniejsze trunki - dodał tonem usprawiedliwienia.

Odpowiedziałem, że co do mnie, to wolę wino, a gdybyśmy go mieli tyle i takiego dobrego jak we Francji, to zapewne produkcja naszych wódek zupełnie by upadła.

- O, wasze wódki są znakomite - zapewnił uprzejmie. - Wiem to od Anglików i Amerykanów, którzy się nimi zachwycają, bo sam nie piję nic mocniejszego ponad to - wskazał kieliszki napełnione już po raz drugi rubinowym burgundem.

Po tym oświadczeniu przeszedł do spraw miejscowych, które zdawał się istotnie znać na wylot. Mówił o nich z humorem, sypiąc anegdotkami i plotkami, ale nie była to wcale czcza gadanina; zorientował się natychmiast, że moja dyplomatyczna wizyta spowodowana została nie samą tylko kurtuazją, i mimochodem informował mnie o wszystkim, co mogło się przydać takiemu jak ja nowicjuszowi.

Był doprawdy czarujący! W godzinę dowiedziałem się od niego więcej, niż mógłbym spenetrować przez kilka dni, nawet przy pomocy naszych agentów.

Willis & Willis” nie cieszyli się jego sympatią. Zwłaszcza kierownik tej firmy, Mr Salomon Willis albo Spiteful Sal, albo wreszcie Rude Sal⁶⁰, jak go tu przezywano, miał opinię człowieka nieżyczliwego, o czym zresztą świadczyły te przezwiska.

- Jest przyjacielem kapitana portu - poinformował mnie Valentin. - A tamten znów jest cichym jego współnikiem. Do niedawna rządzi tu we dwóch, ręką w rękę, skutkiem czego „Willis & Willis” mieli właściwie monopol na większość transakcji handlowych, a tamten w dodatku brał łapówki.

- Łapówki? - zdziwiłem się. - Za co?

- To przecież jasne - odrzekł patrząc na mnie po ojcowsku. - Za pierwszeństwo przy załadunku. Ale i teraz niewiele się zmieniło, choć nowe władze krajowe starają się ukrócić te nadużycia. Niech pan nie sądzi, że klerk od Willisa wyklaruje panu statek, jak się należy. Jeśli pan nie zaprosi Rude Sala przynajmniej na śniadanie, może pan tu czekać nawet tydzień albo i dłużej na redzie. Chyba że pan weźmie diabła za rogi i zrobi piekielną awanturę. To czasem skutkuje, bo Willis w głębi serca jest diabłem tchórzliwym. Przy pańskich warunkach fizycznych...

Zamilkł nie dokończywszy rozpoczętego zdania i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Diabeł, uważa pan, był kimś; był osobistością niepospolitą i niegdyś, jak nas poucza Biblia, miał wiele do powiedzenia w najwyższej radzie archanielskiej. Ba, miał odwagę zbuntować się przeciw pewnemu autokracie, który spartolił ten świat...

- Czy pan istotnie sądzi, że świat został „spartolony”? - przerwałem.

- I jak jeszcze! W ciągu siedmiu dni popełniono tyle głupstw, że kilkuset milionów lat nie starczyło na poprawki! Nic dziwnego, że Lucyfera diabli brali z irytacji na taką robotę. No, ale nasz Willis nie ma wiele wspólnego z Lucyferem - machnął pogardliwie ręką. - Nie namawiam pana do żadnych czynów gwałtownych - zastrzegł się żartobliwie. - Może pan albo zaprosić go do swego kapitańskiego stołu, albo uderzyć pięścią w stół u niego w biurze. Na pana miejscu zrobiłbym to drugie. Przypuszczam, że osiągnie pan przynajmniej tyle, ile kapitan Price wystawnym obiadem na swojej Bengal Bay.

Nastawiłem uszu; nie słyszałem jeszcze nic o kapitanie Price i jego statku.

- Trochę przypomina waszego Traugutta - informował mnie uprzejmie Valentin. - Mówię o Bengal Bay oczywiście, nie o jej kapitanie, który przypomina anglikańskiego pastora lub może kościelnego. Tak, raczej kościelnego, i to z ubiegłego stulecia. Niech pan sobie wyobrazi, że nosi bokobrody! Co do jego statku, jest to amerykański drobnicowiec, około trzech

⁶⁰ Spiteful (ang.) - złośliwy. Rude - nieokrzesany.

tysięcy BRT, z kilkoma kajutami dla pasażerów. Naturalnie daleko mu do Traugutta! Musi być znacznie starszy, no i z¹ pewnością jest gorzej utrzymany. Na pokładzie mają spory ładunek benzyny w beczkach; bardzo niewygodny ładunek. Kończą brać jutę; zapewne jutro o świcie wyjdą do Rangun.

- A co było z obiadem? - zapytałem.

- Nic szczególnego - odrzekł. - Price zaprosił na ten obiad Spiteful Sala, aby go sobie zjednać i za jego pośrednictwem uzyskać lepsze miejsce w kolejce do ładowania. Pili przez całą noc, awanturowali się, strzelali na wiwat z pistoletów i tak dalej. Taka, wie pan, zabawa w amerykańskim stylu. Nazajutrz Bengal Bay podniosła kotwicę i ruszyła ku ujściu rzeki, wyprzedzając trzy inne statki w kolejce. Ale kapitanem trzeciego był jakiś Rosjanin, chłop jak dąb, a przy tym marynarz całą gębą. Zorientował się w lot, o co chodzi, a ponieważ stał blisko jedyne wolnego przejścia z reddy, odkotwiczył i ruszył także, aby przeciąć Price'owi drogę. Wycyrklował wspaniale: zanim Bengal Bay skręciła ku przesmykowi wyznaczonemu bojami, już tam był i rzucił kotwicę stając w poprzek, akurat pośrodku, tak że nie można go było minąć. Price musiał się zatrzymać i nie wiedział, co dalej robić, a ten tymczasem popłynął motorówką do kapitanatu. Historia milczy o tym, co się tam działo, jakkolwiek działo się głośno, bo spoza drzwi obitych materacem słychać było bas Rosjanina w całym urzędzie. Tak czy owak Bengal Bay czekała jeszcze dwie doby, a tamci trzej zostali dopuszczeni do przeładunku w swojej kolejności. Jak pan widzi, Price osiągnął tylko tyle, ile mu się sprawiedliwie należało: nie stracił kolejki. W tutejszych warunkach i to coś warte. Ale gdy się ma odpowiednią postawę i dość energii, nie trzeba okupywać sprawiedliwości obiadem. Voila!

Podziękowałem mu raz jeszcze i pożegnałem go, wyrażając nadzieję, że zechce mnie odwiedzić na pokładzie Traugutta, po czym odpłynąłem na ląd, aby „wziąć diabła za rogi”.

Łądując przy małym drewnianym pomoście, zauważyłem pomiędzy dwoma innymi statkami czarny kadłub m/s Bengal Bay i pomyślałem, że ta krypa właśnie o tyle przypomina Traugutta, o ile ja przypominam anglikańskiego pastora (z bokobrodami!). Może tylko kształt jej nadbudówek, wzdłuż których dostrzegłem owe beczki z benzyną, był nieco zbliżony do naszych; zresztą żadnego podobieństwa nie mogłem się dopatrzeć.

Wysiadłem z łodzi, wdrapałem się po schodkach na molo i zapytałem pierwszego spotkanego przechodnia o biuro firmy „Willis & Willis”.

Wskazał mi coś w rodzaju szopy z falistej blachy, z krzywo zawieszonym szyldem.

- Tu się pan dowie - powiedział. - Ale prawdziwe biuro jest w mieście.

Wszedłszy do wnętrza zrozumiałem, co miał na myśli; zaiste, nie można było tego pomieszczenia nazwać „biurem”. Spróchniała podłoga, parę pulpityw skleconych z nie heblowanych tarcic za chwiejącą się balustradą, dwa czy trzy kulawe krzesła i telefon, to było, zdaje się, całe urządzenie tego kantoru, jeśli nie liczyć piramidy skrzyń pod ścianą i poniewierających się wszędzie próbek juty.

Przy pulpitych na wysokich stołkach siedziało czterech „urzędników”, z których jeden był Mulatem. Zajęci byli oganianiem się od much i jakąś rozmową czy może sprzeczką. Piąty wachlował się gazetą, urzędując przy stoliku z telefonem. Miał żółtawą, niezdrową cerę, tłuste czarne włosy i dwudniowy zarost na znużonej twarzy.

Żaden z nich nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Zdawali się mnie nie dostrzegać, więc postanowiłem dać znać o swoim przybyciu.

- Chcę się zobaczyć z panem Salomonem Willisem! - wrzasnąłem na całe gardło.

Zerwali się z miejsc, a nie ogolony brunet omal nie spadł ze swego fotela obracanego na osi.

- No? - zwróciłem się do niego wyczekująco i groźnie.

- Tak jest, sir. W tej chwili, sir - bąkał zaskoczony. - Czy mogę poprosić o nazwisko, sir?

Wymieniłem je wraz z nazwą statku.

- Stoję na redzie - dodałem. - Przybyliśmy w nocy. Ochłonął nieco i chwyciwszy korbkę starożytnego aparatu telefonicznego usiłował ją urwać, stosując zresztą w tym celu nie najlepszą metodę. W wyniku tych zabiegów ktoś zgłosił się u drugiego końca przewodów, po czym nastąpiła wymiana słów w obcym, niezrozumiałym dla mnie języku. Po tamtej stronie istniały widocznie jakieś opory i trudności, a brunet, sterroryzowany moją groźną postawą i marszem na czołe, skręcał się konwulsyjnie, przedstawiając tam katastrofę, jaka wraz z moim gwałtownym wtargnięciem zawisła nad spokojnym przybytkiem z falistej blachy.

Zapewne udało mu się wywołać odpowiednie wrażenie, bo wreszcie odetchnął z ulgą i odłożył słuchawkę.

- Mister Willis oczekuje pana - rzekł z ukłonem. - Jest bardzo zajęty, ale oczywiście... Tylko o tej porze nie znajdzie pan taksówki. Czy zechce pan pojechać autobusem? Odchodzi właśnie za pięć minut. Wskażę panu drogę, jeżeli pan pozwoli.

- Dziękuję - powiedziałem normalnym głosem. - Wiem, gdzie jest przystanek. Tylko gdzie trzeba wysiąść?

- Konduktor panu wskaże, sir. Autobus zatrzymuje się przed naszym biurem.

Wśród ukłonów wyprowadził mnie przed swoją budę.

- Przepraszam - wyjąkał jeszcze. - Pan kapitan jest Rosjaninem?

Powstrzymałem uśmiech. Ten ich dopiero nastraszył!

- Jestem Polakiem - odrzekłem. - Ale tym gorzej dla was.

Rzuciwszy tę niczym nie usprawiedliwioną pogroźkę oddaliłem się wielkimi krokami, aby nie parsknąć śmiechem na widok jego zrozpaczonej miny. Musiał chyba zaalarmować samego szefa firmy o pojawieniu się drugiego „Rosjanina” i teraz drżał ze strachu przed odpowiedzialnością za tę pomyłkę.

Autobus istotnie stał na małym placu wyciętym wśród lasu obok drogi, ale bynajmniej nie ruszył po upływie pięciu minut, ponieważ, jak mnie poinformował konduktor, nie było dostatecznej ilości pasażerów.

- Nie mogę odjechać, póki nie będzie przynajmniej dwudziestu osób - oświadczył, po czym spokojnie zdrzemnął się usiadłszy na stopniu.

Było nas dziesięciu, więc czekaliśmy... Rozejrzałem się tymczasem dokoła. Rzeczywiście wyglądało tu „egzotycznie”: prócz szeregu magazynów z falistej blachy nad byle jak umocnionym brzegiem rzeki nie dostrzegłem innych zabudowań; ciemna, niebotyczna puszcza otaczała zewsząd to miejsce wydarte jej przez ludzi na użytek zamorskiego handlu, a wyboista droga ginęła z oczu za pierwszym zakrętem. Olbrzymie drzewa, liany zwieszające się

z potężnych konarów, jakieś wspaniałe kwiaty o żywych barwach, palmy i paprocie tworzyły nieprzebyty gąszcz pogrążony w mroku. Ani jeden promień słońca nie przedzierał się przez zbite sklepienie liści i gałęzi. Tylko na skraju tej niebotycznej kolumnady stało kilkanaście niższych drzew bananowych o wysmukłych pniach, lekko wygiętych i pochylonych pod ciężarem owoców.

U stóp jednego z nich siedział wychudły, prawie nagi człowiek. Czasem zatrzymywali się obok niego przechodnie, najczęściej marynarze ze statków, i kupowali banany.

Właśnie Obserwowałem taką transakcję z jakimś okazałym klientem, gdy od strony miasta ukazał się długi szereg objuczonych osłów, poganianych przez małych chłopców w przepaskach dokoła bioder. Osły postępowały wolno, zasłaniając mi raz po raz widok, lecz mimo to dostrzegłem, że ów klient nie był zwykłym marynarzem: w słońcu błysnęły poczwórne złote galony na czarnych naramiennikach jego nieskazitelnie białej kurtki.

Jakiś kapitan - pomyślałem. - Może wybiera się do miasta. Byłby w takim razie szesnastym pasażerem, bo pięciu już przybyło.

W tej chwili w przerwie między osłami ujrzałem jego bladą, nalaną twarz i wypukłe oczy, a po obu stronach tej twarzy - rudawe bokobrody!

Price! - błysnęło mi w głowie. - Kapitan Bengal Bay!

To był istotnie on. Co więcej, wybierał się do miasta; mianowicie do Spiteful. Sala; w dodatku usiadł naprzeciw mnie i znużonym głosem oświadczył, że jest wściekły upa!

Naturalnie okazałem dostateczne zainteresowanie dla tego niebywałego odkrycia, aby nawiązać rozmowę, przy czym przyglądałem mu się ciekawie, a może nawet zbyt natęcznie. Nie zauważył tego zresztą. Jego biała twarz zachowywała nieco cierpiący, niezmienny wyraz, bez względu na to, co mówił i czego słuchał. Robiło to takie wrażenie, jakby nie poczuwała się do jakiegokolwiek łączności z resztą jego masywnego ciała, żyjąc lub raczej istniejąc zupełnie samodzielnie.

Poczęstował mnie bananami, które wypychały mu wszystkie kieszenie, ja zaś powiedziałem, że zauważyłem jego zgrabny statek u nabrzeża. Podobno jutro wychodzi do Rangu-nu?

Przyjął to bez drgnienia powiek, jak gdyby fakt, że wiem coś nieośm o nim i o jego łajbie, sam przez się był zrozumiały.

- Pan jest naturalnie kapitanem Price? - upewniłem się.

- Oczywiście - odrzekł z beczelną zarozumiałością, przy czym jednak jego rysy nie zmieniły się ani trochę.

Uznałem za stosowne wymienić swoje nazwisko, a on w odpowiedzi poważnie skinął głową. Rzeczywiście przypominał pastora lub kościelnego. (Valentin doskonale to podpatrzył). Wyglądał przy tym na człowieka „z zasadami”, o małomieszczańskiej cnotcie i ustalonych, tradycyjnych poglądach na wszelkie sprawy, tak doczesne, jak i wieczyste.

Postanowiłem dobrać się do niego od tej strony i ostrożnie opowiedziałem mu o swoich kłopotach z Goramem Jorhatem, nie Wspominając zresztą ani o jego nazwisku, ani o pochodzeniu.

Wydało mi się, że go to poruszyło.

- Bardzo smutne - zauważył. - Bardzo. Przypuszczam, że w dodatku nie ma pan na pokładzie duchownego, który mógłby temu biedakowi udzielić pomocy religijnej?

- Nie mam - zmartwiłem się wraz z nim.

Przez chwilę ogarnęła mnie obawa, że mi narzuci usługi jakiegoś duszpasterza lub misionarza, ale na szczęście nie miał tego zamiaru. Z drugiej strony był zbyt tępy albo też niechętny, aby zaproponować miejsce na swoim statku dla chorego. Musiałem go o to poprosić wprost, bez żadnych niedomówień.

Ku memu zadowoleniu zgodził się natychmiast.

- Będzie to dobry, chrześcijański uczynek, a zarazem koleżeńska przysługa - stwierdził z godnością.

Wypowiedział to płytkie zdanie z dobrą wiarą, bez chęci imponowania komukolwiek. Wydał mi się doprawdy nieznośny! Zadawałem sobie pytanie, jak też zachowywał się w czasie owej pijatyki z Rude Salem, kiedy wrzeszczeli i strzelali na wiwat.

Autobus wreszcie ruszył i znów miałem możliwość podziwiania tej „egzotyki”, jaka się tu raz po raz przede mną odsłaniała. Jechaliśmy najpierw wzdłuż brzegu Karnaphuli, lecz wkrótce dżungla przerzuciła się przez krętą drogę i rozpanoszyła się po obu jej stronach, ukrywając rzekę. Kilka małp usiłowało nam towarzyszyć skacząc z drzewa na drzewo lub przebiegając między nimi. Wrzeszczały jak opętane, aż spłoszył je pykający dymem ciągnik z przyczepą, który nasz kierowca z trudem zdołał wyminąć.

W paru miejscach puszcza cofała się nieco, zapewne niedawno wypalona i wykarczowana, a na otwartej przestrzeni wśród jej wysokich ścian zieleniły się połyskujące wodą pólka ryżu otoczone błotnistymi groblami. Bambusowe chaty wychylały się spomiędzy kolczastych/plotów splecionych z gałęzi akacji, dymiły ogniska, kobiety i dzieci spoglądały ku drodze, dwukołowe wozy zaprzężone w bawoły lub muły zjeżdżały w bok, żeby nas przepuścić.

Przed miastem wyminęliśmy dwóch mężczyzn, którzy dźwigali na ramionach olbrzymiego martwego pytona, przynajmniej ośmiometrowej długości. Musiał ważyć około stu kilogramów, jeśli nie więcej. Był popielatobrunatny z ciemniejszymi plamami na grzbiecie.

Price powiedział mi, że Chittagong słynie z garbarni skór wężowych, a polowanie na te gady stanowi zajęcie znacznej ilości okolicznych mieszkańców.

- Jest to nawet dość zyskowny proceder - dodał. - Tylko niezbyt bezpieczny, zwłaszcza przy spotkaniach z jadowitymi, których skóry są najcenniejsze. Poluje się na nie z długim giętym kijem. Trzeba tak uderzyć, żeby przetrącić bestii kręgosłup. Myśliwi nieraz spędzają nocę w lesie, a to także nie należy do przyjemności. Tygrysy pojawiają się nawet tu, na tej drodze, którą jedziemy. Przed trzema dniami pożarły dziewczynę z tamtej wioski - wskazał za siebie.

Zaciekawiło mnie, jaką wartość przedstawiał dla myśliwych ubity pyton.

- Cztery do pięciu rupii - odrzekł Price. - Wyprawiona skóra kosztuje tu, na miejscu, mniej więcej cztery razy tyle. U nas, w Stanach - około sześćdziesięciu dolarów. Radziłbym panu kupić trochę tego towaru. Można nieźle na tym zarobić.

- Ja myślę - mruknąłem, podziwiając tę rozpiętość cen. - Życie ludzkie nie jest tu wiele warte: cztery do pięciu rupii, powiada pan?

Nie zrozumiał mojej intencji.

- Tyle zapłaci właściciel garbarni za tego pytona - wyjaśnił cierpliwie.

- Rozumiem. Wyprawienie skóry będzie go kosztowało też ze dwie rupie...

- Nie. Najwyżej jedną - przerwał mi, widocznie wtajemniczony w te sprawy. - W gar-

barniach pracują kobiety i dzieci, tani robotnik, uważa pan. A garbniki roślinne są na miejscu za bezcen. Większość garbarni należy do miejscowego radży, ale niemal jedynym odbiorcą i eksporterem jest pewien Amerykanin, bardzo sprytny człowiek.

- O, nie wątpię! - zapewniłem z uśmiechem. - Na jednym takim pytonie zarabia dziesięć razy tyle, ile ów radża, i trzydzieści razy więcej od myśliwego czy nawet od dwóch myśliwych...

- No tak - zgodził się Price przeliczywszy to wszystko w myśli. - Zresztą eksporterzy juty zarabiają też nieźle - dodał.

- Za to ich robotnicy kiepsko - wtrąciłem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Cóż pan chce, tu nie Ameryka i nie Europa! - odrzekł. - Chociaż teraz i w Azji coś się psuje - westchnął. - Weź pan taki Wietnam, a nawet nasze Filipiny... Zaraza moralna wśród krajowców szerzy się w zastraszający sposób. %

- Tak, tak - pokiwałem głową.

Wśród tej miłej pogawędki wjechaliśmy do miasta, rozrzuconego malowniczo na pagórkach, i minawszy kilka ciasnych, bardzo brudnych uliczek zatrzymaliśmy się przed okazałym kilkupiętrowym domem na jakimś placu.

- To tu - powiedział Price dźwigając się z siedzenia. - Czy pan zna osobiście Salomona? Mówię o Salomonie Willisie - wyjaśnił, zapewne w obawie, że mógłbym pomylić Mr Willisa z jego królewskim imiennikiem ze Starego Testamentu.

Wyznałem, że nie znam żadnego z nich ani mądrego króla izraelskiego, ani agenta okrętowego.

Ten żart wydał się Price'owi trochę niestosowny. Wywnioskowałem to ze zdumiewającego poruszenia bokobrodami, które nastroszyły mu się bez żadnego widocznego udziału mięśni twarzy. Przez chwilę milczał, spoglądając na mnie podejrzliwie, podczas gdy skromnie spuściłem oczy robiąc niewinną minę.

- To zupełnie inny człowiek - oświecił mnie wreszcie. - Trochę szorstki, niemniej jednak bardzo przyzwoity. Jest moim przyjacielem - poinformował mnie dodatkowo. - Jeżeli pan chce, przedstawię mu sprawę tego pańskiego chorego pasażera.

Chwyciłem się tej propozycji, że tak powiem, rękami i nogami. Nie ufałem zbyt reklamie, jaką mi zrobił urzędnik Willisa; nie byłem pewien, czy nie sprostował już swej pomyłki.

Kapitan Bengal Bay majestatycznie przeszedł przez poczekalnię i otworzył drzwi z matową szybą, za którymi królował Spiteful Sal, ja zaś usiadłem na jednym z trzcinowych foteli przy stoliku ze starymi czasopismami. Nie przeglądałem ich; spoza drzwi dochodziły mnie dość wyraźne głosy, przy czym dominował obcy, skrzeczący dyszkanat pana Willisa.

- Ach, więc on nie jest Rosjaninem? - usłyszałem po pewnym czasie. - Ta małpa Bowel narobił tu takiego alarmu...

Price coś odpowiedział, po czym obaj rozmawiali ciszej. Dopiero po dłuższej chwili jego „przyjaciół” zaskrzeczał znowu, że się zgadza,

- To ci się należy, stary opoju! - wykrzyknął i zaśmiał się głośno.

Potem nastąpiły jakieś szepty, półminutowa cisza i pożegnali się. Szczęknęła klamka, podniosłem wzrok i ujrzałem ich obu.

Willis był krótki i gruby. Miał chytre, myszkujące oczy, okrągłą, łysiejącą czaszkę osadzoną na krótkiej, okrągłej szyi, walcowaty tułów i grube pałakowate nogi o wielkich, płaskich stopach. Przyglądał mi się, przekrzywiając nieco głowę i jednocześnie klepiąc protekcyjnie po plecach uroczystego Price'a.

Ten ostatni kiwnął mi głową:

- Załatwione. Niech pan przyśle swego pasażera na Bengal Bay przed zachodem słońca. Rozliczenia dokonają nasi agenci. No, szczęśliwej podróży, kapitanie.

Uścisnąłem jego miękką, trochę spoconą dłoń, życząc mu wzajemnie pomyślnej pogody, po czym wszedłem do jaskini lwa czy też raczej przekroczyłem bramę piekieł na zapraszający gest Spiteful Sala.

Mimo zdemaskowania mojej narodowości „tchórzliwy diabeł” zachowywał się na tyle przyzwoicie, że nie musiałem „uderzać pięścią w stół”. Może to był skutek nauczki, jaką otrzymał od radzieckiego kapitana, i wpływ propagandy rozwiniętej telefonicznie przez owego Bowela, a może zawdzięczałem te względy protekcji Price'a, dość że zapewnił mi sprawiedliwą kolejność przeładunku. Ale tak czy owak, wypadało liczyć się z czterodniowym postojem na redzie, zanim moglibyśmy ten przeładunek rozpocząć.

Wszystkie inne sprawy poszły również dość gładko, po czym Rude Sal raz jeszcze powrócił do kwestii przewozu Gorama Jorhata. Do załatwienia rozliczeń między nami, firmą „Stelp & Crighton” i armatorem Bengal Bay, potrzebne mu były numer i cena biletu oraz nazwisko pasażera. Miałem przy sobie zarówno ten bilet, jak wszystkie dokumenty osobiste chorego. Willis zaczął je przeglądać i nagle w jego ruchliwych oczkach odbiło się zdumienie, a potem wybuchnął śmiechem.

- Pasażer! - parsknął wśród nieopanowanego chichotu. - Pasażer! Cóż to za znakomity kawał!

Patrzyłem na niego z niesmakiem. Zdradzał się przede mną tym wybuchem złośliwej wesołości. W jego śmiechu dzwięczały pogarda, drwina, szyderstwo, wszystko, na co go było stać.

Uspokoił się wreszcie i znów spojrzał na mnie, przechylając głowę jak ciekawe ptaszysko.

- Ale go pan nabrał! - wyrzekł z podziwem.

- Kogo pan ma na myśli? - spytałem chłodno.

- Price'a, oczywiście - odrzekł. - Nie powiedział mu pan przecież, że ten pański „pasażer” jest krajowcem?

- No to co z tego?

- Jak to co! Nie udawaj pan przede mną wariata. Price jest przekonany, że to biały. Będzie się miał z pyszna, jak go zobaczy! Ha, ha, ha! I to zapewne dopiero jutro rano, już na pełnym morzu! Świetnie pomyślane, kapitanie. Słowo honoru, świetnie.

Poczułem się zaskoczony. Nie wziąłem pod uwagę przesądów rasowych, które panują w Ameryce. Wiedziałem, że wprawdzie według konstytucji ludzie są tam „równi”, ale w szesnastu stanach Murzyni jeżdżą oddzielnymi wagonami kolejowymi, specjalnymi tramwajami i autobusami; nie wolno im korzystać ze szpitali, hoteli, teatrów, nawet chodzić do kościołów dla białych... Ale przecież Goram Jorhat nie był Murzynem!

Powiedziałem to Willisowi.

- Nie będzie pan chyba twierdził, że jest biały - roześmiał się. - Ale wieczorem to nie jest widoczne - dodał prędko, jakby chcąc uspokoić moje obawy. - Price dowie się o jego brunatnożółtej skórze najwcześniej jutro i we własnym interesie zatai to przed resztą pasażerów. Kapitałny kawał - roześmiał się znowu.

Byłem zły, gotowało się we mnie od tego śmiechu. Zapytałem, czy jakiś inny statek nie odchodzi jutro lub pojutrze do Rangunu.

- Nie - odrzekł Willis. - Pański jest następnym po Bengal Bay. Ale może pan być spokojny o losy tego krajowca. Price nie wyrzuci go za burtę. Będzie się tylko wściekał, że go pan tak nabrał.

Pomyślałem, że do pewnego stopnia ma rację. Ostatecznie pobyt Jorhata na amerykańskim statku w drodze z Chittagongu do Rangunu nie mógł trwać dłużej niż dwie doby, a my wyjdziemy stąd dopiero za sześć dni. Niechże ci dwaj, bogobojny purytanin i złośliwy piekielnik, sądzą mnie po swojemu, byle tamten biedak dojechał na czas.

6.

Załatwiwszy jeszcze różne inne sprawy w kapitanacie portu i w mieście, powróciłem na statek w samo południe. Upał był okropny, głowa mnie bolała i obawiałem się, czy nie uległem porażeniu słonecznemu. Ale doktor Herget pokręcił przecząco głową.

- Niech pan weźmie letnią kąpiel i niech się pan prześpi - zaordynował. - Za dwie-trzy godziny będzie pan zdrow.

Powiedziałem mu o mojej rozmowie z Price'em i z Willisem, niczego nie ukrywając.

- No tak - mruknął. - Ale on musi odpłynąć na tej Bengal Bay, jeżeli ma żywy przybyć na miejsce, Nie można odrzucać takiej okazji. Odwiozę go wieczorem i jakoś go tam urządzę. Pan ma z pewnością dość innych kłopotów.

Miałem ich rzeczywiście dosyć. Nieoceniony kapitan Valentin ostrzegł mnie, że większość magazynów zacieka i skutkiem tego jutra może być wilgotna, co grozi powstaniem samorodnego ognia w ładowniach. Ulewne deszcze mogły się do tego znakomicie przyczynić, więc trzeba było obmyślić jakiś sposób, aby uniknąć wszelkich niespodzianek, a w każdym razie zorganizować bardzo ścisłą kontrolę przy załadunku.

Potem poszedłem pożegnać się z Goranem Jorhatem. Doktor Herget uprzedził go już o moich staraniach i ich pomyślnym wyniku w sprawie przeniesienia go na Bengal Bay. Wiedziałem, że umierający przyjął to z zadowoleniem.

Zastałem go jak zwykle wyciągniętego na wznak, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Był jeszcze bardziej wychudzony - wyglądał już nie jak kościotrup, lecz jak jego blady cień na ekranie rentgenowskim.

Z głośnika aparatu radiowego sączyła się jakaś smętna melodia. Zauważyłem, że chciał przekręcić gałkę, aby ją ściszyć czy też zgasić odbiornik, ale zabrakło mu sił. Zrobiłem to za niego.

- Jestem bardzo osłabiony, kapitanie - szepnął - ale wytrzymam. Dzięki panu. Jeszcze dwa dni, prawda? Mówił z trudnością, ledwie poruszając wargami. Był na pół martwy; tylko jego umysł pozostawał jasny, przynajmniej o tyle, aby ani na jotę nie odstąpić od niezłomnego postanowienia: dotrzeć do Rangunu! Walczył o to ze śmiercią stojącą u jego wezgłowia już od kilku tygodni, ale ta walka wyczerpywała go straszliwie. Teraz zbliżał się jej kres. Nie

zdobyłem się na to, aby mu obiecać, że go odwiedzę w Rangunie. Zapewniłem go tylko, że odszukam jego matkę. Miałem jej adres, jeśli nazwę podmiejskiej nędznej wioski można nazwać adresem. Ale stara Deina Jorhat była tam osobą znaną: syn przysyłał jej z Anglii pieniądze; mogła żyć w dostatku i nie zebrać o garstkę ryżu, jakkolwiek nie miała żadnej pracy.

- Tak, odszukam ją z pewnością, zaraz po przyjeździe ~- powtórzyłem.

Zdołał unieść rękę o tyle, by mi ją podać na pożegnanie. Potem zamknął oczy, może tylko po to, żebym mógł łatwiej odejść.

Uczyniłem to ze ściśniętym gardłem.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wróciła szalupa z doktorem Hergetem. Bengal Bay po południu oddała cumy i stanęła na kotwicy w pobliżu wejścia do zatoki, w oczekiwaniu na jakiegoś dygnitarza, który miał przyjechać z Laksam.

Przed zachodem słońca zerwał się wiatr i zgromadził na horyzoncie wielkie stado obłoków, lecz teraz ucichł zupełnie, a cisza nocna stała się tak głucha, jakby świat skończył i leżał na marach pod całunem chmur. Lekki szmer dobrze naoliwionych bloków i stłumione głosy ludzkie przy wciąganiu łodzi zabrzmiały wśród tego grobowego spokoju jak nagły zgiełk jarmarczny i zwabiły mnie na tylny pokład.

Między poruszającymi się cieniami dostrzegłem sylwetkę lekarza i ująłem go pod ramię.

- No, jak tam? - zapytałem z pewnym niepokojem.

- W porządku - odrzekł. - Mają felczera, Mulata, który się nim zajął. Zostawiłem mu trochę pieniędzy, które zresztą wzdragał się przyjąć. Mam wrażenie, że to uczciwy i niezły człowiek.

- A kapitan?

- Nie widziałem go. Rozmawiałem z drugim oficerem, ale nie zainteresował się tak dalece chorym, żeby go zobaczyć. Wszyscy tam czekają na gubernatora.

- Więc pan przypuszcza...

- Przypuszczam, że do samego Rangunu Goram Jorhat będzie miał spokój i niezłą opiekę.

Odetchnąłem z ulgą. Wszystko układało się pomyślniej, niż przypuszczałem.

- Nie powiem, żeby tam mieli dobrą wentylację na tej Bengal Bay - zauważył Herget.

- W korytarzach i w kajutach panuje zaduch czy też swąd, pewnie od motorów. Ładowali się trzy dni, ale dziś w południe zamknęli już ostatni luk i właściwie są gotowi do wyjścia w morze. Odpływają jutro o świcie.

Gdy wymawiał ostatnie słowa, błysnęło się dwukrotnie raz po raz. Ujrzałem olbrzymi, spiętrzony wał chmur na niebie, a zatoka, gładka jak lustro, odpowiedziała upiornym światłem.

- Będzie ulewa - powiedziałem.

W tej chwili daleko nad lasem potoczył się grzmot, jak potężny głos pomrukujący jakieś niewiarygodne pogrożki. Gdy umilkł, od strony morza odezwał się przeciągły okrzyk. Zabrzmiało to tak, jakby sama noc jęknęła z przerażenia. Ale wnet dobiegły nas stamtąd inne głosy, niewątpliwie ludzkie, zmieszane i skłócone, rosnące w daleką wrzawę, którą nagle od-

ciał głęboki bas syreny okrętowej.

- Co to? - spytał Herget.

Pobiegliśmy na rufę i stanęliśmy jak wryci. Pośród czerwonej, rozmigotanej wody płonął statek. Olbrzymi płomień wznosił się nad jego pokładem, z dwóch stron obejmując nadbudówki na śródokręciu. Strzelał prosto w górę przy akompaniamencie trzasków i huków dobywających się z rezonującego metalicznie kadłuba. Przy każdym takim odgłosie słychać było wrzaski ludzi, a roje iskier wraz z czarnymi kłębam dymu wzbijały się pod rude chmury.

- Bengal Bay! - zawołał Herget.

Kilka głosów za mną powtórzyło: „Bengal Bay się pali!”, i przez głowę przeleciało mi całe stado krótkich, spłoszonych myśli.

Benzyna i juta! Mają pełne ładownie! Nikt tego nie zdoła ugasić! Tam jest Jorhat. Ratować!

- Cała załoga na pokład! - zawołałem głośno.

Usłyszano mnie. Rozległy się nawoływania, tupot nóg, gwizdki. Ludzie na pół ubrani pędzili zewsząd, stawali w szeregu. Ktoś szarpał mnie za rękaw.

- Szalupy, panie kapitanie? Szalupy? Czy mam opuścić szalupy?

Odwrociłem się gwałtownie. To był Frader. Robił wrażenie trochę nieprzytomnego.

Jego pomarszczona twarz wyłoniła się z cienia.. Wargi mu drżały.

- Chciałbym... Chciałbym pierwszy - jękał się podniecony.

- Dobrze - przerwałem mu. - Wybierz pan sobie ludzi. Ochotników! I płyńcie!

Zacząłem wydawać rozkazy pozostałym. Mieliśmy dwie duże i jedną mniejszą łódź ratunkową, nie licząc mojej motorówki i małej, piętnastostopowej łódki wiosłowej. Wysyłałem je kolejno z załogami alarmowymi pod dowództwem oficerów pokładowych i mechaników. Ponieważ zgłosili się ochotniczo wszyscy, nie wyłączając stewardów i kucharza, obsadziłem także tę małą łódkę i motorówkę, do której między innymi wsiadł Kalikst. Na statku zostało nas zaledwie kilku: starszy mechanik, dwóch czy trzech specjalistów z maszyny, tyłuż marynarzy z pokładu, sanitariusz, Herget i ja.

Tymczasem Bengal Bay płonąła jak stóg siana, a ze strony portu nie nadciągała żadna pomoc. Jakiś inny statek stojący w pobliżu pożaru podniósł na gwałt kotwicę i umknął na łeb, na szyję w morze.

Było teraz jasno, niemal jak w dzień. Ściana ognia na wprost naszej rufy rozrastała się wszere, obejmując przednią ładownię i dziób płonącego statku. Zdaje się, że nie zdążyli tam spuścić łodzi, bo na tle płomieni wijących się wzdłuż burt dostrzegałem sylwetki ludzi skaczących do wody. Po chwili zobaczyłem także nasze szalupy krążące po krwawych plamach blasku i zanurzające się w cieniu.

Blade, niebieskawe błyskawice i grzmoty nadciągającej burzy powtarzały się raz po raz, a noc zaniepokojona tym rozruchem zdawała się mrugać czarnymi powiekami, spoglądając na groźne widowisko pośród zakola mrocznych brzegów.

Port nada! milczał, ale nie było w tym nic dziwnego; nie mieli tam ani holowników, ani straży ogniowej. Natomiast świecąc reflektorami minęły nas dwie szalupy z Madelon i skierowały się ku pożarowi, skąd dochodziły mnie nieustanne jego odgłosy, podobne do trzepotu skrzydeł ogromnych ptaków.

W jakiejś chwili rozległ się głośny rumor, przedni maszt pochylił się rozcapierzając wzniesione borny, zawahał się jakby i runął z hukiem, wznecając kłęb iskier, które sypnęły się na wszystkie strony jak złote pszczoły z podkurzonego ula.

Po upływie pół godziny wróciła szalupa Fradera z kilku wyłowionymi pogorzalcami. Wszyscy byli mniej lub więcej poturbowani, a nasz pierwszy oficer chyba najgorzej. Ujrzawszy go w świetle reflektorów do prac pokładowych, nie byłem pewien, czy to on. Na twarzy, zaczerwienionej i nabrzmiałej jak dętka z piłki nożnej, nie miał naskórka. Zmarszczki znikły zupełnie, podobnie zresztą jak sterczące kępki brwi i opalone rzęsy. Brakowało mu jednego rękawa przy kurtce, a przez strzępy ubrania widać było osmaloną skórę na jego żebrach.

- Ależ się pan urządził! - wykrzyknąłem ze współczuciem.

- Nie zdołałem go uratować - odrzekł. - Nie mogłem trafić... Spalił się żywcem.

Domyśliłem się, że mówi o Goramie Jorhacie. Poczulem dreszcz zgrozy. Przeszło mi przez głowę, że to ja sam przyczyniłem się do tego. Oczywiście nikt z załogi Bengal Bay nie pomyślał nawet o „krajowcu”, który nie mógł się poruszać o własnych siłach. Uciekli w popłochu, pozostawiając go na gorejącym statku, zamkniętego w kajucie objętej zewsząd płomieniem. A ten Frader...

Spojrzałem mu w oczy.: - Pan tam był?

Skinął głową i zachwiał się, jakby miał upaść. Kazałem go odprowadzić do szpitala, gdzie Herget miał pełne ręce roboty. Nie opierał się. Widocznie siły go opuszczały, a jedyny cel tej jego awanturycznej wyprawy był już nie do osiągnięcia: Goram Jorhat nie żył. Wysoki, zwięzający się ku górze jezor ognia trawił resztki nadbudówek Bengal Bay, tego ponurego stosu pogrzebowego, który dopalał się wśród nocy pod sklepieniem chmur ciskających błyskawice i gromy.

Powierzyłem dowództwo szalupy asystentowi pokładowemu, który tam był z Fradrem, i wysłałem ją z powrotem na poszukiwanie rozbitków.

- Nie zbliżajcie się zanadto do statku! - zawołałem za nim. - Może zatonać w każdej chwili!

- Tam się nie można teraz zbliżyć, panie kapitanie - odrzekł z dołu. - Kadłub jest rozpalony jak piec. Woda gotuje się przy burtach!

W tej chwili od lądu powiał lekki wiatr, jak westchnienie, i zmarszczył powierzchnię zatoki, a czerwony krąg dokoła nieruchomego statku zadrgał i rozpadł się na migotliwe płatki. Po tym pierwszym podmuchu przyszły następne i spóźniona bryza rozkołysała zatokę niewielką, szepczącą falą.

Wkrótce potem na Bengal Bay runęły przepalone górne pokłady wraz ze sterownią, a w głębi kadłuba nastąpił jakiś gwałtowny huk, po którym płomień buchnął jeszcze wyżej. To zapewne zapaliły się zbiorniki z ropą. Dym, czarny i gęsty, splatał się z płomieniem podsyconym przez wiatr, aż nagle dziób statku zapadł w głąb, a rufa zaczęła osiadać w ślad za nim.

Syk, świst, skwierczenie i bulgotanie wody słyhać było aż na pokładzie Traugutta. Kłęby pary, jeszcze różowej od tłumionego ognia, zasłoniły widok, ale to już był koniec: Bengal Bay tonęła.

Ulewa jakby na to czekała. Głośny szum, chlupot, trzepot, jazgot nadleciał z dala, rosnąc do niebywałego natężenia; ciężkie krople jak z płynnego ołowiu zagruchoły po ścia-

nach i szybach, a potem potoki wody polaty się z góry, pograżając oświetlony pokład w srebrzystej powodzi tropikalnego deszczu.

Prawie jednocześnie wiatr zmienił kierunek i zadał z południowego zachodu, od morza, pędząc przed sobą białawe grzywacze, a statek zakołysał się, zazgrzytał ogniwami łańcucha i zaczął leniwie obracać się na kotwicy rufą ku lądowi.

Wszystkie nasze łodzie powróciły przed północą, przywożąc dwudziestu ośmiu rozbitków, a rano Valentin powiadomił mnie, że jego szalupy wyłowiły jeszcze sześciu. Dziewięciu ludzi z załogi Bengal Bay zginęło; Goram Jorhat był dziesiąty.

Prócz pierwszego oficera mieliśmy jeszcze jednego poturbowanego podczas akcji ratowniczej. Był nim Szczerbiński, który wraz z Fraderem dostał się na płonący statek w zamiarze wyniesienia stamtąd Jorhata. Od niego właśnie dowiedziałem się, jak dzielnie Frader się tam zachował i co go skłoniło do tego ryzykownego kroku.

- Kiedy wsiadaliśmy do łodzi - opowiadał Szczerbiński - był bardzo podniecony. Powiedziałbym, że gadał trochę od rzeczy: o jakichś pańskich podejrzeniach w związku ze Zdulecznym. I że sam chce uratować Jorhata, żeby tam nie wiem co. Aha... i że się teraz musi zrehabilitować.

Słuchałem tego mamrotania jednym uchem, bo mieliśmy po drodze dość roboty. Wyłowiliśmy dwóch oficerów, którzy walczyli o deskę, mogącą utrzymać tylko jednego z nich na powierzchni wody, a potem zdjęliśmy jakiegoś Murzyna z boi wyznaczającej farwater.

Spieszyliśmy się - mówił dalej. - Nadbudówki już się zaczęły palić, a z obu środkowych luków przed nimi i za nimi buchały płomienie, bo drewniane pokrywy były zwęglone i spadły do ładowni. Od statku bił wściekły żar, ale kapitan Frader skierował szalupę wprost do opuszczonego sztormtrapu i wdrapał się na górę, a ja za nim. Przebiegliśmy pomiędzy tymi dwoma wulkanami ziejącymi ogniem i dymem i „wpadliśmy do korytarza, gdzie nie parzyło tak bardzo jak na pokładzie. Za to dymu było tam jeszcze więcej i myślałem, że się w nim udusimy. Gdzie tu szukać tego biedaka?

Szliśmy po omacku, otwierając na lewo i na prawo drzwi kajut i różnych pomieszczeń. Miałem z sobą latarkę, ale wszędzie było pusto. Dopiero przy schodni prowadzącej wyżej spotkaliśmy jakiegoś Mulata oszalałego ze strachu. Złapałem go za kark i potrząsnąłem parę razy, co częściowo przywróciło mu przytomność. Wybełkotał, że chory jest w ostatniej kabynie na poziomie pokładu szalupowego, ale nie mogłem go zmusić, żeby nas tam zaprowadził. Wyrwał mi się i uciekł. Wbiegliśmy na schody, ale u ich szczytu ogień zagroził nam drogę. Paliła się podłoga i sufit, a także jedna ze ścian. Kapitan Frader przedarł się przez płomienie i znikł mi z oczu, a w sekundę potem usłyszałem trzask i coś się tam zawałiło w głębi korytarza. Skoczyłem naprzód, potknąłem się i rymnąłem jak długi prosto na niego. Leżał przygnieciony belkami z sufitu, a nad jego głową kołysała się wanna. Wanna! Niech pan sobie wyobrazi! Nad nami musiała być łazienka i po chwili to zrozumiałem, w sam czas, żeby go stamtąd odciągnąć, bo to czworonożne emaliowane bydlę przechyliło się jeszcze raz i spadło z wielkim hukiem właśnie na to miejsce, gdzie się przedtem znajdował. W wannie było trochę wody, która się wylała i popłynęła w stronę schodów. To nam ułatwiło odwrót: płomienie za nami przygasły, nie na długo zresztą, ale za to przed nami już wszystko stało w ogniu; musieliśmy się cofnąć...

Spojrzał na mnie bezzęsmymi oczyma spod nabrzmiątych, zaczerwienionych powiek.

- Nie można było się tam dostać - powiedział z naciskiem. - Zresztą on już nie żył: ogień trawił całą tę stronę nadbudówek. Ledwie zdążyliśmy wyjść, spadły przepalone pokłady. Zdaje się, że opuściliśmy Bengal Bay jako ostatni z żywych. A jak się czuje kapitan Frader? - spytał nagle.

Odpowiedziałem, że nieźle, i pożegnałem go szybko. Nie zamierzałem wdawać się w wyjaśnienia co do owych „bredni” Fradera o Zdulecznym i o moich „podejrzeniach”, a czułem, że chce mnie wy badać.

Odesłałem rozbitków z Bengal Bay do Chittagongu i sam także pojechałem do miasta załatwić pozostałe sprawy portowe oraz dopilnować już teoretycznie załatwionych. Spotkałem tam zgnębionego Price’a, którego uratowała załoga jednej z szalup Madelon, przyjąłem do wiadomości jego podziękowania za pomoc i zostawiłem go wśród licznych trosk i kłopotów, jakie dźwigał w drodze do biura Spiteful Sala. O Goranie Jorhacie nie było mowy; po cóż miałbym wszczynać tę smutną historię, gdy ten biedak już nie żył...

7.

W osiem dni później przybyliśmy do Rangun. Prócz urzędowej korespondencji czekały tam na mnie dwa listy prywatne; raczej jeden list i zwykła karta pocztowa.

List był od „parafialnego anioła”, długi i pełen sprzeczności. „Anioł” wykreślał mnie ze swego życia i uczuć (za światłą radą redaktorki „Demokratycznego savoir-vivre’u” z „Przekroju”), informował o jakimś uroczym młodzieńcu, który zajął moje miejsce u jego skrzydełka, zapytywał, czy się dobrze bawię na morzu(!) i czy doprawdy ma uważać, że między nami wszystko skończone, bo jeśli nie, to... itd. Kartka (od rudej Szwedki) zawierała tylko trzy krótkie zdania: „Włoch jest nieznośny. Mam go dosyć. Kiedy wracasz?”

Wzruszyłem ramionami. Moje kłopoty „sercowe” dawno zwietrzały w podmuchach południowo-zachodniego musonu⁶¹. To było teraz takie odległe, błahe, nieważne. Co innego miałem na głowie. Złożyłem list i kartkę razem, przedarłem na pół, na czworo, na drobne strzępki i - wbrew przepisom portowym - wyrzuciłem na wiatr, za burtę.

Uporawszy się z najpilniejszymi sprawami statku, postanowiłem odszukać matkę Gorama Jorhata, aby spełnić daną mu obietnicę i powiadomić tę nieszczęśliwą kobietę o śmierci syna. Zaproponowałem Szczerbińskiemu, żeby mi towarzyszył. Zgodził się natychmiast. Powiedział mi, że sam się tam wybierał. Zebrał nawet trochę pieniędzy wśród załogi, żeby je wręczyć Deinie Jorhat.

Pojechaliśmy najpierw do filii „Stelpa i Crightona”, aby się rozpytywać w jaki sposób można się dostać do owej wioski. Nazywała się Kamla czy może Gamla, już nie pamiętam, i stanowiła właściwie dalszy ciąg jednego z północnych przedmieść Piangu. Ale Rangun jest dużym miastem, liczącym prawie pół miliona mieszkańców, i niełatwo tam się zorientować; nawet w biurze naszych agentów nie od razu mogli nam udzielić dokładnych informacji. W końcu jednak młody człowiek, któremu to zlecono, odkrył, że do Kamli (czy też Gamli) jedzie się autobusem z pobliskiego placu. Autobus ten dociera jednak tylko do pewnego browaru, a stamtąd trzeba iść pieszo jeszcze pół godziny do mostu na rzece. W prawo od tego

⁶¹ M u s o n (arab.) - wiatr sezonowy występujący nad rozległymi obszarami przybrzeżnymi i zmieniający dwa razy do roku kierunek na prawie przeciwny: w cieplej porze roku wieje od morza ku lądowi, w chłodnej - odwrotnie; najwyraźniej występuje w okolicach okołorównikowych (południowa Azja, Australia itp.).

mostu jest kilkanaście chat i szałasów. To właśnie Kamla.

- Jeśli mi wolno służyć panom radą - dodał urzędnik - to należałoby tam pojechać taksówką i z policjantem. Znajdziecie go przy browarze, gdzie jest posterunek. Za dwie rupie chętnie będzie panom towarzyszył.

- A po co? - spytałem zdziwiony.

Młodzieniec uśmiechnął się wyrozumiale.

- Tam mieszkają - wyłącznie żebracy - wyjaśnił. - Opadną panów jak zgłodniałe psy. Bez pomocy policji nie zdołacie się im opędzić. A poza tym potrzebny wam będzie tłumacz: pariasi nie mówią po angielsku.

Ta ostatnia uwaga wydała mi się słuszna. Wsiadliśmy do taksówki i przy browarze zaangażowaliśmy przedstawiciela miejscowej władzy porządkowej. Był to wysoki, kościsty Birmańczyk w szortach i korkowym kasku, z gumową pałką zwisającą mu u pasa. Siedział obok kierowcy milcząc, z opuszczoną głową, podczas gdy podskakiwaliśmy na wybojach, rozglądając się dokoła.

Słońce stało nisko nad horyzontem, niezwykle czerwone, jakby z wysiłku po odbyciu całodziennego dnia pracy. Świeżo zorane pole na lekkim wzniesieniu po prawej stronie drogi, wypukłe jak tarcza, zdawało się wypacać krew z grudek brązowej ziemi, krew i znój ludzi, którzy je uprawiali od wieków. Z dala dobiegał łoskot pociągu, a dym z parowozu szył ciemny ścieg po niebie, wybuchając gęsto raz po raz spoza nagiego wzgórza. Zgarbione, wynędzniałe postacie ludzkie odziane w łachmany snuły się wzdłuż drogi mijając nas ze wzrokiem wbitym w ziemię lub spoglądając na nas bez uśmiechu, z wyrazem przygnębienia i smutku.

Droga skręciła ku rzece; taksówka zatrzymała się na zakręcie; doszliśmy do wałącego się mostu i policjant obejrzał się.

- Na prawo - mruknął.

Wąska ścieżka wiła się między cuchnącymi śmietnikami i kałużami czarnego błota. Nagie dzieci, smagłe jak cyganięta, przeraźliwie chude i brudne, towarzyszyły nam z daleka, wyciągając ręce wymownym, błagalnym gestem i pierzchając trwożnie, gdy wielki policjant groził im swoją pałką. Jakieś straszliwe rudery sklecone z pak i kawałków blachy sterczały w nieładzie, a gdzieniegdzie na płotach z gałęzi suszyły się rybackie sieci.

Przed jedną z tych niewiarygodnych siedzib ludzkich stał niski starzec o poskręcanych członkach i w tępych zamyśleniu drapał się po żebrach.

Nasz opiekun i przewodnik skinął na niego palcem i zadał mu jakieś pytanie, a kaleka przykuszył bliżej, przetaczając się z nogi na nogę, przy czym jego tułów wykonywał ruchy podobne do chwiejącego się bąka, który traci pęd i ma się lada chwila przewrócić.

- Deina Jorhat? - powtórzył, po czym odwrócił głowę i wskazał większy od innych szałas, przy którym rosło jakieś na pół uschłe drzewko.

- To tu - mruknął do nas policjant.

Zajrzałem do środka przez otwór w ścianie zastępujący drzwi. Nie było tam żadnych sprzętów, jeśli nie liczyć paru naczyń kuchennych stojących na gołej ziemi i kilku mat z juty w kącie pod małym okienkiem.

Na matach siedziała kobieta. Miała brunatną twarz poraną zmarszczkami, potargane siwe włosy wymykające się spod wypłowiałego saronga na głowie i zapadnięte usta. Otworzyła je ze zdziwienia, zaskoczona moim widokiem, i wtedy dostrzegłem dwa czarne pieńki,

pozostałość po utraconych zębach. Podniosła także ręce, które przedtem zwisały wzdłuż jej drobnego ciała; podniosła je przed sobą na wysokość twarzy, takim ruchem, jakby ostrożnie trzymała w obu dłoniach jakiś niewidzialny przedmiot. Palce jej drżały, a to drżenie udzielało się ramionom i głowie. Tylko oczy były nieruchome i spokojne, nie przyćmione wiekiem, lecz żalosne i - powiedziałbym - kamienne. Zdawały się patrzeć gdzie poza mnie w przestrzeń, a może w odległą przeszłość.

- Deina Jorhat? - zapytałem.

Ożywiła się; to znaczy jej oczy zmieniły wyraz: śledziły teraz każdy mój ruch z niepokojną uporczywością. Reszta postaci pozostała nieporuszona.

Policjant wmieszał się w tę sprawę. Mówił coś przez chwilę monotonnym głosem, wskazując to na mnie, to na Szczerbińskiego, i nagle umilkł.

- Proszę jej powiedzieć - zwróciłem się do niego - że... - zabrakło mi słów.

Jakże tu podać tę tragiczną wiadomość przez tłumacza? Przez takiego tłumacza!

Deina patrzyła na mnie przenikliwie. Nagle krzyknęła i opuściła dłonie na kolana, a potem powiedziała parę słów do policjanta.

- Co ona mówi? - spytał Szczerbiński.

Policjant niechętnie wzruszył ramionami.

- To wariatka - mruknął.

- Ale co powiedziała? - przynagliłem go ostro. - Mów!

- Ona myśli, że wy zabiliście jej syna - wymamrotał.

Szczerbiński chwycił mnie za ramię. Spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem.

- Powiedz jej, że chcieliśmy go uratować - wykrztusiłem przez ściśnięte gardło. - Był chory; śmiertelnie chory. Płynął tu statkiem, żeby ją zobaczyć i umrzeć. Ale statek spłonął, a on zginął. Powiedz, że byliśmy przyjaciółmi jej syna. Ten człowiek - wskazałem Szczerbińskiego - narażał życie, żeby go ocalić. Powiedz jej to wszystko!

Wykonał posłusznie, co mu kazałem. Jego monotonny głos obijał się przez chwilę po pustych ścianach i umilkł. Deina siedziała nieruchomo, opuściwszy głowę. Sarong zsunął się z jej włosów i opadł na zgarbione plecy.

- Powiedz jej jeszcze, że Goram Jorhat, jej syn, myślał o niej - rzekł Szczerbiński. - Że do niej tęsknił. I powiedz jej, że... - sięgnął do kieszeni - że to są pieniądze dla niej; pieniądze od syna.

Policjant spojrzał łapczywie na zwitek banknotów i dotknąwszy ramienia Deiny wskazywał je palcem. Z jego ust toczył się teraz wartki potok wymowy.

Ale ona była ślepa i głucha. Kiwała się naprzód i w tył, a po jej twarzy wolno spływały łzy.

W trzy dni później wyszliśmy z długiej, wąskiej zatoki i położyliśmy się na kurs powrotny do Gdyni. Stałem na skrzydle pomostu i patrzyłem w stronę oddalającego się brzegu, nad którym zwisały wielkie, ciemne chmury. Gęsta ściana lasów schodziła aż ku morzu, oddzielona od niego tylko wstęgą piany, a ujścia licznych odnóg Irawadi wrzynały się głęboko w ląd, mroczne i tajemnicze wśród zapadającego zmierzchu, który wkrótce miał ustąpić miejsca nocy. Ostatni promień zachodzącego słońca przedarł się przez jakąś lukę w obłokach i oświetlił na chwilę ten brzeg, brzeg bogatego kraju, w którym żyją biedni brunatni ludzie

oraz bogaci biali eksporterzy i przedsiębiorcy.

Przyszły mi na myśl słowa pełnego chrześcijańskiej cnoty i godności kapitana Price'a, o tej „zarazie moralnej”, jaka się tu szerzy wśród krajowców. Nie było mi dane poznać bliżej żadnego z „zarażonych”, ale z pewnością spotykałem ich wielu. Tam w samej tylko Birmie jest ich czternaście milionów...

W tej chwili z nieba lunął rześisty deszcz i zakrył przede mną srebrzystym płaszczem lasy, ciche zatoki i wyniosłe wzgórza.

Odwróciłem się. Tęgi podmuch musonu owionął mi twarz. Przede mną w szkarłatnym płaszczu obłoków zachodziło słońce.

Zakopane 1954